

ANATOL AZOLSKI  
KOMÓRKA  
Клетк

Tłumaczenie: Henryka Broniatowska

## Rozdział pierwszy

Wytrawny złodziej otworzył paznokciem zamek i znalazł się w mieszkaniu nie wróżącym większej zdobyczy; jak we wszystkich domach Piotrogradu było tu chłodno i głodno, listopadowy deszcz spływał po mętnych szybach, zalewał parapety; nieomylny instynkt wskazał mu szafę, gdzie znalazł bogaty łup. Damskie botki i pantofle, bielizna, ubrania powędrowały do worka, wcisnął tam także filizanki, łyżeczki i nieprzyjemnie podzwaniające narzędzia o wyraźnie lekarskim przeznaczeniu - rozmaite nożyczki, piłki, szczypce, młoteczki (podarunek Wojenno-Rewolucyjnej Rady dla dzielnego chirurga L.G. Barinowa). Ich brzęk obudził śpiące w łóżeczku niemowlę, które zakwiliło i jęło się wiercić, a kiedy złodziej dorzucił do swego łupu także kołderkę, wytrząsnąwszy zawinięte w nią kwilące stworzenie płci męskiej, przeraźliwy wrzask wypełnił całe, opuszczane w pośpiechu, mieszkanie. Wypchany łupem worek, który utknął w drzwiach, przeszkodził w ucieczce i trzeba było zmykać przez okno. Wystawiony na wiatr i chłód malec rozdarł się jak stary i złodziejaszek pożałował, że wszystko tnące i kłujące ma zapakowane i nie może dźgnąć krzykacza. Przydusił go więc (jak się okazało podczas rozprawy sądowej), po czym wyskoczył z pierwszego piętra na dół, gdzie został schwytyany, o mało go nie rozszarpano, a dziecko uznano za martwe. Matka, która przybiegła z płaczem, padła na zsiniałe ciało, po czym wsunęła je pod bluzkę w ciepłą niczym łonową ciemność między piersiami - malec ożył, narodził się powtórnie, a właściwie po raz trzeci, albowiem cudem tylko uniknął cebrażyka, do którego wrzuca się wyskrobane płody; matka mogła zaufać usunięciu ciąży tylko ojcu, a jego właśnie pilnie wysłano na front do walki z Denikinem. Dlatego Wania Barinow, kiedy dorósł, ani w sierpniu, ani w listopadzie nie obchodził dnia swoich urodzin, nawet wspomnienia o nim unikał, później tyle razy umierał ożywał i zmartwychwstawał, że daty całkiem mu się poplątały - żył przecież pod różnymi nazwiskami i zawsze miał pod ręką dodatkowy paszport, na pytanie kiedy się urodził, odpowiadał z nerwowym uśmiechem: „w dwudziestym wieku”. Nawiasem mówiąc, ochrzczono go w cerkiewce przy Wielkiej Samsoniewskiej, jak po staremu nazywano prospekt im. Karola Marksa; matka uległa błaganiom nieateistycznych krewnych i zniosła dziecko do miejsca kultu, zburzonego wkrótce przez bezbożników. Natomiast dom rodzinny Iwana nie mógł się nie ostać, budowano go na najbliższe wieki i nie dotknęły go ani śmiałe plany przebudowy miasta, ani dekrety nowo ustanowionej władzy, mieszkanie zaś niezłomnie opierało się dokwaterowaniom; w każdej komisji, nawet rewolucyjnej, zasiadają kobiety, a rewolucyjny chirurg Leonid Grigoriewicz Barinow każdą umiał wyprowadzić w pole, potrafił oczarować wszystkich bez wyjątku, w tym również swoje studentki, które uczył krajać trupy w Wojskowej Akademii Medycznej. Matka Iwana, Jekatierina Ignatiewna, pochodziła z rodziny zupełnie pozbawionej skłonności do niszczenia, burzenia czy rżnięcia czegokolwiek, ale chłopiec się w nią nie wrodził, wcześniej zaczął wyciągać rączki do obrusa, żeby go ściągnąć ze stołu, do tapet, żeby je zedrzeć, a niejedną raz zdarzało mu się wczepiać mlecznymi ząbkami w nogawkę spodni ojca, zabawki, które przynosili goście, sprawdzał na wytrzymałość, tłukąc nimi o ścianę, a gdy zaczął już raczkować po mieszkaniu, nauczył się precyzyjnie rozkładać je na część ci. Książki, co należałoby szczególnie podkreślić, rwał na strzępy, dlatego ojciec umieścił półki na książki tak wysoko, że Iwan

nie mógł do nich dosięgnąć nawet gdy miał dziesięć lat i już zaczął odczuwać głód wiedzy i już brał górę w bójkach ze starszymi od siebie chłopakami. Rodzice nie wiedzieli, jak sobie poradzić z chuliganem i z radością śpieszyli do drzwi, kiedy przychodził daleki krewny ojca - pietrogrodzki robotnik - Pantelej. Powrócił właśnie z guberni saratowskiej, dokąd wysłano go, by zorganizował kolchoz, który od razu się rozleciał, gdy pozwolono chłopom zabrać swoje krasule z kolektywnego stada; pietrogrodzki robotnik nie mógł się pogodzić z tym krótkim okresem pobłażania i powrócił do domu żądny zemsty. Na znak protestu, w tajemnicy przed rodzicami Iwana, wyładowywał swoją nienawiść do prywatnej własności oraz pogardę dla nowych porządków na pośladkach chłopca. Wania zaciskał zęby i pokornie podstawiał swoją nieszczęsną pupę pod wzniesiony pasek; chłopca zaczął w jakiś sposób wciągać proceder bicia i ani ojciec, ani matka nigdy się nie dowiedzieli, że Pantelej co tydzień tłucze ich syna. Wania milczał, uczył się znosić ból, zdumiony, że z radością bije się z rówieśnikami, nie odczuwając bólu po ich uderzeniach, nie mógł się przy tym nadziwić, dlaczego zwykły klaps mamy sprawia cierpienie całemu ciału. Bóle są różne - doszedł do wniosku Wania - i najłatwiej znosi się obrażenia i ciosy w bójkach z wrogami, takimi jak on chłopakami z sąsiedniego podwórka. Zaczął podsycać w sobie nienawiść do Panteleja: pojęczawszy obłudnie, zapinał spodnie i najspokojniej szedł do drugiego pokoju odrabiać lekcje, zapominając o dopiero co przeprowadzonym seansie pedagogicznym, który, rzecz jasna, nie ucieszyłby rodziców; ci zresztą mieli swoje bóle i radości. W tym czasie ojca wylano już z akademii „za niewłaściwą pracę z kobiecym stanem osobowym”, o czym niejednokrotnie przypominała ze śmiechem matka, podczas krótkotrwałych burzliwych sprzeczek. Nim jeszcze dorósł, Iwan domyślił się, że matka też nie jest bez grzechu w stosunkach z „męskim stanem osobowym”. Spośród wszystkich kobiet Leningradu matka wyróżniała się urodą i wieczną młodością; kiedy wychodziła ze sklepu, mężczyźni się przed nią rozstępowali.

Słowo „akademia” przyłgnęło jakoś do rodziny, ojciec wprawdzie odszedł z Wojskowej Akademii Medycznej, ale matka zaczęła pracować jako bibliotekarka w Artyleryjskiej, oficerowie, którzy studiowali (wszyscy w ostrogach, z koalicyjkami) hurmem odprowadzali ją do domu, na co nie odważały się studentki instytutu, w którym wykładał teraz ojciec. Nawet na zebrania rodzicielskie w szkole chodziła z akademickimi zalotnikami. Kiedyś wróciła pełna oburzenia: „Nasz syn zostanie aktorem!” - już od progu oznajmiła ojcu, na co ten, pochrząkując, zmrużył z zadowoleniem oczy. Syn stroił miny do nauczycieli, oblewał się atramentem, spytał dyrektora, do jakiej opozycji należy - do prawej czy lewej, kierownika nauczania zbił z tropu pytaniem, czy ten właściwie postępuje z żoną. Matka, córka kupca z Penzy, wyrosła w pogardzie dla wszelkiej prowincjonalnej błazenady, dla komediantów, ojciec natomiast często nucił arie. Niezadowolenie matki doszło do uszu Panteleja, pasek coraz częściej był w robocie, hulał po leżącym na tapczanie chłopcu, sprawiając, że ten śmiało rzucał się na krzywdzicieli, nawet gdy było ich wielu. Pantelej naderwał się zapewne, ale nie zdołał przytrzeć chłopcu rogów; przed każdą egzekucją zażywał szklaneczkę, albo i dwie, rozpił się i zmarł o trzy lata wcześniej, nim w Smolnym został zabity jego dowódca, dobroczyńca i bożyszcze - Kirow. Iwana pozostawiono wreszcie w spokoju, uzbrojony w książkę kucharską sam sobie gotował obiad, nie ufając matce, która więcej czasu spędzała przed lustrem niż przy kuchni. Przepisy kulinarne obejmowały także receptury kucharzy wojskowych; książka, przyniesiona przez matkę z Akademii Artylerii, pachniała mężczyznami, odzianymi w dobrze dopasowane mundury, dziarsko kroczącymi

po trotuarze ze stukiem obcasów i brzękiem ostróg. Były też inne książki: słuchacze Akademii starali się przywiązać do siebie chłopca jak pieska i jedna z tych książek - pod tytułem „Algebra” - tak zadziwiła Iwana, że zapomniał o podwórku, o kinie, godzinami przesiadywał w domu, wpatrzony w ścianę, przytłoczony niezwykłym odkryciem - okazało się nagle, że ludzie i przedmioty, zjawiska i wydarzenia, bóle i radości mogą być uśmiercone, unicestwione i przeistaczają się w coś nieokreślonego, oznaczonego literami alfabetu łacińskiego: czy w klasie było 7 czy 12 kałamarzy, wszystkie one zamykały się w symbolu „a”, w którym można zmieścić dowolną liczbę kałamarzy, krów na kolchozowym polu, tramwajów na ulicy - taka chciwa, wszystko wsysająca w siebie literka, koniecznie w parze z inną, tak że na przykład owce („a”) i drób („b”) razem składały się na inwentarz, w którym nie było już gdakania, piór, beczenia, sierści, kosmatych nóg i trzepoczących skrzydeł, lecz wszystko zwalone na kupę pod symbolem „c”. Zgodnie z założeniami zadania, wszystkie trzy symbole były wyrażone także w pieniądzach: w rublach i kopiejkach; za te ruble i kopiejki można było wszystko kupić w sklepie, jeśli na dodatek miało się kartki, co wydawało się już całkiem niepojęte i Wania nieprzytomnie patrzył w ścianę, z lękiem podnosił się i skradał do okna, widział sklep z pieczywem, zamknięty z powodu remontu, ludzi dokądś spieszących... Czyż oni naprawdę istnieją?... Symbole biegły obok symboli! I ręka dotykała parapetu, wyczuwała jego twardość i gładkość, oczy widziały zastygłą białą farbę i przez wiele jeszcze dni oczy, uszy i ręce Iwana badały przedmioty, chłonał zapachy mieszkania, wonie podwórza, palce dotykały płaszczyzn i wyniosłości, aż pewnego dnia gorące dłonie Wani trafiły na kuliste narośla - na piersi Nataszki z sąsiedniej klatki schodowej i żar spłynął w dół, ku nogom, całe ciało wypełnił upajający ból, od którego trzeba się było uwolnić, ratunkiem była sama Nataszka i ów nieustający ból; nie mógł już odjąć rąk od tych wypukłości, jego węż nagle się wyostrzył, Iwan, który przylgnął do Nataszki od tyłu i wdychał kuchenny zapach jej włosów, zapragnął wcisnąć się w dziewczynę, wejść w nią, zespolić się w jedno. Oprócz dwóch półkul ściśniętych dłońmi, wyczuwał także połówki krągłej pupy, Nataszka pochyliła się raptem i pupą odepchnęła Iwana, wypukłości oczywiście wymknęły się z jego dłoni, dziewczyna, wymachując torbą, poszła do sklepu, a chłopiec, płonący wstydem, pozostał w zimnej samotności podestu klatki schodowej i zniemawidził Nataszkę. Kiedy wyrósł i poznał kobiety, te wszystkie, które pozwalały mężczyznom uwolnić się

od dziecięcego wstydu i dziecięcego bólu, zaczął nazywać „nataszkami”, niepomny na to, że dziewczyna obudziła w nim palące zainteresowanie wielką tajemnicą kulistości wszystkiego, co żyje. Zagadka popchnęła go kiedyś ku stojącej na biurku lampie, ręka wsunęła się pod abażur, jak pod suknię i sparzyła się o gorącą żarówkę, dłoń głaskała ciepłe szkło, ale to ciepło i krągłość nie dawały ciału doznania owej rozkosznej męki bólu, nie wprawiały w upojenie i nie mógł zrozumieć, co było radością i zadowoleniem, a co bólem, jedzenie przecież także sprawiało radość, sytość jest zawsze przyjemniejsza od głodu, aż pewnego razu tak bardzo zapragnął zaznać przenikliwego bólu, że uciekł z lekcji, uczeplił się tramwaju, przejechał na drugi brzeg Newy, zakradł się do Parku Letniego, gdzie pod jesiennym deszczem mokły majestatyczne posągi kobiet, zdołał dosięgnąć do kulistych wypukłości, ale nie odczuł niczego, absolutnie niczego, tylko ich twardość. Pomyślał wtedy o matce, o kulistościach, które składają się na żywe, ciepłe, pulsujące krwią ludzkie ciało; w niedzielny poranek

(ojciec miał dyżur w szpitalu) Wania, wstrzymując oddech, zbliżył się do śpiącej matki i odchylił róg kołdry - głębokie wycięcie w nocnej koszuli pozwalało dojrzeć różowe piersi, ręka dotknęła tej bliższej, ale nie odczuła ani gorąca, ani rozkoszy bólu, druga pierś okazała się tak samo nieczuła, jak szklana żarówka, czy większy od piersi abażur. Ogarnęła go rozpacz, choć żywił jeszcze pewne nadzieje; Wania kombinował, jak się dostać pod kołdrę i podotykać owalne połówki, gdy nagle poczuł na sobie wzrok mamy, w jej oczach widział lęk i ciekawość, zaprawione lekką drwiną i współczuciem. Matka naciągnęła na siebie kołdrę i usiadła, Wania wszystko jej opowiedział - o Nataszce, o kobietach w Par

ku Letnim i matka pomartwiła się razem z nim, przytuliła chłopca, powiedziała, że za pomocą algebry nie da się zrozumieć Nataszki, tu potrzeba geometrii i stereometrii, potrzebne książki przyniesie mu z biblioteki, jest tam przecież szefem. Tak wielka była jednak żądza zgłębienia natychmiast tajemnicy, że wywalił wszystkie książki z dolnych półek i poukładał jedną na drugiej, matka jednak od razu zlikwidowała to rusztowanie; chłopięca ręka zdążyła tylko wyciągnąć „Podręcznik fizjologii patologicznej” N. N. Aniczkowa, matka zaś obiecała solennie, że na pewno zostanie zakupiona składana drabinka. Ale zanim ojciec przyniósł ją z bazaru, przystawiony do półek stół pozwolił sięgnąć po stare foliały; na tytułowej stronie jednego z nich było napisane odręcznie: „Z księgozbioru Wiel. Księcia Sergieja Michajłowicza”, co bardzo ubawiło przyjaciela domu, częstego gościa, pracownika naukowego Nikitina, który poradził matce, żeby spaliła jednak wszystkie spisane protokołem biblioteczne książki. Nikitin zjawiał się zwykle z bukietem kwiatów, wręczał go matce, po czym ze skupioną miną wkraczał do pokoju, jak nauczyciel do klasy, jego ponury wyraz twarzy zdawał się zabraniać wszelkich rozmów nie dotyczących lekcji; co więcej, obecność dziecka, to znaczy Iwana, uważał za równie niedopuszczalną i szkodliwą, jak przebywanie pierwszaka w towarzystwie kurzących drugoroczniaków. Dlatego Iwana nie dopuszczano do stołu, wyganiano na składaną drabinkę, nie domyślając się, że dzięki Nataszce chłopiec miał wyostrzony słuch. Dziewczyna biegała po podwórku, szczebiocząc jakieś głupstwa, które, jeśli lufcik był uchylony, docierały do drabinki; głośne rozmowy Iwan puszczał mimo uszu, chwycił za to ledwo dosłyszalny szept, nie zastanawiając się nad nim, nie wnika

jąc w jego sens, wiedział już, że ukryte w nim słowa same kiedyś przemówią, wywołane zapachem i barwą, które wiązały się z tym, co niegdyś usłyszał. Żył z opóźnieniem, to znów z wyprzedzeniem, słowa docierały do niego z pewną zwłoką; dopiero w rok po zabójstwie Kirowa odezwała się w nim rozmowa zza dwóch ścian. Nikitin z całą powagą przekonywał matkę i ojca: wszystkie nieszczęścia Rosji biorą się z marzeń o sytości i pogoni za pełnym brzuchem, co doprowadza do moru, nędzy, głodu, a z tego składa się właśnie historia państwa, którego ludność nigdy nie zdoła się wyżywić, gdzie ilość żywności nie odpowiada liczbie gęb do wyżywienia, i władze, nie mogąc zwiększyć jej zasobów, muszą uśmiercać głodujących. Rewolucje, wojny, zmiany władców - upierał się Nikitin - to są właśnie najlepsze sposoby na wyżywienie tych, którzy zostali przy życiu; ludzie w Rosji zawsze byli zabijani wszelkimi dozwolonymi i niedozwolonymi sposobami, albo wysyłani do obozów i więzień dla zmniejszenia racji żywnościowych - tak zawsze

było i będzie. A teraz - rozwodził się Nikitin - bolszewicy przesadzili, dla czysto politycznych korzyści zniszczyli najbardziej produktywną część ludności wiejskiej, tak zwanych kułaków, do czego także Pantelej przyłożył rękę, zboża będzie teraz jeszcze mniej, morzenie głodem będzie już państwową koniecznością, w najbliższych miesiącach, lub latach, rozpocznie się masowe mordowanie ludności miejskiej - można się spodziewać aresztowań, Leningrad opustoszeje - „Ja wam to mówię - twierdził - trzeba się liczyć z taką perspektywą!”

Zamęczał rodziców tym nedorzecznym gadaniem, ale oni przyznawali mu rację: tak, trzeba być ostrożnym, żadnych znajomości z tymi, na których

może paść podejrzenie, najmniejszego powodu do tego, żeby... Wania, słuchając zgryźliwca, odpychał od siebie wszystkie jego słowa, z wysokości drabiny spoglądał na podwórze, gdzie Nataszka rozwieszała bieliznę, zerkał także na balkon, na który, w tajemnicy przed mężem, w niezapiętym szlafrocжку wychodziła czasem na papierosa wesola babka; świat był tak bardzo różnorodny, że żadna książka nie mogła go objaśnić, ale jakże przyjemne były te wszystkie próby zamknięcia wszystkiego, co istnieje, w słowie lub formule, niepojęte, niepodległe rozumowi więzi łączyły świat z książkami: Maupassant skłaniał do zastanowienia się nad istotą nieskończone małych wielkości we wciąż zawężającej się przestrzeni między zerem a zbliżającymi się do niego liczbami, za to niewinne rozważania Goethego o barwach tęczy popychały ku portierni „Czerwonego Wyborzanina”, gdzie w tłumie koleżanek zjawiała się niedawna uczennica Raja, udając zdziwienie, wzruszała ramionami, żegnała się jednak z niedomyślnymi przyjaciółkami i prowadziła Iwana do siebie, gdzie całowali się do nieprzytomności i bólu dziąseł; co innego, bardziej tajemniczego łączyło matkę z Nikitinem, ojciec domyślał się co, ale milczał, matka przecież też nie zwracała uwagi na jego częste nieobecności, a oboje nie mogli zrozumieć dlaczego pracownik naukowy Nikitin sam sobie przeczy: przecież utrzymywał znajomość z podejrzanymi, chociażby z matką, którą już wyrzucono z biblioteki, odkryto bowiem z przerażeniem jej kupieckie pochodzenie, nie powinien także znać ojca, który dostał za coś jeszcze jedną naganę. Nikitin mówił o sobie, że jest genetykiem, pracował w Wszechzwiązkowym Instytucie Hodowli Roślin, tam zapewne otrzymywał dane dotyczące liczby obywateli i średniej ilości pszenicy przypa

dającej na jedną związkową głowę; jego prognozy zaczęły się sprawdzać, nastąpiły aresztowania (piętnastoletni Iwan od dawna już czytywał gazety i słuchał radia przed snem), którejś nocy zabrano ojca Nataszki, przyznał się do sabotażu, co, jak się okazało, czynili wszyscy aresztowani, gnębiło to i zdumiewało rodziców, Nikitin reagował tylko szyderczym chichotem, twierdził wszyscy przyznają się do winy, wszyscy są tacy sami, „kat torturuje kata; zabijałeś ludzi?” Któregoś dnia przyszedł bez kwiatów i zażądał, by rodzice natychmiast opuścili Leningrad, jest już niebezpiecznie, krzyczał, był tak rozgorączkowany, że nie zauważył nawet Iwana i przy nim wyrzekł uroczyście: „Leonidzie Grigoriewiczu, zna pan mój prawdziwy stosunek do pańskiej małżonki, może pan sobie wyobrazić, jak będę bez niej cierpiał, mimo to błagam, jestem gotów paść panu do nóg: wyjedźcie, dopóki jesteście cali i wolni, zaklinam!...” W całym mieszkaniu rozległo się: „klinam... klinam... klinami”, i to błaganie, odbite od ścian, pulsowało, wibrowało, popędzając rodziców, już od dawna pogodzonych z

myślą, że trzeba będzie na jakiś czas, lub na zawsze, opuścić Leningrad, gdzie prawie wszyscy przyjaciele i znajomi - to wrogowie, ale tak bardzo nie chcieli się wyjeżdżać, porzucać takiego mieszkania! Nikitin przychodził niemal codziennie, przyprawiając rodziców o przerażenie niesłychanymi informacjami; odpowiednie mieszkanie znalazło się w Mohylewie, ojciec miał tam zapewnioną pracę, matce obiecano pracę w szkole, ktoś, kto chciał uciec z Mohylewa, gotów był zamienić się mieszkaniem. Rozpoczęła się korespondencja, uzyskano potrzebne do wymiany zaświadczenia, ale czyjaś władcza ręka przeszkadzała w przenosinach, ojciec twierdził, że ręka domaga się łapówki i wtedy matka podsunęła myśl:

w Mohylewie jest ich krewny, który wiele zawdzięcza Leonidowi, niech więc postara się pomóc, jest tam przecież gospodarzem - sekretarzem komitetu miejskiego partii. Ojciec uległ namowom, napisał do Mohylewa; nie znał domowego adresu krewnych, wysłał list do gazety partyjnej, tam musieli przecież znać swoich wodzów, nie otrzymał jednak odpowiedzi, następny list też się gdzieś zagubił, ten sam los spotkał telegram i nagle tenże krewny zjawił się w Leningradzie, i to nie sam, ale z całą rodziną. Pewnego razu rozległ się ostry dzwonek, siedzący na drabinie Iwan oczywiście nie drgnął, jego wyobraźnię już od miesiąca niepokoiła tajemnicza liczba „II”, drażniła papierosem kobieta na balkonie; obowiązywała doskonałość form, elipsa była ujmowana to jako kontynuacja koła, to jako jego poprzedniczka, dotarło jednak do uszu chłopca, że w głosach rodziców jest radosne zaskoczenie, tamci natomiast wydają się czymś poirytowani, spieszą się i chcą niezwłocznie wyjaśnić sytuację. Głosy pohłasowały i umilkły, rodzice i goście zamknęli się w drugim pokoju. Iwan przewrócił kartkę, spojrzął w dół i zobaczył pod drabinką chudziutkiego chłopca, spoglądającego na niego nieśmiało; chłopiec mógł mieć tyle lat co i on, ale wydawał się niższy, ponieważ Iwanowi, siedzącemu okraciem na drabinie, takim się wydawał; stał pognębiony, z zadartą głową, Iwan górował nad jasnowłosym okularnikiem i od razu, na długo stało się jasne, kto komu ma podlegać; chłopiec bez sprzeciwu uznał starszeństwo Iwana; podając mu czerwone rumiane jabłko, powiedział, że zazdrości wszystkim leningradczykom, tak wiele tu interesujących i rozmaitych rzeczy... Oznajmił, że ma na imię Klim, przyjechał z Mohylewa, Iwan jest jego kuzynem z pierwszej, a może z drugiej linii, nie wie tego

dokładnie, a jabłko jest prawdziwe krymskie, bardzo smaczne, w Mohylewie też są rumiane i słodkie jabłka i wcale nie jest tam tak nudno, jakby się mogło wydawać. Następnie opowiedział o pechowym dzieciństwie: do pięciu lat Klim nie mógł chodzić bez kul, odzyskał władzę w nogach dopiero po wylegiwaniu się w błocie Eupatorii, lecz jego najszczeńsze dni to te, kiedy kuś tykał po ulicach, cieszył się widokiem domów i ludzi, ponieważ wszystko i wszyscy są różni! Tak, nic nie jest podobne do siebie nawzajem - ani ludzie, ani domy, ani miasta, dachy domów mogą być drewniane, blaszane, kryte dachówką, słomą, dachy mają różny kąt nachylenia do ziemi, do ścian, na dachach - i to się zdarza - rośnie trawa. A okna - w oknach wiszą firanki różnego koloru, z różnych tkanin, na różnej wysokości, firanki zasłaniają przed wzrokiem przechodniów wnętrza pokoi, lub przeciwnie, pozwalają widzieć pokoje, a w nich ludzi: dziewczynkę, która z natężeniem wpatruje się w podręcznik i gryzie koniuszek warkoczyka, w swoich mieszkaniach ludzie zachowują się inaczej niż na ulicach -

on, Klim, już dawno to zauważył, jeszcze wtedy, gdy dokuśtykawszy do jakiegoś domu, przyglądał się ludziom, zresztą ludzie też są tak różni, że wydaje się niemożliwe, by objąć całą ich różnorodność i różnokolorowość jednym słowem „ludzie”, nie ma dwóch jednakowych ludzi, człowiek od człowieka zawsze czymś się różni, ich twarze nie są podobne, chód także, są różnie ubrani, ale, szczerze mówiąc, im bardziej różni i odmienni są ludzie, tym mocniejsze pragnienie, by zobaczyć, że są jednakowi i kiedyś on, Klim, odczekał aż przejdzie przed nim cała kolumna czerwonoarmistów i bardzo się ucieszył: wszyscy mieli jednakowe bluzy jasnozielonego koloru, takie same

spodnie, a zamiast pilotek czy czapek - szarozielone hełmy i każdy żołnierz niósł na ramieniu - jakby jeden i ten sam karabin z szaroniebieskim bagnetem. Tak radosny był ten widok powtórzenia człowieka w człowieku, tak przyjemny, a przecież nie byli identyczni - jednakowe bluzy fałdowały się różnie przy pasach, bagnety kołysały się, buty miały różne rozmiary, wystarczyło przyjrzeć się twarzom, a znikła jednakowość, każdy miał inne wargi, policzki, podbródki, oczy, a (Klim konfidencjonalnie dotknął drabiny) jednak, co zdumiewające, choć tak niepodobni do siebie, byli ludźmi, właśnie ludźmi, nikt nie mógłby ich pomylić z psami, wszyscy mieli dwie nogi, dwie ręce, jeden nos, dwoje oczu, średni wzrost sto sześćdziesiąt osiem centymetrów i, co dziwniejsze, spotykani na ulicach inwalidzi, wśród nich on sam, istoty z jedną nogą lub ręką, kulawe, głuche, jednookie - wszyscy oni potwierdzali tylko, że człowiek powinien mieć dwie nogi, dwie ręce, dwoje nozdrzy i tak dalej, a otrzymał ten zestaw od rodziców, różni się natomiast czym innym, choćby bracia tej dziewczynki, co gryzła koniuszek warkocza, byli zupełnie do siostry niepodobni, ale cała rodzina miała w sobie coś wspólnego, tylko jej właściwego, choć ludzie spokrewnieni starają się jakoś oddalić od siebie poprzez cechy zewnętrzne i wewnętrzne - oto jakie ciekawe obserwacje przeprowadził on sam - Klim Paszutin; w Mohylewie także dowiedział się o Gregorze Mendlu, który za pomocą grochu próbował odkryć tajemnicę jednakowej niejednakowości; chwilami wydaje się, że Gregor Mendel w dzieciństwie też był kaleką i chciwie wpatrywał się w tych, którzy dziarsko poruszali się na nogach, z łatwością i swobodą przemieszczali się po ziemi...

Iwan, pogryzając jabłko, słuchał tych głupstw i złościł się, ponieważ uprzykrzone zwierzenia smarkacza z Mohylewa zagłuszały ledwo dosłyszalny potok słów wypowiedzianych w pokoju rodziców, decydowało się tam coś ważnego, co jego także dotyczyło, a ten chłopaczyna z Mohylewa - zaczynało go to już doprowadzać do wściekłości - w dzieciństwie wytrzeszczał oczy na to, co od dawna intrygowało Iwana, od czasu, gdy rozgryzł sekret mózgu, umiającego łączyć w jedną, oznaczoną symbolem, gromadę, całkiem różne rzeczy, dawno to już zauważył - niezależnie od tego, ile tramwajów różnych linii składało się na pojęcie „tramwaj”, odmienne od „autobusu”, każdy wagon z kabłąkiem występował tym wyraźniej. „Jabłko jest zgniłe...” - wycedził przez zęby i zeskoczył z drabinki tak, żeby popchnąć przybysza, pognębić szczeniaka, chudziutkiego i nieśmiałego, który nie potrafiłby rzucić kamieniem w okno i zwać - zeskoczył, przekonał się, że tak właśnie jest: żadna paczka nie przyjmie tego kuzyna z pierwszej czy drugiej linii, jak był kaleką, tak i pozostał; w tej samej chwili oba głosy krewniaków głośno zawołały Klima, w kobiecym jakby pasek wznioł się do lania; krewniacy, którzy przyjechali tak niespodzianie, stali w przedpokoju jak obcy ludzie, odmówili



pozostania na herbacie, bez uśmiechu na pożegnanie, bez życzliwego słowa, ojciec milczał nachmurzony, matka uśmiechała się radośnie, ale Iwan znał przecież jej dziwactwa, matkę zawsze podniecały nieprzyjemności; kiedyś zgubiła kartki na kaszę - i śmiała się do rozpuku. Zamknęły się drzwi za krewniakami, musieli przynieść jakieś zmartwienie, bo po raz pierwszy w ich życiu rodzinnym rodzice zawołali syna na naradę, a jednocześnie Nikitin, który jakby z daleka wyczuł niebezpieczeństwo, zapominając o dzwonku, walnął pięścią

w drzwi. Jego i syna powiadomiono o tym, że w 1919 roku chirurg Barinow wraz ze swoim szpitalem trafił do niewoli u białych i leczył wszystkich bez wyjątku, i białych i czerwonych, czego w żadnej ankiecie nie ukrywał; tam na tyłach u białogwardzistów spotkał szwagra, Jefrema Paszutina, białego oficera, obecnie Jefrem Paszutin był wysokim partyjnym funkcjonariuszem, rządził w Mohylewie i nie tylko nie życzył sobie znajomości z Barinowami, ale gotów był oddać ich w ręce NKWD, gdyby przenieśli się do podległego jego władzy miasta; oszołomiony ojciec usłyszał, że Paszutin był u białych jakoby na polecenie podziemnego rewkomu („Bzdura!” - wrzasnął Nikitin) i teraz proponuje układ: Barinowowie zapomną o krewnych w Mohylewie, nigdzie o nich nie pisną ani nie napiszą słowa, a on nikomu nie zamelduje, że chirurg Barinow wyleczył niejednego białego... Matka roześmiała się głośno, wciąż jeszcze nie mogła przyjść do siebie po spotkaniu z przyrodnią siostrą, której niegdyś rodzina wyrzekła się z jakiegoś powodu; Iwan natomiast nie mógł zapomnieć proszącego, pełnego skruchy uśmiechu ciotecznego brata, któremu dano imię Klim dla uczczenia legendarnego komisarza ludowego Klimenta Jefremowicza Woroszyłowa - wiedział, okularnik z Mohylewa dobrze wiedział, po co przyjechali jego rodzice, dlatego błagał o przebaczenie. „Do Mińska, jedźcie do Mińska!” - zaczął biegać wokół stołu Nikitin, budując już nowe plany życia dla Barinowów, nagle zatrzymał się, znieruchomiał przed Iwanem i jął wbijać mu do głowy: nikomu ani słowa, trzeba być niezwykle ostrożnym, krajem rządzą szaleńcy o nieprzewidywalnym zachowaniu, chuligani pijani od urodzenia, normalni ludzie muszą ich omijać. „Niczego nie widziałeś! Niczego nie słyszałeś! Niczego nie wiesz!” - wbijał Iwanowi do głowy, następnie Nikitin

pomknął na dworzec po bilet do Mińska, dokąd pojechał tego samego wieczoru, ojciec i matka natomiast siedzieli do późnej nocy przy stole, ręce mieli splecione, od tego dnia odżyła w nich dawna miłość, która niegdyś połączyła czerwonego chirurga z prowincjonalną panną, rodzice jakby doszli do wniosku, że są dotknięci tą samą śmiertelną chorobą i postanowili nie zatruwać ostatnich lat kłótniami i wyrzutami, nocnymi dyżurami ojca i kwiatami od Nikitina, co prawda ojciec zaczął już piąty krzyżyk, ale matka, choć trochę przywiędła, po dawnemu zachwycała mężczyzn. W pamięci Iwana matka zawsze łączyła się z białymi nocami Leningradu, ona była światłem odpychającym ciemność, a Nikitin widział w niej i ciemność, i światło.

Mińsk został wybrany na miejsce dobrowolnego zesłania, ponieważ zdaniem Nikitina na Białorusi główne uderzenie NKWD nie spadnie na lekarzy i pedagogów, czekać ich pochwycą bezlitośnie pisarzy i poetów za to, że przesadnie głoszą chwałę ojczystej republiki; zanim jego prorocтва się sprawdziły, w Leningradzie aresztowano całą mińską rodzinę, która zajęła mieszkanie Barinowów; mieszkanie, to oczywiście, musiało już być na liście i rodzice przyznali rację Nikitinowi,

który wyganiał ich z Leningradu; oni zaprowadzili Iwana do matematyka, wiedzącego już od Nikitina o leningradzkim uczniu, który, niczym orzechy, rozgryzał równania każdego stopnia, i matematyk wziął chłopca pod swoją opiekę. Leningrad słynie z pomników zwróconych ku przyszłości, puste oczy posągów spoglądające we wszystkie strony świata niezmiernie poszerzają obszar miasta nad Newą; władcy dumną postawą podpierają niebo, dźwigając na ramionach ciężar cudzych błędów; ich ręce są modlitewnie złożone,

marzycielsko zaciśnięte, lub uniesione w geście wskazującym dalszą drogę, zaciśnięta pięść demonstruje sposób, w jaki trzeba chwycić wroga za gardło, albo tłuc go po głowie. W mińskiej szkole Iwan już na pierwszej pauzie rozkwasił koledze nos, ustalił swoją pozycję, zaimponował nieśmiałym białoruskim dziewczynkom, przyszłym „nataszkom”; syn - jako student - powtórzył wyczyny ojca, całymi tygodniami dyżurując przy łóżkach panienek o krótkich, po komsomolsku uciętych włosach, dopóki mu się to nie znudziło, dopóki, nocując u pewnej studentki medycyny, nie otworzył przypadkiem podręcznika biologii i z zapartym tchem nie przeczytał o Gregorze Mendlu. Ten pracownik klasztornego frontu, jak nazwała go dowcipna studentka, żył niemal jak pustelnik, pozycja nie pozwalała mu zaglądać w cudze okna i z zewnątrz podpatrywać wewnętrzne życie przyzwoitych rodzin, nie maszerowali przed nim żołnierze w jednakowych czapkach, czy hełmach, za to na grządkach swego warzywnika, robiąc doświadczenia z grochem, zwątpił w słuszność starożytnego twierdzenia, że podobne rodzi podobne, obalił przekonanie o samozapylających się podobieństwach, krzyżując groch o czerwonych kwiatach z białokwiatowym, dzieci z tego małżeństwa okazały się białe, natomiast jedna czwarta wnuków była czerwona, to rozczarowało trochę Iwana; skoro istnieje dokładny stosunek ilościowy, to prawa dziedziczności - utajone - są w pełni możliwe do wyliczenia, dadzą się wyrazić matematycznie, nawet jeśli wziąć pod uwagę, że ludzie to nie rodzina motylkowych, ich właściwości nie ograniczają się do koloru oczu czy kształtu uszu. Jakiś matematyk z pewnością rozwiąże to zadanie, jeśli wcześniej tej łamigłówki z różnicami w podobieństwie i podobieństwach w różności nie roz

szyfruje Klim Paszutin, zajmujący się właśnie tym problemem w Gorkim, w tamtejszej Akademii Rolniczej, gdzie zyskał rozgłos dzięki sukcesom w nauce. Iwan natomiast studiował na wydziale matematycznofizycznym Uniwersytetu w Mińsku, chociaż w duchu uczciwie przyznawał, że nie jest stworzony dla matematyki, lecz dla czegoś innego: brakowało mu wytrwałości, prowadzący go profesor często się gniewał. Którejś nocy przyszedł Nikitin, niczym wąż wśliznął się do mieszkania i szeptem oznajmił, że nadchodzą chyba lepsze czasy, mieszkanie na Karola Marksa jest już pewnie wolne od podejrzeń, nikogo stamtąd nie zabierają, karzący miecz się stępił, ale nie wolno pozwalać sobie na luz, Iwan musi wciąż pamiętać o tym samym - „Nic nie widziałem! Nic nie słyszałem! Nic nie wiem!” Niech imiennik bohatera wojny domowej, Klim Paszutin, gorliwie się stara i publikuje mądre, trzeba przyznać, artykuły o heterozygotowych mutacjach, a Iwan powinien siedzieć cicho, nie robić wokół siebie szumu, może ogłosić jeden artykuł o liczbach prostych i to wystarczy. Ojciec tak się ucieszył widokiem jedyne go przyjaciela rodziny, że trzymał go do rana; w ciemności pili wódkę, matka nie poskapała przyjacielowi ręki, a ten wodził ją po swojej twarzy, po ustach. Nikitin opuścił

mieszkanie w kapeluszu nasuniętym na oczy, zgarbiony, by zmienić chód, nawet w rozmowie sepleniał, chcąc całkiem zbić z tropu szpicli, krążył, nim doszedł na dworzec. „Ani kroku do Gorkiego!” - uzupełnił nowym punktem kodeks postępowania i zniknął w półmroku przedświt; tak się skończyła w życiu Iwana owa przedziwna noc: koc narzucony na grający patefon, wymowne, przejmujące milczenie kochających go ludzi, on - w słodkim półśnie i wszyscy razem skuci łańcuchem tajemnicy, mocniej niż pokrewieństwem.

Długa, bardzo długa noc - a po niej pochmurny wrześnieowy ranek 1939 roku: połączyły się obie Białorusie, w audytoriach pojawili się „zapadnicy”, nowe troski, nowe kłopoty, nakazy Nikitina nie tyle zostały zapomniane, co przesłoniły je nowe; pojawił się cały reportaż o Klimie Paszutinie, Iwan przeczytał ten hymn pochwalny bez zainteresowania i bez zazdrości, wcale nie był przejęty, gdy we wrześniu wezwano go jako najlepszego studenta do dziekanatu i polecono, by niezwłocznie pojechał do Gorkiego, natychmiast! Sprawa była pilna, ponieważ uniwersytet objął szefostwo nad katedrą matematyki akademii w Gorkim, wprowadzono tam nowy przedmiot - biometrię, odbywały się już wykłady i to w ilości przekraczającej plan, i wszystko byłoby dobrze, ale, jak się okazało, biolodzy podjęli nowy kierunek badań, zastosowanie teorii prawdopodobieństwa w procesach zachodzących między neutralnymi mutacjami, a nie mieli literatury, trzeba byłoby niezwłocznie ją dostarczyć i znaleźć miejsce na dodatkowe sześć godzin wykładów z teorii prawdopodobieństwa, powiedziano mu więc: tu jest literatura - dziesięć paczek, rektor da samochód, nie dla Iwana, ale dla Niemców z delegacji naukowej, którzy jadą do Gorkiego, Niemcami trzeba się zaopiekować, to przecież przyjaciele, pakt o nieagresji został podpisany jeszcze w ubiegłym roku, tak więc, żeby im się nic nie stało, zrozumiano? Żeby żywi i cali dojechali na miejsce, pełni wiary w zwycięstwo socjalizmu, żeby... „Głową odpowiadasz za Niemców!” - huknął oficer z dwoma prostokątami, który wszedł do dziekanatu i pokazał Iwanowi pięść, takie samo pouczenie otrzymał kierowca, niewprawnie kręcący kierownicą, który hamował przed każdą dziurą i głośno zastanawiał się, jak ją objechać - enkawudowski kie

rowca, żaden kierowca, zwykły pracownik operacyjny; akurat znalazł się pod ręką - starał się nie spuszczać z oka Niemców i drogi.

A ci siedzieli z tyłu, jeden chudy, krzepki, kościsty jak pięść czekisty, mówiący dobrze po rosyjsku - mieszkał niegdyś w Rosji („na terytorium dawnej Rosji”), drugi - dobrotliwy, o wylupiastych oczach, po dziecinnemu ciekawy - fizyk z Heidelbergu, kościsty natomiast był chemikiem i biologiem, nazywał się Jurgen Meisel i bardzo nie spodobał się Iwanowi, który wprawdzie niewiele rozumiał po niemiecku, domyślał się jednak, że Meisel, odpowiadając na pytania fizyka, drwi ze wszystkiego, co widzi, wytyka palcem kołchoźników na polach ziemniaczanych, z lekceważeniem wyraża się o stadach krów, wprawdzie wynędzniałych, ale jednak białoruskich, swoich, które dawały Iwanowi i mleko i mięso, a drogę kłął po rosyjsku w żywy kamień, kierowcę także, popędzał go bezskutecznie, bo ten po trzech godzinach jazdy był tak wykończony, że nie mógł utrzymać kierownicy, a czas przyjazdu był dokładnie wyznaczony: należało przywieźć Niemców do Gorkiego przed zachodem słońca! Szofer chętnie odstąpił kierownicę Meislowi i samochód od razu przyspieszył. Ale to nie szybkość przeraziła Iwana, ani to, że emka o mało nie stoczyła się do rowu,

lecz rzucone mimochodem słowa Meisla: Niemiec koniecznie chciał zobaczyć się w Gorkim z Klimem Paszutinem, zapytać o pewne sprawy autora artykułu o prymatach w dziedziczności! Właśnie z tym tematem borykał się Niemiec na swoim berlińskim uniwersytecie, zatrzymał się na krótko w Mińsku, a teraz doganiał niemiecką delegację, która wyjechała o dobę wcześniej; Iwanowi stwarzało to wyjątkowo kłopotliwą sytuację, nie chciał się pokazywać na oczy Klimowi, braciszek mógł nieo

patrznie rzucić mu się na szyję, lekceważąc wszelkie zasady konspiracji, dlatego należało się spóźnić, przyjechać dopiero w nocy, pozbyć się podręczników i pozostałej literatury, oddać ją jakiemuś oblatanemu studentowi, po cichu uzgodnić z dziekanem wprowadzenie dodatkowych wykładów z teorii prawdopodobieństwa i od razu wyjechać z powrotem do Mińska, po diabła mu potrzebny ten nadmiernie utalentowany kuzyn, któremu wróżą wielką przyszłość, niech spływa, byle dalej - i kiedy do miasta pozostało niecałe sto kilometrów, Iwan zdecydowanie położył rękę na kierownicy, zatrzymał samochód i oznajmił Meislowi: niech Niemcy wezmą na siebie odpowiedzialność za ewentualną awarię przy takiej jeździe, kto prowadzi wóz - ten odpowiada, trzeba napisać dokument, zdejmujący z Rosjan wszelkie podejrzenia o umyślnie spowodowanie katastrofy, piszcie! Pogardliwie uśmiechnięty Meisel zgodził się sporządzić odpowiednie oświadczenie i podpisać je, nie wiedział tylko, co właściwie ma napisać, jaką formę nadać dokumentowi, który powinien mieć moc prawną i Iwan ze złośliwym uśmiechem (nie wyzwolił się jeszcze z dziecinnej skłonności do kawałów) zaczął deklamować, a Meisel otworzył parkera i jął pisać, tłumacząc koledze tekst, dopóki się nie spostrzegł i nie wrzasnął przerażony: „Pan mi odpowie za prowokację!...” Do tego drugiego, o wylupiastych oczach, sens dotarł nieco później, pocziwiec zapragnął uciec, dokąd oczy poniosą, ponieważ ów podyktowany przez Iwana tekst miał mniej więcej następującą treść: „Ja, Meisel JurgenLuiz, i ja, Schmidt Wilhelm, przebywając na terytorium Białoruskiej Sowieckiej Socjalistycznej Republiki, przy w pełni zdrowych zmysłach, postanowiliśmy zakończyć życie samobójstwem na znak protestu przeciwko zbrodniom dokonywanym

przez Adolfa Hitlera...” Grożąc Iwanowi akcją dyplomatyczną, Meisel podarł papier na drobne kawałeczki, po czym Niemcy zebrawszy te kawałki, spalili je nad zapalniczką i zwrócili kierownicę szoferowi - a Iwanowi tylko o to chodziło - i samochód ponuro potoczył się, oświetlając wyboje i wądoły. Meisel zaś - po długim milczeniu - zauważył protekcyjnie, że Iwan powinien się jeszcze uczyć prowokacji, gdyby trafił do Gestapo, nie robiliby tam z nim ceregieli... I dodał uspokajająco: no, już dobrze, nikomu o tym nie opowie; pocziwiec coś tam po swojemu zamamrotał i podarował Iwanowi zapalniczkę. Powitano Niemców tak uroczyście, że w tym rozgardiaszu nie mieli chyba głowy do skarg. Iwan przekazał książki zgodnie z poleceniem i pobżył się spać w domu akademickim, niezadowolony z siebie: nie wolno było straszyć Niemców, jeśli nawet nie napiszą skargi, to kierowca się postara. Rano także gryzły go myśli o wczorajszym wyczynie, miał ochotę - za karę - sprawić sobie ból, pogawędził z „nataszką” na korytarzu, paniusią z Mińska, chudą idiotką z krzywymi nogami, naopowiadał jej niestworzonych rzeczy, zaprosił na wieczór do klubu, świetnie wiedząc, że przed wieczorem opuści Gorki - na załatwienie spraw w akademii wystarczy mu godzina,

najwyżej półtorej. Kierowcaszpicel już się ulotnił z zapalniczką, którą zwędził Iwanowi, a ten, mając jeszcze sporo czasu do odejścia pociągu do Mińska, odzyskał dobry nastrój, lecz zaraz go stracił, w gmachu uczelni zobaczył z daleka Klima, od razu go poznał i zimno mu się zrobiło; brat szedł otoczony delegacją, rozmawiał z nimi po niemiecku - pewny siebie, wyższy od Iwana, w białym fartuchu; tak spieszący się do niego Jurgen Meisel stał nieopodal, nie męczył go pytaniami, słuchał uważnie, nic nie notując, wszyscy pozostali Niemcy

uzbroili się w pióra i notesy. Nie chcąc być zauważonym, Iwan cofnął się, skręcił w inny korytarz, znalazł katedrę matematyki, omówił z nimi, co trzeba, znudzony długo siedział w stołówce, miał już zamiar wyruszyć na dworzec, postanowił jednak zobaczyć słynny tutejszy ogród botaniczny; sam go znalazł, nikogo nie spotkał, przykucnął, przyglądając się pąkowi jakiejś rośliny - czuł się absolutnym profanem, ponieważ jeszcze w szkole uważał botanikę za dziewczynską naukę, dziewczynka, z którą siedział w jednej ławce, podczas wakacji biegała za niego w pole, zbierała kwiaty do zielnika. Teraz, zbliżywszy do oczu uniesioną jedną ręką łodygę, wpatrywał się w pąk, który nie zdążył się jeszcze rozwinąć w kwiat: może korzenie nie wyciągnęły z ziemi czegoś potrzebnego do wzrostu, albo nie wystarczyło ciepła i światła; gdyby wszystkiego było w sam raz, w aksamitnym wnętrzu rośliny dojrzałyby nasiona, w których wszystko już jest: i ta uniesiona łodyga, uginająca się pod ciężarem narządu rozrodczego, i układ korzeni, i zapach rośliny, który powtarza się w całości i w szczegółach, cała przyroda to wznawiające się powtórzenie, wszystko co istnieje powtarza się, i to mgnienie, co już minęło, a zdublowało poprzednie, samo zostanie wznowione w następnej kopii - tak, to ten sam problem sumy nieskończonej małych wielkości, i genetyka, jak się nad nią dobrze zastanowić, to nauka o powtórzeniach, poszukiwanie tego elementu dziedziczności, który zawiera nie tylko podobieństwo, ale także środowisko sprzyjające pasji reprodukcji, ten element także mieści się w komórce, w ognisku reprodukcji, gdzie tli się coś takiego, co zachowuje w sobie przeszłość i, o dziwo, także przyszłość, te ogniska - to jednocześnie gleba i nasienie, łono i płód...

Iwan wyprostował się ugodzony nieprzyjemną myślą: przez wszystkie te lata na Biabrusi zbierał okruchy informacji o komórce, chwycił urywki rozmów, coś tam czytał, przypominał sobie nawet to, czego jakby wcale nie było - wiedział nawet, o czym obecnie dyskutują biolodzy, wszyscy oni są zdumieni - jakież to składnik skupia w sobie czynniki dziedziczności? Niektórzy w ogóle odrzucają cielesność tych czynników, ich materialność, całkiem nieprawdopodobne wydaje się przypuszczenie, że z jakichś tam łańcuchów kwasów lub białek rodzą się: zapal, natchnienie, namiętność, ból i radość, myśl i gwiazdy, księżyc i ten ogród botaniczny - nie, powinna być jakaś siła, niematerialna substancja, musi być, musi!...

Drgnął na dźwięk niewątpliwie do niego skierowanego słowa „braciszku”, strzelił okiem w prawo i w lewo, odgadując, że za nim stoi Klim, sbwo to usłyszał po raz pierwszy z jego ust w Leningradzie, głos mu się jednak zmienił, nie tyle wydoroślał, co stał się czysty, nie mówił już przez nos, widocznie zrobiono mu operację, usunięto polipy, ale spojrzenie pozostało tak samo nieśmiało prosiące i uśmiech ten sam, rodzice na pewno pouczyli Klima, napędzili mu strach - żadnych kontaktów z Barinowami. Ale oto spotkali się i już po pierwszych słowach okazało się, że

przez wszystkie te lata spędzone z dala od siebie kontynuowali rozpoczętą w Leningradzie rozmowę i Klim powiedział marząco: jak by to było dobrze, gdyby mogli popracować razem, ponieważ tylko dwóch, pracujących wspólnie ludzi potrafi rozwiązać wszelką tajemnicę bytu, tylko dwa przyjazne, a jednocześnie antagonistyczne pierwiastki, jakby męski i żeński, szaleją, zmieniając płęć w zamkniętej komórce, korygując się nawzajem - tak mniej więcej się wyraził, na co Iwan

burknął: „To poszukaj sobie kobiety!” Klim nie od razu zrozumiał, o co mu chodzi, po czym rzekł markotnie, że nie umie nawet, jak należy, po męsku, pogadać z kobietami, Iwanowi przemknęło przez myśl, czy aby chirurdzy nie okazali się zbyt gorliwi i razem z polipami nie usunęli kuzynowi czegoś jeszcze?

Krótkie, jak szloch, spotkanie - rozmawiali zaledwie minutę lub dwie, ale to najważniejsze zostało powiedziane - łączyła ich teraz zawiła przebiegłość Natury, nie tylko pokrewieństwo. „Do zobaczenia”, zabrzmiało z ich ust jednocześnie, ale ani jeden, ani drugi nie wiedzieli, kiedy nastąpi to spotkanie. Stali w odległości stu metrów od oranżerii, gdzie jakiś chłopak wstawiał wybitą szybę, w pobliżu ani żywej duszy, co kogo mogło obchodzić dwóch zwiedzających, nie warto nawet martwić rodziców, ale Iwan od owej przedziwnej nocy tak ich pokochał, że opowiedział im jednak o Klimie, a oni nie powiedzieli mu ani słowa, zmartwieni popatrzyli tylko z gorzkim wyrzutem i ubolewaniem, tak, że sam się zawstydził. Czterdziestosiedmioletni ojciec był już siwy, matka wychudła, jej błękitne oczy płonęły wymuszoną wesołością; ojciec odwrócił wzrok od syna, który zlekceważył przestrogi, matka uśmiechnęła się gorzko, ale oboje mu wybaczyli; nie można było jednak nie powiadomić Nikitina i ten przyjechał po tygodniu, zajrzał na godzinkę, rozśmieszył wszystkich swoją dziwną kocią bródką i uspokoił rodziców Paszutinów nikt nie rusza i ruszyć nie zamierza, o czym świadczy pewność siebie, z jaką Paszutin starszy zasiada na mohylewskim tronie, mówi się nawet, że będzie przeniesiony z obwodu do bbgosławionego Stawropola. Nikitin rozweselił ich, uspokoił i wybył do swego Instytutu Hodowli Roślin oglądać przez mikroskop pszeniczne ziarno, to

zajęcie nauczyło go i przyzwyczaiało, by określać wszystkich ludzi pod kątem ich zdolności do wzrostu oraz siły przetrwania, władza jednak posługiwała się widać lepszymi i znacznie bardziej precyzyjnymi instrumentami - nim minęły trzy miesiące, Paszutin i jego małżonka zostali aresztowani, pospiesznie ogłoszeni wrogami narodu; kapryśny los okazał się przychylny dla Barinowów, Paszutinów rozstrzelano tak szybko, że nie zdążyli nawet otworzyć ust, ich więzy pokrewieństwa nie zostały ujawnione, ale jad wyrzutów sumienia zatrzał Barinowów. Solidny, powszechnie szanowany chirurg - siwą grzywą włosów i osadzeniem głowy przypominający króla zwierząt - lwa, gotowego ryknąć ostrzegawczo, teraz po śmierci Paszutinów oklapł, grzywa opadła, zmieniła się w zmierzwione klaki, a zamiast ryku słycać było ochryple, niewyraźne mamrotanie; Iwan zgadzał się z ojcem - tak, tak, zawinił, nie powinien był jechać, narażać Klimę na spotkanie, Klim zresztą ocalał i kontynuował swoje studenckie i naukowe prace w akademii. Nikitin też zapewniał, że nie ma żadnego związku między ich przelotnym spotkaniem, a aresztowaniem Paszutinów; byłego białogwardzistę zgubił strach, pragnienie przeskoczenia z warstwy tylko nieco podejrzanych do wąkiej grupy zupełnie czystych, ale i Nikitin stracił rezon, kiedy dowiedział się o wezwaniu Iwana do bezpieczeństwa,

rodziców tym bardziej to przeraziło. Ten sam człowiek z dwoma prostokątami na naszywkach, posiadacz pudowej pięści, wrzasnął na Iwana: „Kto ci dał prawo werbowania Niemców? Dlaczego nas nie uprzedziłeś?” W tym czasie delegacja niemiecka pojeździła już po kraju i zdążyła szczęśliwie powrócić do Berlina, wszystkie dokumenty o jej śledzeniu były ponumerowane i spięte, ignorancki raport kierowcy został prze

czytany od góry do dołu i z powrotem, z przecinka mi i bez nich, każdy kierunek doprowadzał do niezachęcających wniosków. Iwan, udając przestraszonego, uczciwie opowiedział, co się zdarzyło w drodze do Gorkiego; kierowca z głupoty wspomniął w raporcie o zapalnicze, ale Iwan nie mógł jej okazać; wtedy to czekaści zdemaskowali złodzieja, przesunęli go na niższe stanowisko, a rozgrzana w dłoni zapalniczka została zwrócona Iwanowi. Człowiek z dwoma prostokątami, z natury poczciwiec, poprosił go pojednawczo, żeby nie chował urazy do służb: pracę mają ciężką, wszędzie pełno wrogów, nie od razu można naprawić pomyłki. Rodzice, dowiedziawszy się o zapalnicze, niezmiernie się ucieszyli, wszystko inne Iwan wolał przemilczeć; na nowy 1941 rok Nikitin przekradł się do Mińska, w kuchni, przy kieliszku, opowiedziano mu o wszystkim, rodzice cieszący się wciąż jeszcze spóźnionym miodowym miesiącem, przy dźwiękach patefonu siedzieli markotnie obok siebie. „Czuję zbliżające się nieszczęście...” - zapłakał Nikitin.

Z owym sprawiedliwym czekistą Iwan spędził dwa lata w partyzantce, to on go nauczył celnie strzelać, prawidłowo zakładać miny, urządzać zasadzki, chodzić na konspiracyjne spotkania, zachowywać się przy Niemcach tak, że nie kwapili się do sprawdzania jego dokumentów. Pewnego razu, podczas przeprawy przez rzekę, czekistą wpadł do wody i bezradnie szamotał się w lodowatym Niemnie, zanim Iwan nie wyciągnął go i nie zawlókł do łódki. Od tej pory wojak z dwoma prostokątami i bokserskimi pięściami stał się dla niego tylko niezdarnym pływakiem, szukającym nogami dna; takim punktem, albo taką płaszczyzną oparcia w służbie był dla czekisty podpis pod byle ja

## I

kim dokumentem, zapalniczkę też kazał zwrócić tylko dlatego, że jej kradzież nie była przez szofera w odpowiedni sposób formalnie zarejestrowana i w operacyjnośledczych dokumentach ziała przykra luka. Dokumenty właśnie doprowadziły czekistę do zguby, a z nim cały oddział, utrzymujący się przez cały rok dzięki zaopatrzeniu z Moskwy; przysyłano stamtąd samolotami: umundurowanie, żywność, broń, materiały wybuchowe, ludzi, lekarstwa, czekista sprawdzał otrzymanywne przesyłki według listów przewozowych i kiedyś wybuchnął, stwierdziwszy brak piętnastu kilogramów ryżu; śmieszne byłoby podejrzewać lotników, że w powietrzu sprzedali gdzieś pół worka ryżu tak potrzebnego dla rannych i czekista rozpętał długą wojnę radiową z Moskwą, narobił sobie wrogów, oddział został zdjęty z zaopatrzenia; wsie wilkiem patrzyły na partyzantów, którzy zabierali ostatnie zapasy, a napady na niemieckie tabory powodowały straty w ludziach. Czekista wpakował się w jeszcze większy kłopot, gdy oddział natrafił w lesie na czołg BT7 - zdobycz wydawała się ogromna i nęcąca, w czołgu leżało półtora miliona sowieckich rubli i skrzynki z papierami Komisariatu Spraw

Wewnętrznych. Moskwa się zaniepokoiła, poleciła dobrze ukryć skrzynki z dokumentami, o pieniądzach nie wspomniano, a na Białorusi sowieckie ruble były w obiegu na równi z okupacyjnymi markami, nawet Niemcy, choć niechętnie, ale je przyjmowali; głodujący oddział siedział na pieniądzach, dopóki najzuchwalszy pluton nie rąbnął co najmniej połowy z nich i nie ulotnił się; oddział tajał powoli, ale nieuchronnie, dziesiątkowany w bojach, pełen niemieckich agentów; pieniądze wreszcie poszły w ruch, ich resztkę czekista postanowił oddać podziemi w mieście, zaufanie miał już tylko do Iwana, jemu

też powierzył pieniądze; w nocy Iwan opuścił oddział i ruszył w daleką drogę do samego Mińska, bezludny las nie dawał pożywienia ani dachu nad głową, a pół miliona w plecaku nie pozwalało na nocleg nawet w cichych wsiach, zabraniało rozpałać ognisko, kawałek słoniny na język dwa razy dziennie i woda źródłana - to było przez tydzień całe pożywienie - Iwan wychudł i osłabł, o mało nie utonął w bagnie, wy dostał się na twardy pas ziemi i suszył się na wrześnieowym słońcu, które wychynęło zza chmur. Leżał, rozkoszując się ciepłem, które podniosło pochylone trawy, powietrze się nagrzało, onuce, waciak, spodnie wydzielają przyjemny kwaśny zapach; w południe zrobiło się gorąco, Iwan pospał sobie, rozgrzał się, wciągnął na siebie wysuszoną odzież, zapalił; jakże rzadkie były takie chwile samotności - powinien umieć ocalić każdą z nich; ze zdumieniem wspominał bezsensowne lata w Leningradzie i w Mińsku. Tam były radości i bóle, satysfakcje i cierpienia, ale jakby unoszące się ponad codziennością, nad skupiskiem drobnych uraz i małych sukcesów, podczas wojny natomiast wszystko stało się proste: ty nienawidzisz Niemców, ponieważ oni ciebie nienawidzą, strzelasz do nich, bo oni strzelają do ciebie, i jeśli kule cię dosięgną, a to zdarzyło się trzykrotnie, to ból nie jest zbyt ostry, jakby szarpał człowieka słusznie, zgodnie z prawem, czy jak, i organizm sam się leczył. A może byt wzniosł się na wyżyny filozoficzne, z których życie i śmierć wydają się jednakowo prawdopodobne? Pewnego dnia przeżył radość, niemal fizyczną, chwilę prawdziwego tryumfu, radosnego lęku, kiedy udało mu się z pięciu ton saletry amoniakalnej, zwykłego sztucznego nawozu, wydzielić coś, co okazało się amonalem, wysadzili nim trzy pociągi i dwa mosty - po czym prawie cały miesiąc,

dwadzieścia osiem dni Iwan ślęczał nad podręcznikami chemii, dopóki nie dowiedział się, jak z kolchozowego mienia robić śmiercionośne brykiety. Wtedy pomyślał sobie - tak, jestem stworzony dla chemii, nie dla matematyki! Siedzieć w laboratorium wśród kolb, wymyślać nowe związki, mieć czystą koszulę - w tamtym minionym życiu, tak w Leningradzie jak w Mińsku, nie szanował się najprostszych pragnień, dopiero teraz, w jesiennym lesie, czterdzieści kilometrów od Mińska, zaczął rozumieć, jakie to szczęście - być suchym i chodzić po suchym.

Olszynka zmieniła się w rzadką brzezinę, trzeba było zboczyć; pod wieczór Iwan znów przemarł i z nadzieją spoglądał na znajomą wioskę, gdzie mieszkał łącznik; przez niego pieniądze powędrują do Moskwy; na płocie dwa dzbanki, znak, że nie ma niebezpieczeństwa, a jednak Iwan nie ufał domowi, czekista uprzedzał, że kontakt jest niepewny. Iwan bał się pójść do łącznika z pieniędzmi, znów zagłębił się w las, dla pewności przeszedł z trzysta metrów strumieniem, umiejętnie zakopał worek,



przykrył grubą warstwą listowia i dopiero wtedy zbliżył się do wioski, ze skraju lasu obserwował dom pogrążający się w granatowej mgłę nocy. Niemców chyba nie było - a to znaczy, że należało zachować podwójną ostrożność; granat w lewej ręce, pistolet w prawej, tak dotarł do domu i zdążył wystrzelić na ułamek sekundy wcześniej, zanim kolba karabinu spadła na jego głowę i stracił przytomność. Świadomość wróciła, rozkleił powieki i zobaczył pochylone nad sobą wiadro, połała się woda, zrobiło się mokro; uniósł głowę i zobaczył, że w domu są Niemcy, było ich pięciu - siedzieli przy stole i jedli - trzech w zwykłych mundurach Wehrmachtu, nie polowej żandarmerii, rozmawiali, lecz nie o Iwanie, gadali

o jakichś dodatkowych przydziałach, o urlopach, nagrodach za partyzantów, o jakimś wygodnym sposobie przesyłania paczek do Niemiec. Przez dwa lata Iwan nabrał wprawdy, nauczył się rozumieć i mówić po niemiecku, chwycił każde słowo i przypatrywał się siedzącym: tylko jeden, w cywilu, był do niego obrócony tyłem, ten właśnie spojrzał na wracającego do przytomności Iwana i znów się odwrócił, ukazując twarde, bezlitosne plecy, wzruszył pogardliwie ramionami, a pozostała czwórka wbiła wzrok w Iwana, któryś z nich krzyknął, przywołując żołnierza; ten wyszedł zza pieca, pokrzął się przy kuchni i postawił u nóg Iwana miskę, jak dla psa - niech stanie na czworakach i chłepcze, łyżka mu niepotrzebna, ręce miał przecież związane. Iwan przekręcił się i kopnął miskę, Niemcy wybuchnęli śmiechem, a jeden z nich, do obrze mówiący po rosyjsku, powiedział dobitnie i rozsądnie - następny posiłek dostanie dopiero za całą dobę, warto by było coś zjeść, panie Barinow. Pojawił się łącznik, zapalił drugą lampę, zrobiło się jaśniej, łącznik, powołując się na obietnicę dowództwa niemieckiego, zażądał, by mu dano półtora hektara i krowę, Niemcy jednak wytłumaczyli mu jasno, że łącznik jest na służbie u dowództwa niemieckiego i może być nagrodzony tylko zgodnie z regulaminem, ziemia i krowa przysługują tym, którzy dobrowolnie powiadomili o wybitnym partyzancie, można by rzec z wyższych moralnych pobudek, on natomiast zostanie przedstawiony do odznaczenia.

Niemcy pozostawili Iwanowi całą noc na rozważanie: mówić, czy nie mówić. Wiedzieli o pieniądzach, lecz nie zamierzali ich szukać, chodziło im o dokumenty bobrujskiego NKWD, chcieli, żeby Iwan wskazał miejsce ich ukrycia: wskaże - to puszcza go wolno,

niech idzie gdzie chce, a jak odmówi - odeślą go na ostre przesłuchanie w Gestapo w Mińsku. „No więc?!” Cały tydzień Iwan przeleżał w pojedynczej celi w Mińsku: codziennie katowany tak, że nie mógł stać ani chodzić, lecz ból był gdzieś poza nim, mógł się kryć, przyczajać, zjawiać się, spadać na niego, atakować znienacka, dzięki tej radości, która w nim pulsowała, a to dlatego, że wrogowie Iwana - Niemcy - cierpieli, wściekali się, szaleli, dygotali ze złości, torturowali właściwie siebie, a nie Iwana, z ich przekrwionych oczu można było wyczytać: „Zlitujcie się nad nami! Powiedz wreszcie!” I bili, bili, bili, ale nie z całych sił, oszczędzali go, biorąc pod uwagę ewentualną możliwość przewiezienia jeńca na miejsce, gdzie ukryto dokumenty; wreszcie, cakiem wykończeni przesłuchaniami, pozwolili sobie na odpoczynek, odwiedzali jednak Iwana w celi, roztaczali przed nim obraz jedwabnego życia w Niemczech, gdzie taki jak on wybitny chemik i matematyk zawsze znajdzie stosowne miejsce, przynosili egipskie papierosy a potem, jakby się urwali z łańcucha,

wrzeszczeli na całe gardło, że będą zmuszeni użyć bardziej przekonujących środków i któregoś dnia sprowadzono go do piwnicy, gdzie z sufitu zwisały łańcuchy, na palenisku leżały nie rozgrzane jeszcze do czerwoności pręty, długą pryczę pokrywała skorupa zakrzepłej krwi, stały dwa wiadra z wodą do cucenia torturowanego do nieprzytomności człowieka; żołnierz o wyglądzie kancelisty zapoznał Iwana z zestawem pytań, na które miał po kolei odpowiedzieć jasno i precyzyjnie; stały tu także dwa stoliki - na jednym lampa, a pod nią rozłożone na białej serwetce nikiłowane szczypce i temu podobne narzędzia, drugi stolik był przeznaczony dla żołnierza, ten uznał jednak, że do chwili zeznać jeszcze daleko i wyszedł, pozostawiając

Iwana sam na sam z oprawcami, którzy nie zwracali na niego uwagi. Na widok nikiłowanych instrumentów Iwana chwyciły dreszcze, chcąc przezwyciężyć dygot, jął przyglądać się oprawcom. Było ich dwóch, mieli na sobie fartuchy, pili i jedli na brzegu pryczy, na rozpostartej gazecie, pili swój należny im przed przesłuchaniem przydział wódki, zagryzając grubymi kromkami chleba, starannie pokrojonymi talarkami kielbasy i kwadratowymi plątanami słoniny. Jeden był drobny, szczupły, z ukośną, na wzór Hitlera, grzywką na wysokim rozpalonym czole, drugi wyróżniał się wspaniałą muskulaturą, nosił skórzany fartuch na gołym ciele, kark wyrastał z ramion pokrytych gęstym, rudym puchem. To byli fachowcy, umieli rozkoszować się męką nie swoich ciał; z narastającym dreszczem Iwan napinał osłabione biciem mięśnie, by stały się twarde jak kolce, w przeczuciu bólu, nie takiego jak dotychczas, lecz niemożliwego do zniesienia, nogi zaczęły się pod nim uginać, coś w nim upadło, w jego duszy, usłyszał nawet jakby dźwięk tego upadku: głuchy i miękki, a potem trzask rozrywanej tkanki jakiegoś organu w ciele - zwiastun strachu. Niemcy, którzy nienawidził, niespodziewanie przestali mu się wydawać tak bezduszni i obcy, podli i nieludscy, musi w nich przecież być jakieś współczucie, ulitują się nad nim, pozwolą poleżeć bez bólu, jak ich poprosi, gdy go będą męczyć, to nie będzie tak bolało, przecież są jednak ludźmi, jedzą i piją po ludzku, solidnie, bez zachłanności, ceniąc czas, z szacunkiem dla przyzwoitej strawy i samego procesu jedzenia, był o coś uspokajającego w plusku i bulgocie nalewanego płynu, w mlaskaniu...

Butelka została wypita, chudy Niemiec zapalił, osiłek długo jeszcze dłuwał wykałaczką w zębach, po czym też zapalił, wyciągnął rękę, wziął ze stolika ni

kłowany przedmiot, wyczyścił nim paznokcie, wcisnął peta w resztki jedzenia, zawinął je w gazetę, wstał, zaniósł gazetę z resztkami i pustą butelkę do kąta, gdzie - Iwan spojrzął z ukosa - stało koryto z zakrwawionymi szmatami. Osiłek przeszedł obok niego i wrzucił butelkę i resztki w gazetę do koryta, a jego towarzysz, ten z grzywką la Hitler, odgiął brzeg fartucha, wyciągnął śnieżnobiałą chusteczkę do nosa, wysmarkał się i odsłonił w uśmiechu białe jak wygotowane mięso, odrażająco paskudne dźwięki. Strach zaczął opuszczać Iwana - Niemcy nie wyczuwali żadnego niebezpieczeństwa z jego strony, dla nich był już skończony, przywykli, że człowiek dostarczony na pryczę jest już bezwolny, złamany, tak porażony bólem, jakiego jeszcze nie zaznał, że myśl o jakimś oporze nawet mu nie przyjdzie do głowy, cały drży jak liść na wietrze. Wezbrała w nim przyjemna, ciepła fala nienawiści, liznęła nogi, podniosła się wyżej, napęliając ciało siłą i natchnieniem. Każdą nie była już nieunikniona, jednym skokiem dopadł do paleniska, chwycił rozżarzony pręt i wbił go w plecy osiłka,

w miejsce, skąd zaczynały spływać porastające łopatki włosy, w cherlaka poleciał y szczypce, Iwan rzucił się na niego i zacisnął palce na chudej jak u kurczęcia szyi, jego chrypienie zabrzmiało jak muzyka zwycięstwa, ostre kolano Niemiaszki wbijał o się w pierś Iwana, przeszkadzało mu go dusić po czym Niemiec zaczął się oddalać, a Iwan wznosił się i już z wysokości zobaczył żołnierzakancelistę z parabellum w ręku...

Wszystko okrył mrok, zapadła cisza, znikły radości i bóle, i znów się pojawiły, ale jakby pozbawione kierunku, nie ograniczone tylko do niego, jakby wszechogarniające. Po czym ból skurczył się do worka z gwoździami, w którym, jak się wydawało, niesio

no go dokądś, a Iwan wrzeszczał w zupełnych ciemnościach, dopóki go wreszcie z tego worka nie wyrzucono, ale ciśnięto go znów na gwoździe; nad głową rozwarła się dziura, pojawiło się światło, ukazały się ludzkie twarze, zapachniało czymś przyjemnym, znajomym, zapach przywołał z pamięci dom we wsi, Niemców przy stole, miskę postawioną u nóg, wspomnienie tego, co nastąpiło później, było tak straszne, że Iwan jęknął, ale zaraz przyjemnie ciepły płyn wlał się do ust, uszy się odkorkowały, usłyszał dźwięki, mówiono po rosyjsku, uspokajająco i słodko. Usnął, budził się i usypiał, w jakiejś chwili przypomniał sobie wszystko: i Niemców w domu łącznika, i więzienie w Mińsku, i piwnicę, gdzie torturowano, i obu oprawców, i niemal dotykalnie - cherlawego Niemiaszka: jego zęby i dźwięki w uśmiechu, ciało lekko pochylone do przodu, niczym u kury przed dziobnięciem, ręce jak skrzydła zagięte do tyłu radośnie głaszczą pośladki... Tak wyraziście przypomniawszy mu się piwnica z Niemcami, że Iwan zmrużył oczy i sięgnął ręką do podbródka; w Mińsku Niemcy ogolili go dla identyfikacji, z długości zarostu można było się zorientować: od parabellum, z którego do niego strzelano, minęło co najmniej dwa tygodnie, potwierdzili to także ludzie, którzy go żywili - brodac i bez bród, ci ostatni podzielili się na mężczyzn i kobiety, głosy mieli ciepłe, melodyjne. Śnieg oślepił Iwana, kiedy wyniesiono go na ganek, białość świata była porysowana prostopadłymi kreskami pozbawionych liści drzew. Opowiedziano Iwanowi jak trafił tutaj, do partyzantów, uzupełnił to, co usłyszał, własnymi domysłami, z tępą obojętnością przyjął to szczęście, które nie tak rzadko zdarza się na wojnie. Tam, w piwnicy, strzelano do niego i uznano za martwego - a śmierć podczas prze

śluchania to służbowe niedopatrzenie - Niemcy wciągnęli go więc jako żywego na listę skazanych na rozstrzelanie, co odbywało się dwadzieścia kilometrów od Mińska; trupy zasypywano ziemią, chłopcy z pobliskiego osiedla zobaczyli przy rowie niedobitego człowieka, który wy dostał się spod trupów, i to ten człowiek wyciągnął żywego jeszcze Iwana, sam jednak następnego dnia zmarł, a Iwana zawieziono do lasu, do partyzantów, właśnie tu. Oto i wszystko, życie trwało nadal, czasem płakał ze słabości, po czym następowało całkowite zobojętnienie, głucha niepamięć. Pielęgnowały go dwie baby i postawiły wreszcie na nogi, wciąż jeszcze leniwe, niepewne, dlatego wiosną powieziono go dokądś furmanką, trząsł się całą dobę, dwukrotnie zapadała ciemność - ostatnią noc przesiedział przy ognisku - trzaskały gałęzie świerkowe, dym gryzł w oczy, nagle uszy pojęły: to samolot, zniża się do lądowania. W Moskwie - już nie skrzypienie furmanki, lecz szelest samochodowych opon - przywieziono go do szkoły, gdzie ulokował się szpital, nozdrza czujnie wychwytywały zapachy, czyjs

głos się oburzał: „Palić nie wolno, pokraki!...” Korytarz, słabe światło żarówki i jasne, oślepiające światło sali operacyjnej; tu okazało się, że miał trzy kule: dwie w piersi, jedną w karku - i znów wyrwa w świadomości, znów jakby unosił się nad białymi fartuchami. Potem sala, to znaczy klasa szkolna, taka jak niegdyś w Leningradzie, i świeża (co go ucieszyło) pościel, bielizna, ciepły granatowy szlafrok, w kalesonach, co prawda, brakował górnego guzika, i głód; jadł, jadł, jadł i nie mógł się nasycić, łagodziło to jednak bóle, które trwały cały miesiąc: bóle wyraźne, umiejscowione i bóle w całym ciele, przytłaczające nieustającym, okrutnym łomotem. Normalne, to znaczy przedwojenne życie wydawało

się zwycięstwem radości nad bólem, pewną stałą funkcją dwóch zmiennych, zmiana jednej pociągała za sobą spadek lub wzrost drugiej; w szpitalu też walczyły ze sobą radość i ból, krótkotrwałość cierpień odpowiadała w jakiś sposób przelotności zadowolenia, lub przeciwnie, okresowi powrotu do normy. Iwan przeleżał miesiąc w szkole i tu znaleźli go oficerowie NKWD, w gabinecie komendanta opowiedział, gdzie oddział ukrył archiwum bobrujskiego bezpieczeństwa, narysował mapkę i po trzech dniach przyjechali znowu, nakłamali mu, że mapka gdzieś się zapodziała, narysował drugą, taką samą jak ta jakoby zagubiona - o tak, wiele dobrego zawdzięczał czekać, który niedawno zginął - Iwan był teraz jedynym czbwiekiem, który znał miejsce, gdzie ukryto tak potrzebne NKWD skrzynki - i przeniesiono go do prawdziwego szpitala, gdzie przedłużył kurs studiowania bólu, po tym, jak spod kręgów szyjnych wyciągnięto mu ostatnią kulę. Stopniował bóle według ich ostrości i czasu trwania, dzielił je na gatunki i podgatunki, gromady i podgromady, wsłuchiwał się w reakcje podrażnionych mięśni, walczyły z nim nieustannie nowe i dawne bóle, neutralizując się nawzajem, stwarzały jakiś stan pośredni: przebłyśki odchodzących i powracających niemocy, bólów, cierpień ciała; to odzywało się serce, to płuca, pamiętające kule, i ból zaczynał rozlewać się po całym ciele, jak ciecz po gładkiej powierzchni, dopóki nie napotkał jakiejś szczeliny, do której sphywał, nie tonął w niej jednak, lecz zbierał się w wyczulony kłębek. Pojawiały się bóle zapierające dech, jedynym ratunkiem wtedy był krzyk, przeciągły jęk, skowyt, ryk, dźwiękowy wyraz bólu ogarniał leżących obok rannych, co przynosiło ulgę cierpiącemu, lecz budziło niepokój sąsiadów; ból jednoczył ludzi zu

pełnie tak samo jak radość, pewnie dlatego ten wspólny płacz na pogrzebach. A gdyby obok jęczeli wrogowie - co wtedy? I przypomniał sobie, jak zdumiała go w Gestapo dziwna rzecz; tak, bolało, gdy bili go Niemcy, ale ten ból sprawiał także radość, ponieważ znosząc go, mścił się na swoich katach, jego milczenie - to ból dla tych, którzy się nad nim znęcali, tu natomiast ból był jakby opakowany w radość, nadzieję, że wkrótce pozbędzie się wszystkich dolegliwości.

Ale gdy bóle minęły, radość nie rozbłysła, popłynęło zwyczajne życie, łagodnie opadająca część skaczącej krzywej, skłonnej do upadków i wzlotów. Zbliżał się koniec wojny, pod Mińskiem otoczono dwadzieścia dywizji niemieckich, jeszcze trochę - a dotrą do dawnej granicy państwowej, „Naprzód na Berlin!” Kiedy do sali przynoszono pocztę Iwan wychodził na korytarz, nie miał do kogo pisać, ani od kogo otrzymywać listów, ojciec i matka zginęli podczas bombardowania w drugim dniu wojny, Iwan sam ich pochował, o Klimie nie miał żadnych wiadomości, jego też pewnie

pochłonęła wojna, z braci i sióstr ojca nikt nie pozostał przy życiu i kiedyś, przeglądając na ławce w parku gazety, Iwan natknął się na relację z Leningradu: pracownicy WIHRu - Wszechzwiązkowego Instytutu Hodowli Roślin umierali z głodu, ocalili jednak kolekcję nasion, wśród zmarłych bohaterów był F. M. Nikitin. Trzeba zaczynać życie od nowa, z dawnego nic nie zostało, teraz Iwan nie ma nikogo na tym świecie, nie znalazł sobie nawet ukochanej, może warto by było zawrzeć jakąś znajomość? Kiedyś wyciągnął go na korytarz sąsiad z sali, czołgista, chłopak z tych w czepku urodzonych: są tu niedaleko dwie babki, „co z tobą, jesteś już zdolny?...” Poszedł z czołgistą do tych babek, które dałyby radę ca

łemu szpitalowi Burdenki, jeszcze raz je odwiedził potem odstąpił swoją kolejkę koledze. Wojskowa komisja lekarska orzekła o innych jego zdolnościach: był zdolny do dalszej służby, a tę określił już wcześniej czekista, który za niego zaręczył i Iwan wyszedł ze szpitala w mundurze, w randze starszego lejtnanta, przerzucono go samolotem do wyzwolonego Mińska, skąd został zawieziony w baranowickie lasy, bez Iwana nie zaryzykowali poszukiwania bobrujskich skrzynek; „Tu!” - wskazał palcem miejsce i z tego, z jakim radosnym zapałem enkawudziści wyciągali ukryte archiwum, domyślił się: nie tylko o papiery tak się troszczą, musi tam być coś jeszcze - ale nie chciał wiedzieć co, znudziły mu się już wszystkie te czekistowskie sprawy. W Mińsku wręczono mu order, nie wspomniano nawet słowem o pieniądzech, które niósł dla podziemia; uznano widać, że wpadły w ręce Niemców, z łącznikiem już wcześniej rozprawili się ludowi mściciele. Iwan sam nie chciał mówić o ukrytych rublach - od razu zjawiał się ból, złość na siebie: i po co, idioto jakiś, polazłeś na to spotkanie, wiedząc, że będzie wpadka, po co? Milczał także dlatego, że pociągnął go las, to, co tak dobrze znane: zasadzki i pościgi; pochodził suchą stopą po twardej ziemi w Moskwie i znudził mu się, teraz, tu, swobodna przestrzeń, otwarta walka łagodziła głód uczuć - w lasach roiło się od kolaborantów, nacjonalistów, niedobitków - starszy lejtnant Barinow, znający reguły partyzanckiej walki, dostał pod swoją komendę kompanię wojska - i aż do wiosny czterdziestego piątego roku przemierzał północnozachodnią Białoruś, wcale mu nie przeszkadzało, że błoto chlupie w butach, przemoczony szynel sztywno sterczy na mrozie, a w brzuchu burczy - był zadowolony. Dopiero po

powrocie do Mińska odespał się, odszorował, najadł się porządnie, przyszył do bluzy śnieżnobiały kołnierzyk, wypucował zafasowane wreszcie chromowe buty. Kompania rozlokowała się przy zburzonym wielkim młynie, a Iwan dostał łóżko w bursie oficerskiej. W lustrze na ścianie zobaczył się od stóp do głowy - barczysty chłopak, z którym lepiej nie zadzierać, tylko kobietom wolno zaglądać w błękit takich oczu.

W kwietniowym powietrzu czuło się zwycięstwo, tysiące mieszkańców miasta krzątało się przy odgruzowywaniu ulic, układaniu cegieł ze zburzonych domów, odwołano zaciemnienie, w bursie panował zgiełk i radosne podniecenie, na przedmieściach codziennie ktoś ginął, ale w parku miejskim zaczęła wreszcie grać orkiestra, tańce rozpoczęły się jeszcze przed Dniem Zwycięstwa, nim ucichła uroczysta salwa, w milicji zadzwonił telefon: na Czerwonoarmiejskiej znaleziono trupa młodej kobiety „z oznakami uduszenia, bez śladów gwałtu”, Iwan razem z grupą operacyjną pospieszył na miejsce zbrodni. I niejedną raz jeszcze tak jeździł, czas był radosny i niespokojny, uniwersytet wracał do

życia, ściągałi okaleczeni przez wojnę studenci; Iwan spodziewał się demobilizacji dopiero na jesieni, pokręcił się przed dziekanatem, nikogo znajomego nie spotkał; jeszcze gorzej poczuł się na cmentarzu przy mogile rodziców, coraz częściej nawiedzała go myśl: dlaczego los tak go strzeże, tyle już razy wyciągając z grobu, który sam mu przecież przygotowywał? Jaki ma sens ta przychylność życia? Do jakiego grobu go zaprowadzi? Czy potrzebna mu matematyka, skoro lepiej się orientuje w chemii?

Myśli przychodziły i odchodziły, spychane codziennymi zajęciami: kontrola na drogach, starcia

z niewiadomej przynależności bandami; kiedyś otoczyli uzbrojoną grupę, warto by było wziąć kogoś żywcem, ale przydzielony do nich kapitan Diwaniow z wydziału śledczego skrzywił się: „Mam ich już powyżej uszu... nie mam czasu cackać się z nimi... Wystarczy, jak znajdziecie jakieś dokumenty...” Iwan mieszkał z tym Jureczkiem Diwaniowem w jednym ośmioosobowym pokoju, nie wszystkie łóżka były zajęte i nie zawsze wszyscy lokatorzy schodzili się na noc: jedni mieli służbę, niektórych przygarniały młode wdówki, ci, co wracali z dyżurów, długo dobijali się do drzwi, dopóki nie rozlegało się zza nich: „Miejże wyrozumienie, nie jestem sam!” i obok zachrypniętego od przekleństw oficera prześlizgiwała się kobieta. Kiedy zaskakiwano Jurę Diwaniowa, wychodził przed drzwi i klarował przeszkadzacie, mówił, w spełnianiu ważnych życiowych funkcji, czy nie czas już towarzyszu dyżurny, zakwaterować się u miłych białoruskich kobiet. Dlaczego sam się tak nie urządzi - nie tłumaczył. Chłop miał swoje dziwactwa, bardzo wysoki, wargi, oczy i ręce - zawsze wilgotne, był hojny, choć oględnie, lecz dawał pieniądze tym, którzy ich z uzasadnionych względów nie mieli, albo na potrzeby rodzinne, tym, którzy kierowali się do Urzędu Stanu Cywilnego. Nie stronił też od kobiet, nie wszystkich jednak, podjeżdżał zwykle willysem do babek usuwających gruzy, głośno przywoływał brygadzystkę, pytał ją surowo, kto tu jest organizatorem komsomolskim, albo z kim można uzgodnić sprawę współpracy i pomocy organizacyjnej, i jeśli dziewczyna nie sięgała mu do ramienia, przywoził aktywistkę do bursy; wszyscy się podśmiewali z jego pociągu właśnie do niskich, na co Diwaniow z szerokim uśmiechem odpowiadał: „A ja lubię, jak one mój pępek wachają!...” Kiedyś w wolnej

chwili przy butelce zwierzał się Iwanowi: nie wolno mi - powiedział - zadawać się z szeregowymi członkiniami partii czy komsomolu, bo zaraz wytkną rozkład moralny, a z organizatorami komsomolskimi czy sekretarzami partii - to co innego: kontakt ideowy plus operacyjna konieczność. Znalazł czas i wybrał się z Iwanem na uniwersytet, na studentki nie zwracał uwagi, interesowały go bardziej warunki przyjęcia; szczerze zazdrościł Iwanowi: „Daleko zajdziesz, dyplom uniwersytecki i służba u nas, to się liczy, podwójnie się liczy...” Zaprzyjaźnili się, rozłączył ich na pewien czas lipiec: wszystkich rzucono na linię kolejową, oczekiwano na przejazd pociągu specjalnego, mówiono, że sam towarzysz Stalin będzie nim jechał, obwąchiwano każdą szynę, mosty były pod wzmożoną ochroną, teren badano, sprawdzano, kontrolowano; potem już z gazet dowiedzieli się o konferencji w Poczdamie. Iwan spotkał w Orszy wykładowcę z Gorkiego, zapytał o Klima - nie, nic o bracie nie słyszał. Trzy tygodnie pałętał się po linii kolejowej, zawarł wiele znajomości, a po powrocie do Mińska przeprowadził się do mieszkania bezdzietnego buchaltera, zadomowił się w niedużym pokoiku, rozstawił książki na etażerce - czas, najwyższy czas urządzić się, mieć własne

gospodarstwo, wkrótce skończy dwadzieścia pięć lat, róg trumny, jak wyraził się Jura Diwaniow, a za tym rogiem - jeszcze jeden róg, i jeszcze, ale życie to nie kwadrat ani prostokąt, lecz coś wielokątnego, ośmiościennego, dopóki człowiek żyje, życie jest bezkresne, dopóki wdycha to cudowne wrześnie powietrze i każdy wdech napełnia płuca nie tylko tlenem, lecz jeszcze jakąś nieznaną chemiczną domieszką, przedłużającą życie w nieskończoność. Wdech - wydech, wdech - wydech, suchym nogom wygodnie

w miękkich butach, każdy krok zbliża Iwana do miejsca randki, do dziewczyny, którą pokochał już przy drugim spotkaniu - jej imię jest święte, nie dla cudzych uszu; kocha tę dziewczynę, to już pewne - nieodwołalnie i na długo. Nie wie, ile ma lat i nie będzie o to pytał; wojna, rzecz jasna, osmalila ją, ale po oczach widać, że nie na tyle, by utraciła wrażliwość, nie wcisnęła jej w zęby papierosa i nie wygnała wieczorem na centralne ulice. Skromna panienka, trzeba było aż pięciu spotkań, a ona wciąż wahała się, odmawiała, odkładała chwilę zbliżenia: to miała „taki okres”, to matka przyjechała ze wsi, to do bursy, gdzie była zameldowana, nie wpuszczano mężczyzn. Ale mimo wszystkich wymówek, kusilo spojrzenie swawolnego dziewczęcia, drażniący wysunięty koniuszek języka i jeszcze coś, co zdradzało chęć zbliżenia, zgodę na to, co nieuniknione; uśmiech zapowiadał: mężczyzna otrzyma więcej niż się spodziewał, coś niebezpiecznego, tajemniczego i urzekającego było w tej dziewczynie, sama wydawała się już zmęczona oczekiwaniem, lada chwila strumień miłości, namiętności przerwie tamę. Wdech - wydech, wdech - wydech. Świeci słońce, ulice są tak radosne, jakby jutro, kiedy ludzie wstaną - ściany zburzonych domów same się miały podźwignąć, rozblyszczą szybami puste okna, drogi okażą się wybrukowane i wszystko wokół nabierze świątecznego wyglądu, jak w przedwojennym maju. Już z daleka zobaczył dziewczynę, szła ku niemu nieco zmienionym przez pantofelki krokiem - pantofle starego leningradzkiego fasonu, teraz znów modne - pewnie przyciasne, włożyła je po raz pierwszy, dlatego chód stał się jakby przepaszający; piękne obuwie - za żadne pieniądze nie można go kupić, ani wymienić za żadne wiejskie specjały. „Dostałam na przy

dział!” - pochwaliła się od razu i spojrzała spod długich rzęs, jakby zawstydzona tym królewskim darem, jaki przypadł jej w udziale z woli rady zakładowej. Spuściła oczy, skupiona już tylko na tej tajemnicy, która ją czekała, dziś, właśnie dziś po siódmej wieczorem, u Iwana w pokoju, dokąd przyjdzie punktualnie, ani minuty wcześniej, ani minuty później, tak już się składa, i pobędzie u niego do ósmej trzydzieści, wprost od niego pobiegnie do siebie, do bursy, do matki, która wyjeżdża o dziesiątej wieczorem, musi ją odprowadzić, bo staruszka mogłaby zabłądzić, mają więc dla siebie zaledwie półtorej godziny, niech więc Iwan nigdzie się nie zatrzymuje (dziewczyna błagalnie dotknęła dłonią jego bluzy) i umówi się jakoś z sąsiadami, ponieważ „to” jest możliwe tylko dziś, tylko w tym czasie, jutro już - „sam rozumiesz?” Oderwała rękę od jego bluzy i tak się zawstydziła, że stanęła w pąsach; Iwan chwycił jej drżącą rączkę i podniósł do ust, wzruszony i speszony nie mniej niż dziewczyna, oszołomiony jej poświęceniem, dał oczywiście słowo, nie spóźni się, będzie punktualnie co do minuty o siódmej wieczór. Padła jeszcze jedna, niemal dziecinna, prośba, ukochana nie piła jeszcze nigdy szampana, w ogóle nie bierze ani kropli do ust, ale skoro już w jej życiu ma nastąpić

takie wydarzenie, czy nie można by gdzieś dostać tego trunku? I poszła do tramwaju - nogi miała nieco pulchne, długą spódnicę; wagon ruszył, uwożąc jego miłość; wielka czułość ogarnęła Iwana, też wskoczył do tramwaju, ale pojechał w przeciwnym kierunku, do siebie, do domu buchaltera, do siódmej miał jeszcze cztery i pół godziny - można góry przenieść w tym czasie, i \* - co za radość! - miał dziś dobry dzień, wszystko się udawało, gospodarze dostali w prezencie dwa bilety do kina akurat na siódmą wie

czór - zapora minowa pokonana - ustawiła ją żona buchaltera, wynajmując pokój, postawiła warunek: nikogo nie przyprowadzać. Dwa talerzyki, dwa spodki, noże, widelce, butelka wódki - będą pili ze szklanek, znajdzie się też czterysta rubli na szampana; w sklepie komercyjnym Iwan przepchnął się do kasy, sforsował kolejkę do lady, wziął przy okazji także butelkę ajerkoniaku, wydostał się na ulicę i - oto co znaczy potęga przypadku! - nadszedł patrol: „Pańskie dokumenty!” Pokazał, chyba zostały życzliwie przyjęte, popatrzyli jednak nieco podejrzliwie na paczkę z butelkami, bo powtórnie zażądali legitymacji, dowódca patrolu okazał dość teraz częstą w mieście czujność, mówił grzecznie, ale sens przypochiebnie wypowiedzianej propozycji wydawał się bzdurny. Ja, oznajmił, nie znam podpisów waszych zwierzchników, nie mamy ich wzorów w komendanturze, warto więc wpaść na parę minut do waszego urzędu, jest przecież tuż obok, za rogiem, tam potwierdzą dokument i hulaj dusza, przyjacielu, do nocy...! Czemu nie, zgodził się Iwan, zerknąwszy na zegarek, pomyślał jeszcze, że zdąży zająć do buchalterii i odebrać pieniądze, podwyżkę uposażenia, którą dostał przed dwoma miesiącami. Razem z patrolem doszedł do urzędu, dyżurujący wytrzeszczył na Iwana oczy - kogoś tu przyprowadził? Dowódca patrolu szepnął mu coś na ucho i oddalił się wraz z patrolem bez słowa przeprosin, za to dwaj lejtnanci, którzy kręcili się obok, wzięli jego dokumenty, oznajmili z zatroskanymi minami, że odbywa się właśnie przemeblowanie i trzeba z tymi dokumentami wejść na drugie piętro, do pokoju numer osiemnaście, zresztą pójdą z nim, pokażą, Iwan nieco zdziwiony poszedł, otworzyli mu drzwi i zamknęli je za nim. Przy biurku siedział pracowity lejtnancik, młodziutki, je

szcze zielony, wielu takich młodzieńców przyjechało ze szkół, nie walczyli, a jednak na ich mundurach widniały medale zwycięstwa, i ten, co też prochu nie wahał, pisał coś z namysłem, gorliwie. „Siadaj!...” - wskazał jego palec, oficer nie spojrzał nawet na Iwana. Nie podnosząc głowy, nadal kaligrafował słowa na arkuszu papieru; nagle zażądał zwrotu broni, a usłyszawszy, że broni nie ma, wrzucił wreszcie niezapisany do końca arkusz papieru do szuflady biurka i wyciągnął stamtąd arkusz przesłuchania, pomachał nad nim piórem, przymierzając się do pisania, oderwał się jednak na chwilę, by zapytać o przynależność partyjną, sprawdził ją, wzięwszy z rąk Iwana legitymację partyjną. Nie należało jej oddawać, nie wolno, instrukcja zabrania, ale do siódmej zostało tylko dwie godziny, niechże ten świeżo upieczony lejtnant prędzej sprawdzi podpisy i przy sposobności poprawi numer jednostki wojskowej, zmieniony przed miesiącem - tak, tak, było takie niedopatrzanie. Pojawili się dwaj poprzedni lejtnanci, stanęli przy nim z obu stron. Protokołujący przedstawił się wreszcie: „oficer śledczy Aleksandrów”, stopień wojskowy przemilczał, uściślił, w którym miesiącu 1942 roku Iwan wstąpił do partii, po czym wrzucił legitymację do szuflady biurka.



„Proszę się zapoznać...” - podał Iwanowi jeszcze jeden papier i ten musiał położyć swój pakunek na biurku. Zaczął czytać, słowa i litery jęły skakać przed oczami: „Czyście zwariowali?!” Śledczy powtórzył numery paragrafów Kodeksu Karnego BSRR, na podstawie których ma być pociągnięty do odpowiedzialności obywatel Barinow Iwan Leonidowicz, urodzony w 1920 roku, Rosjanin... - Iwan znał te paragrafy, niemniej jednak Aleksandrów, który nie wyglądał na żartownisia, wyjaśnił: zdrada Ojczyzny, szpiegostwo, dywersja.

„A idźże ty, wiesz dokąd!...” - roześmiał się Iwan, na co śledczy zerwał się zza biurka, stanął nad Iwanem i wrzasnął na całe gardło: „Dość tych wygłupów, draniu! Przyznaj się! Pytanie pierwsze: kiedy i gdzie, w jakich okolicznościach zostałeś zwerbowany przez niemieckofaszystowski wywiad?” Samo pytanie zawierało potwierdzenie faktu i było poparte ciosem w brzuch. Bił jeden ze stojących obok lejtnantów, obaj schwycili go za ręce, ale raptem ich uścisk zelżał. Ktoś wszedł do pokoju, ktoś o znacznie większej władzy, ponieważ lejtnanci cofnęli się z przestachem, a śledczy stanął na baczność; tym, kto wszedł, był Jura Diwaniow. Na widok Iwana roześmiał się, po czym spowaźniał, kiedy odsunąwszy Aleksandrowa, zaczął czytać leżące na biurku papiery - czytał, czytał i twarz mu coraz bardziej posępniała, wreszcie pogrążył się w głębokim zamyśleniu... „Jura, to jakieś nieporozumienie...” - przypomniał o sobie Iwan, zerknąwszy na zegarek. Diwaniow nie odrywał wzroku od oficera śledczego, grdyka mu chodziła, jakby chciała się wyrwać z przyciasnego kołnierza bluzy, co, Iwan wiedział, było oznaką gniewu i śledczy też o tym wiedział, dlatego bladł i czerwieniał na przemian, z coraz nieszczęśliwszą miną, zmieszany, poskubywał brzegi munduru; w jego oczach widniał strach, który spotęgował się, gdy Diwaniow otworzył wreszcie usta, żeby dać mu druzgoczącą reprimendę: „Tooowarzyszu Aleksandrów! Niejednokrotnie wytykałem wam przypadki niedbałego stosunku do służby, ale takiej wpadki nie spodziewałem się po was!...” Dalsze słowa Jury brzmiały w uszach Iwana jak słodka muzyka: otóż powinien być zatrzymany i pociągnięty do odpowiedzialności Iwan Leonidowicz Barinow, ale urodzony w Mińsku, nie w Leningradzie, poszukiwany był przed

wojną studentem pedagogiki, nastąpiła pomyłka, wzięto człowieka o tym samym nazwisku. „Jestem zmuszony wyciągnąć konsekwencje!” - przyjaciel Jura bezlitośnie objeżdżał głupiego Aleksandrowa, a Iwan był wniebowzięty, taką miał satysfakcję, Aleksandrów bełkotał coś żałośnie na swoje usprawiedliwienie; Iwan, patrzący na niego z mściwym zadowoleniem, dorzucił jeszcze jedną skargę: „Legitymację partyjną zabrał, drań...” Diwaniow uznał to za szczyt idiotyzmu, podniósł słuchawkę telefonu, trzy razy zakręcił tarczę, poprosił majora Fiedorczyka, żeby niezwłocznie przyszedł do pokoju numer osiemnaście, co jeszcze bardziej przeraziło Aleksandrowa i majorowi, który zaraz się zjawił, Diwaniow zameldował zwięźle o kolejnym głupstwie lejtnanta Aleksandrowa, którego należałoby już dawno usunąć z pracy w wydziale, skąd on się właściwie wziął w służbie bezpieczeństwa ten dureń, oto co narobił: nie chciało mu się wysilać, żeby wytropić zdrajcę Ojczyzny, w wyniku czego został aresztowany i poddany przesłuchaniu człowiek o tym samym nazwisku co poszukiwany przestępca, oczywiście nie takiego strasznego, różnie bywa, ale w tym wypadku pomyłka jest niewybaczalna, zupełnie bezprawie, wzięto naszego człowieka, zasłużonego, oddanego

Ojczyźnie, partii i osobiście towarzysowi Stalinowi, oficera, wypróbowanego dowódcę partyzanckiego, który za wykonanie specjalnego zadania został odznaczony orderem Czerwonego Sztandaru, który wytrzymał najstraszniejsze tortury w Gestapo i ocalił dokumenty o szczególnej wadze... „A więc to wy?” - był przyjemnie zdziwiony major Fiedorczuk i niemal uniesienie wyciągnął rękę do Iwana, a ten uściśnął ją uradowany, że poznał samego majora Fiedorczuka, który, marszcząc czoło, przypomniał sobie, że

Aleksandrów nie pierwszy raz łamie zasady postępowania czekisty, teraz, ułatwiając sobie zadanie, dopuścił się wyraźnego fałszerstwa, co jest niezgodne ze wskazaniami partii...

Major niemal śpiewał i jedyna rzecz, która niepokoiła Iwana - to czas, dochodziła szósta, do spotkania z ukochaną pozostała już tylko godzina, dlatego ucieszył się, kiedy z Aleksandrowem szybko się rozprawiono, ręka majora nakreśliła w powietrzu coś na podobieństwo krzyża postawionego na pracy Aleksandrowa w służbach i ta sama ręka wyciągnęła się do Iwana: „Wybaczcie nam, proszę, tak się złożyło...” A co do Iwana postanowienie było następujące: „Natychmiast zwolnić, z zachowaniem wszystkich formalności!” Jura Diwaniow huknął „Tak jest!” - i usiadł, roześmiał się, przyjacielska filuterność była w tym śmiechu: no co, spietrałeś się trochę? Zwrócił mu legitymację partyjną i dowód tożsamości, pomacał paczkę z butelkami, z zadowoleniem zatarł ręce, kiedy Iwan pokazał mu, co tam jest, „Ajgeszat” nazwał „Ajgeszeftem”, z szacunkiem pogłaskał butelkę z szampanem i spytał domyślnie: wybierasz się na kurwibal? Choć to słówko drasnęło ucho Iwana, potwierdził radośnie: tak, idę do kobiety i chcąc zaspokoić ciekawość łasego na baby Diwaniowa, dodał wesoło: ukochana dziewczyna, niestety, nie pasuje wzrostem do Jury Diwaniowa, niemniej jednak, powiedział nieoczekiwanie dla samego siebie, jakoś odstąpi ją przyjacielowi, niech powącha jego pępek!... Spoglądając pożądliwie na butelkę „Ajgeszatu”, Diwaniow nie zapomniał o załatwieniu sprawy: zadzwonił dokądś, polecił, żeby niezwłocznie przyniesiono mu wykaz przebiegu służby Iwana i osiągnięć. I to, 00 chciał dostać w prezencie wino, po czym ii rozprawiać <> życiu i służbie, wyraził wątpli

■Hi.

wość, czy za miesiąc lub dwa Iwanowi uda się odejść do cywila i pożegnać się ze służbami: o, niee, drogi przyjacielu, od nas nie można odejść, służby - to na całe życie... „Jura, spieszę się, na mnie pora!” - wskazał na zegarek Iwan, Diwaniow znów zadzwonił i otrzymawszy niepokojącą odpowiedź, skłął kancelaryjne szczury, po czym westchnął z rezygnacją - cóż, przyjaźń nakłada czasem na człowieka szczególnego rodzaju obowiązki - taką myśl wyrażało westchnienie - podjął oto genialną w swej prostocie decyzję: sam, osobiście odpowie na wszystkie pytania zamiast Iwana, jak tylko dostanie do rąk jego akta, a Iwan niech sobie biegnie do swojej bogdanki; trzeba jednak dopełnić formalności, niech więc podpisze in blanco wszystkie arkusze protokołu, o tu, w dole i na marginesach: „Zaprotokołowano zgodnie z moimi słowami”, data, podpis. Co też Iwan zrobił, chwycił swoją paczkę, już z połową zawartości, i pognał w dół do wyjścia, na ulicę. Zegar wskazywał 1835.

Niesiony niewidocznymi skrzydłami miłości, pędził do domu, ostatnie sto metrów pokonał w pół

minuty, dziewczyny nigdzie nie było, ale do dziewiętnastej zostało jeszcze trochę czasu, żeby wpaść do siebie, dziewczyna spóźniała się zawsze o dwie, trzy minuty. „Zapomniałem kupić kwiaty, co za głupiec” - zwymyślał siebie, otwierając drzwi, zdziwiony tym, że przed drzwiami sterczy milicjant. Pewnie u sąsiadów coś się stało, pomyślał, u tych, co mieszkali naprzeciw, lecz gdy wbiegł do korytarza, jacyś ludzie schwycili go za ręce, postawili pod ścianą i zrewidowali. Iwan jął błagać: „Ależ wyjaśniło się wszystko, wyjaśniło się! To pomyłka! Nie o mnie chodzi!” Pościel porozrzucana, materac przewrócony, z szafy wszystko wywalone na podłogę, książki z etażerki wytrząsają po kolei, nocna

szafka wywrócona - a dziewczyna siedzi na taborecie pod ścianą, nacierpiała się biedna, znalazła się raptem w takich opałach, ci dranie wciągnęli ją tutaj z ulicy, nastraszyli, siedzi z rękami na kolanach, dłonie coś poskubują, nogi w nowych pantofelkach skrzyżowane, pod taboret. Dranie po cywilnemu zabrali się do zbadania szafki nocnej, postawili ją do góry nogami i przez lupę oglądali spód. Osłupiała buchalterska para wytrzeszczała oczy na ten pogrom; małżonków nie puszczono do kina, jako odpowiedzialni najemcy mieszkania zostali zatrzymani w charakterze świadków. Chłopcy w marynareczkach opukiwali tapety, do nóg jednego z nich upadła kartka, która wyleciała z podręcznika, podniósł ją: „To na pewno szyfr! Jakieś cyfry...” Nagle, nie podnosząc oczu, odezwała się dziewczyna: „Gawriłow, trzeba być uważnym, orientować się, na jakiej stronie była włożona kartka...”, zgroza, od której dopiero co uwolnił się w urzędzie, znów zaczęła go ogarniać; pantofle dziewczyny, czółenka przedwojennego fasonu miały pewien związek z przyczyną tego koszmaru, Iwan przyglądał im się, ponieważ panna wstała z taboretu, z władczą miną przeszła przez pokój i położyła swą cudną dłoń na pakunku, wyjęła szampana i postanowiła widać zlekceważyć cenny dowód rzeczowy, bo rozkazała: „Nie wciągajcie tego do protokołu” - i wsunęła butelkę do swojej torebki, skąd wyciągnęła paczkę „Bielomorów” i zapaliła... Iwana pchnięto w plecy: naprzód, idź, nie oglądaj się; tyłem podjechała buda, człowiek nazwiskiem Gawriłow wyjaśnił mu życzliwie: „służba jest służbą, dostaliśmy rozkaz, to przybyliśmy na miejsce wypadku, teraz w urzędzie wszystko się rozpatrzy sprawiedliwie, zgodnie z prawem”. Wprowadzono Iwana do tego samego osiemnastego pokoju, natychmiast przy

skoczyli do niego ci sami dwaj lejtnanci i wykręcili mu ręce do tyłu. Był tu także major Fiedorczyk i lejtnant Aleksandrów i oczywiście cie Jura Diwaniow; oczy płonęły mu drapieżną radością. „No co, kanalio, rozgryźliśmy cię wreszcie! Długo szukaliśmy! Tyle czasu się maskowałeś...!” Na pozbawionej warg twarzy majora widniał niespieszny triumf doświadczonego bojownika, który niejedną raz zwyciężał wroga. „Tu są zeznania! - potrząsał protokołem Diwaniow - Oto one! Wszystko opowiedziałeś, zrozumiałeś, że jesteś zdemaskowany na amen! Nie wykręcisz się już!” I przeczytał: „W odpowiedzi na wasze pytanie, świadom swojej winy wobec ojczyzny, wyznaję szczerze, iż we wrześniu 1940 roku zostałem zwerbowany i podpisałem zobowiązanie współpracy z faszystowskim niemieckim wywiadem; zwerbowali mnie dwaj niemieccy agenci, którzy przybyli do Mińska pod płaszczykiem pracowników naukowych, nazwisko jednego z nich pamiętam - Jurgen Meisel, mogę opisać jego powierzchowność. Do współpracy z wrogim wywiadem popchnęła mnie

niewiara w socjalizm i otoczenie rodzinne..." Major, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszał, pokręcił głową i spytał surowo, czy nie stosowano w stosunku do zdemaskowanego agenta środków fizycznego przymusu, na co Diwaniow przedstawił jego podpisy pod każdym arkuszem protokołu. „Towarzysze - krzyknął błagalnie Iwan. - Jak wam nie wstyd! Znacie mnie, jestem przecież swój, sowiecki człowiek!" Rozwścieczony Diwaniow wrzasnął na niego: ja ci pokażę, kanalio niemiecka, jakiś ty swój i pięścią rąbnął Iwana w twarz; lejtnanci powalili go na podłogę, cztery nogi zaczęły go deptać, przyłączył się do nich Aleksandrów, wszyscy starali się trafić w pachwinę, ciosy sypały się ze wszystkich stron, ręce Iwana, próbując osłonić ciało, chwy

tały się to za pierś, to za brzuch, dopóki uderzenia nie osłabły, dopóki ból nie ogłuszył go narastającym łomotem w uszach. Nie stracił przytomności, zdawał sobie mimo wszystko sprawę, że go podniesiono i prowadzono gdzieś w dół po służbowych, wewnętrznych schodach... Jego rozpostarte ciało rzucono w ciemność, drzwi zamknęły się za nim ze zgrzytem, odcinając go od wszystkiego, co było przed bólem, aż po triumfalne wrzaski. Wydało mu się nagle, że jest w leningradzkim mieszkaniu, na tapczanie, po laniu Panteleja, który zaraz wyjdzie i trzeba się dźwignąć, zapiąć spodnie, postawić kolację na kuchni, przecież wkrótce przyjdą rodzice. Spróbował się podnieść i wstać - żeby wziąć rozbieg i rozbić głowę o ścianę; wszystko w nim skręcało się z nienawiści do samego siebie - wrzała w nim, rozdzierała go, sprawiała nieznośny ból, tylko samobójstwo mogło go uwolnić od tego bólu. Wstał i rzucił się w ciemność, ale się potknął, policzek znów dotykał betonu; trzykrotnie próbował rozwalić głowę o ścianę, ale tak uparty był instynkt samozachowawczy, że za każdym razem skok kończył się upadkiem na pachnącą cementem ziemię. Związali mu ręce i nogi, położyli na plecach, widział nad sobą słabe migotanie żarówki, która świeciła przez całą tę okropną noc.

## Rozdział drugi

Straszna była ta noc, straszna, ohydna; po wybuchu nienawiści do siebie - głupiego szczeniaka - następowało ośpienie; pamięć znów podsuwała rozdzierające bólem ciało i duszę obrazy: tarza się u nóg nikczemnika Diwaniowa, błaga o litość, o zmiłowanie, gotów lizać buty i całować ręce swoich oprawców; przez głupotę dał się skusić na tanią przynętę - tę dziewczynę ze służb, która wstydliwie spuszczała oczka, bo naśmiewała się z niego pewnie; już po drugim spotkaniu mógł się domyślić, skąd jest ta suka - te pantofle przed dwoma tygodniami wydawano pracownikom na przydział. Co się z nim stało, u Niemców wytrzymał wszystkie tortury, nie dał się złamać. Bili go wtedy policjanci, żandarmi, gestapowcy, bili bezlitośnie, ale tamte bóle mogły wydawać się klapsami w porównaniu z cierpieniem ubiegłego dnia, kiedy on - odważny i mądry, pokornie prosił, by przestano go bić, błagał o łaskę, zapewniał, bijąc się w piersi, że jest przecież swój, sowiecki; płaszczył się przed miernotami, schlebiał im, usłużnie roniąc łzy skruchy, jęczał z bólu i, co już zupełnie niepojęte, nie próbował nawet walczyć z tymi psami. Co się z nim stało?

Przeżył okropną noc, samobójczą udrękę i kiedy pogrzebał siebie - nędznego, godnego politowania, tego Iwana Barinowa, który ubiegłego dnia i w po

przednich latach klęczał przed tą władzą, choć ona wcale nie była jego, lecz wroga, tak samo jak Niemcy, jak policjanci. To nie współpracownicy ani przyjaciele, lecz wrogowie, prawdziwi wrogowie, choćby dlatego, że każdy człowiek w tym kraju uchodzi za wroga tych służb. Nic nie wiąże go z wrogami oprócz wzajemnej nienawiści. I nie należy do tej samej co oni partii, ponieważ cała ta partia jest powołana tylko po to, żeby w odpowiedniej chwili rozprawić się ze swoimi ludźmi, żeby powszechne upartyjnienie pozbawiło ludzi woli oporu; partia - jak gestapowska piwnica - czyniła człowieka uległym, bezwolnym, ze strachu przyznającym się do każdego oskarżenia, a ideologia - to kłamstwo, powszechne oszustwo, niklowane szczypce w kieszeni władcy klasowego myślenia. Wrogowie! Cała ich siła polega na tym, że udają swoich, ale teraz Iwana już nikt nie oszuka, jest mądrzejszy od nich i silniejszy, domyślił się, jaki cel miała cała ta skomplikowana operacja, obliczona co do minuty, w imię czego ją przedsięwzięto - sam Diwaniow tego nie wie, ani major, a ten szczeniak Aleksandrów tym bardziej. A wszystko jest całkiem proste: przed miesiącem rzucono go do sprawdzania samochodów dniem i nocą jadących szosą Brześć - Mińsk, załadowanych mieniem z Niemiec; czegoś tam nie było pod plandekami: dywany, radia, meble, naczynia, obuwie, odzież, lustra. Wszystko było i wszystko opatrzone zaświadczeniami z Zarządu do spraw Mienia Zdobycznego, albo rozkazem podróży ze spisem wwożonych dóbr, albo srogim urzędowym pismem. We wsi, gdzie Iwan zanocował, stary nauczyciel ze łzami w oczach poskarżył się: wkrótce wrzesień, a dzieciaki nie mają ani spodni, ani obuwia, nie pójda przecież bosy do szkoły. Usłyszał niezrozumiałe dla niego białoruskie przysłowie:

„Podwiązał lytki, da poszeł w dobytki”. Rano Iwan zatrzymał trzytonową ciężarówkę, zajrzał do środka i zrzucił z niej sztukę sukna, kapitan konwojujący ładunek groził mu wszelkimi możliwymi karami, syczał na ucho: „Czy wiesz, dla kogo to wszystko?” Iwan w rewanzu przyczepił się do czegoś, zapisał numer samochodu i nazwisko kapitana, pogroził mu raportem, machnął jednak ręką, nie warto psuć papieru, ale tamci przygotowali całą operację, żeby zdemaskować tego, kto dał dzieciakom spodnie, przemyśleli wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, opisali calutki jego dzień co do minuty, podzielili na fragmenty, dopasowując je do sceny finałowej. Z powodu tej sztuki sukna-zrobili z Iwana agenta niemieckiego wywiadu, to wrogowie i nie tylko jego, lecz całe ego rodzaju ludzkiego, a wrogów można oszukiwać tak samo jak Niemców, są poza wewnętrznym ludzkim prawem, teraz już nic nie wiąże Iwana Leonidowicza Barinowa z władzą, jest jej przeciwnikiem, weźmie nad nią górę i Fiedorcuk z Diwaniowem połkną zatrutą przynętę, którą sami przygotowali. Rozprawi się z nimi. Przede wszystkim z Diwaniowem. Zastrzeli go. A Fiedorcuka utopi. Aleksandrowa i dziewczynę sami zawczasu ukatrupią, ponieważ przedstawienie skończy się kłapą - dziś jeszcze sami się o tym przekonają, tego ranka, który się właśnie zaczynał - okienko pod sufitem już się zaniebieszczuło.

Bezlitosne chwile samobiczowania, koszmarna noc, od której włosy siwieją. Iwan pojął, że skronie mu posiwiały, że nadeszła pora mądrości, przy zdrowym jeszcze i silnym organizmie. Obmacał ciało: lewe ramię wykręcone w barku, żebra opuchnięte z krwawymi wybroczynami, ale całe, syn chirurga nie może się na tym nie znać, kości czaszki i kończyny nieuszko

dzony, ból znikł bez śladu, co go nie zdziwiło, ból zresztą był dobry, ożywczy, bo spowodowali go wrogowie, pragnienie zemsty niczym uzdrawiająca maść zagoi rany, krążenie krwi w dziąsłach powróci do normy i lekko chwiejący się ząb znów wrośnie w mięso, krwiaki ulegną rozessaniu, ciało odzyska siłę i zręczność, będzie żył i walczył, Iwan ucieknie stąd - ta myśl była tak przyjemna, że zjadł miskę kaszy, wsuniętą przez okienko w drzwiach, wypił herbatę i choć rozsądek podpowiadał, że trzeba by jeszcze ze dwie godziny się powygłupiać, poupokarzać, poskomleć, postanowił być bezlitosnym i dla siebie i dla wrogów. Roześmiał się na wspomnienie dziewczyny: co za podła babska natura - przyszła na rewizję w tych samych pantoflach, chciała się jednak podobać, przewrotna żmija! Szczęście rozpierало duszę i ciało, po dwudziestu pięciu latach wyszedł z grobu, zmartwychwstanie - oto, czym była ta noc, nastał wreszcie poranek nowego życia, o którym nie mieli pojęcia Fiedorczuk, Diwaniow i Aleksandrów. Wszyscy trzej patrzyli na niego, nie ukrywając szyderstwa. Diwaniow odegrał przyjacielskie współczucie („Iwan, nie poznaję cię, co z tobą?”), major sucho, oficjalnie zapytał, czy są jakieś skargi na stan zdrowia, czy gotów jest odpowiadać na następne pytania, dotyczące przestępczych działań kierowanej przez niego dywersyjnej organizacji. Posadzony na krześle pośrodku pokoju Iwan odpowiedział, że jest zdrow, wprawdzie trochę się potłukł, upadł, w celi było dość ciemno, ale jest najedzony, żadnych skarg nie zgłasza, prosi tylko o jedno: wczoraj trochę się zdenerwował, o niektórych sprawach zapomniał, chciałby więc, żeby mu przypomniano, do czego się przyznał. Na wszelki wypadek związano mu ręce za oparciem krzesła i Diwaniow podsunął mu przed oczy

pierwszy arkusz protokołu przełuchania, następnie drugi, Iwan czytał i skinieniem głowy dawał do zrozumienia, że można pokazywać następne kartki; chłonał każde słowo, napisane przez Diwaniowa i potwierdzone przez niego zeznanie: „Zaprotokołowano zgodnie z moimi słowami, 12 września 1945 r.” I podpis. Siedem kartek, czternaść stron - i każda linijka niosła ratunek Iwanowi, otwierała drzwi cel tej trójce durniów: „Z Szarangowiczem nawiązałem kontakt w maju 1934 roku...” Kim był Szarangowicz? Ach tak, znany nacjonalista, wróg ludu, pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Białorusi, rozstrzelany w trzydziestym siódmym - to znaczy, że trzynastoletni Wania Barinow, uczeń leningradzkiej szkoły, zawiązał przestępczy spisek z przebywającym w Mińsku Szarangowiczem. Świetnie! Rodzice zamieszani w zabójstwo Kirowa, cześć im i chwała, ale nie wyjdzie to na zdrowie leningradzkim czekistom, którzy nie zdemaskowali w porę jeszcze jednej wrogiej grupy. Jurgen Meisel trafił do studenta Barinowa przez Szarangowicza - zaciekle nacjonalista pewnie już z grobu przekazał do Berlina wiadomość. Iwan otrzymał od Meisla zadanie: demoralizację studentów sowieckich oraz wrogą propagandę, w tym celu został przez niego zwerbowany w Gorkim niejaki Paszutin, syn wrogów ludu, który podczas wojny wstąpił do SS - o! to coś nowego. Dalej - więcej... Współpraca z okupantem, przez co oddział poniósł wielkie straty, a dowódca oddziału został zabity. Zacierając ślady, Gestapo podrzuciło jakoby zastrzelonego Barinowa do rowu, gdzie rozstrzeliwano patriotów. No i jeszcze: rozpowszechnianie notorycznie fałszywych wiadomości, zagarnięcie pieniędzy należących do partyzanckiego oddziału, zwerbowanie łącznika i jeszcze kogoś, nazwiska nic nie mówiły i na

koniec - wreszcie! - Kradzież mienia państwowego - to właśnie, po co urządzono cały ten spektakl. Przez dwa lata wojny Iwan przyglądał się czekać i już wtedy rozumiał, że w tych WCzK, GPU - NKWD - NKGB - nie siedzą wariaci, lecz patentowane rosyjskie lenie - które potrafią raz dwa sprokurować sprawę z dziesięciokrotnym zapasem oskarżeń, mają wprawę w komplikowaniu najprostszych rzeczy i upraszczaniu najbardziej skomplikowanych. Diwaniow otrzymał polecenie wysmażenia czegoś kompromitującego na Iwana, ten, kto temu wieziono tekstylnia, chciał zatkać mu usta, zanim wiadomość o zagrabionym łupie dotrze do Moskwy, no i w pośpiechu Diwaniow wymyślił całą tę epopeję, zestaw przestępstw na wszelkie gusty zwierzchności i na wszelkie przypadki życiowe, w głupocie swojej nie przewidział jednak zasadzki, jaką mógł mu sprawić matematyk, chemik, dowódca zwiadu partyzanckiego oddziału. „No i co?” - uśmiechnął się Diwaniow, odsuwając protokoły przesłuchania sprzed napiętych oczu Iwana, a ten z głębokim, beznadziejnym westchnieniem powiedział smutno, że tak, wszystko się zgadza, pamięć go nie zawiodła, wszystko, co zeznał i to, co zostało zapisane w protokole jest najprawdziwszą prawdą, nie wypiera się swoich słów, co było - to było, jest gotów ponieść sprawiedliwą karę za grzechy wobec Ojczyzny...

Nie mogli uwierzyć własnym uszom, popatrzyli jeden na drugiego, po czym, po długim, zdumionym milczeniu poprosili, by powtórzył to jeszcze raz, i on powtórzył dobitnie, dodając, że nie ma już nic więcej do wyznania, wszystko zostało powiedziane i zaprotokołowane...

Twarze im się wyciągnęły; zaskoczeni tym, co usłyszeli, nijak nie mogli przyjść do siebie; liczyli na to,

że podejrzany będzie wściekle zaprzeczał każdej linijce, każdemu słowu, będzie się domagał praworządności, żądał włączenia prokuratora, a oni zgodzą się wyrzucić z zeznań Szarangowicza, werbunek, Gestapo, przy czymś tam będą obstawać, pocertują się, z westchnieniem żalu rozstaną się z oskarżeniem o przygotowywanie zamachu terrorystycznego na towarzysza Stalina i sprawa skończy się na parze butów, skradzionych z magazynu; protokoły się podrze, sporządzi się nowy protokół napisany własnoręcznie przez Iwana i owa para butów zostanie mu wybaczona, starszy lejtnant Barinow Iwan Leonidowicz splamiony na całe życie, zostanie dyscyplinarnie ukarany. Owym „potwierdzonym zeznaniami” nie wolno było w żadnym wypadku nadawać biegu, przy ich czytaniu ręce szefów zadrzą z radości: co za przestrzeń dla operatywno dochodzeniowych zadań, jaki rozmach postępowań śledczych! Wszystkie siły zostaną rzucone na wykrycie wrogów, którzy się dobrze ukryli, Moskwa otrzyma tryumfalne telegramy, a tam zapią się za głowę: agent niemieckiego wywiadu związany z ludźmi, którzy zajmują najważniejsze stanowiska. Stolica zażąda przysłania agenta i dopiero wtedy wszystko wyjdzie na jaw, ci, co zajmują stanowiska, wcale nie mają zamiaru pomagać w grze oficerowi śledczemu Diwaniowowi, agent, który tak szczerze się przyznał, będzie powtórnie zdemaskowany i ukarany, ale i urzędowi w Mińsku nie wyjdzie to na zdrowie. Sprawy jeszcze nie wszczęto, można jeszcze podrzeć protokoły, ale co w takim razie zrobić z aresztowanym? Jak postąpi, jeśli mu się teraz zwróci zerwane wczoraj szlify? Do kogo pójdzie? Jest pięć cel w suterenie urzędu, książka aresztowanych, a w niej rubryka - na jakiej podstawie został osadzony w celi śledczej starszy lejtnant Barinow, książki nie można wycofać ani wymazać zapisu,

Fiedorczyk jest kierownikiem sekcji, ma nad sobą naczelnika wydziału, nad tym jest szef urzędu, ktoś zainteresuje się protokołami, czerwonym ołówkiem napisze w lewym górnym rogu: „Niezwłocznie przystąpić do operacyjnego rozpracowania wymienionych osób, podejrzanych o dokonanie przestępstw z artykułów: ...”

Wszyscy trzej zrozumieli wreszcie, jaki dół sobie wykopali i Diwaniow uprzytomnił mu: Iwan sam chyba rozumie, że grozi mu najwyższy wymiar kary - rozstrzelanie, na to otrzymał odpowiedź: - „Tak, rozumiem”. Wobec takiej determinacji nie miało chyba sensu wymuszanie, tak jak wczoraj, jakichś dodatkowych zeznań biciem, wszyscy trzej odeszli do okna, żeby odbyć naradę wojenną; wyczulony słuch Iwana chwycił to, co mówili - nienawiść wyostrzyła zmysły; przy oknie zastanawiano się, czy dziewczyna zgodzi się być ofiarą gwałtu, co pozwoliłoby oddać Barinowa w ręce milicji za przestępstwo obyczajowe; jeśli się dobrze przygotowuje świadków, to „ten drań” na długo ugrzęźnie w śledztwie, a przez ten czas coś się wymyśli, Aleksandrów, bardziej wykształcony, bo przez całą wojnę ślęczał nad podręcznikami, zaoponował, to się nie uda, czas się nie zgadza, zwykle głośno płacząca dziewczyna od razu biegnie na milicję a tu domniemany gwałcieciel siedzi już prawie całą dobę, niepotrzebnie zrobili rewizję, należało wczoraj o siódmej zainscenizować gwałt. Słowo „gwałt” źle zabrzmiało w uszach Fiedorczyka, z gniewem odrzucił proponowane wyjście, trzeba, powiedział, święcie strzec godności naszego „wabia” (tzn. dziewczyny), czeka ją przecież kolejne zadanie.

Nikommu z nich nie przyszło do głowy, że parę butów można było po prostu wcześniej podrzucić Iwanowi; przejrzał ich na wylot, tę trójkę kanciarzy, i rozko-

szował się ich strachem. „Zwróćcie szampana!” - zażądał, a w celi wybuchnął radosnym śmiechem, no i co, wpadliście, gołąbki? Obszedł celę, zmierzył ją krokami wzdłuż i wszerz; sucho, nie wieje, można żyć, ale nie będą go tu przecież trzymać, przeniosą na odwach, posadzą za jakieś głupstwo, jak niewyczyszczone guziki; zwykła kara dyscyplinarna, żaden prokurator się nie przyczepi. Zgadł: tego samego wieczoru dowódca pułku dał mu dziesięć dni aresztu i zgodnie z regulaminem wypisano mu kartę zaopatrzenia żywnościowego. Został osadzony w pojedynce, po czym przeniesiono go do całkiem uprzywilejowanego aresztu, jak się okazało, istniał odwach dla wyższych oficerów, zawsze niemal pusty i tutaj przyłazł któregoś dnia Diwaniow z szampanem, udając pijanego, zapewniał Iwana, że zawsze był jego przyjacielem i jest nadal, pragnął tylko jego dobra i teraz pragnie. Iwan nie miał ochoty tego słuchać, przepędził gościa; zbliżała się noc, a z nią gorzkie i przejmujące słodyczą zwidy, głosy docierające z odległej przeszłości i zaczynały się prawdziwe cierpienia - wewnętrzne; kiedyś nie wytrzymał, jęknął i zaszlochał, oplakując rodziców - dopiero teraz, tutaj, cztery lata po ich śmierci zrozumiał: niemiecka bomba, która zburzyła ich dom i zabiła rodziców, pozbawiła życia ludzi, którzy przygotowali się już do odejścia na zawsze; od dnia, kiedy dowiedzieli się o rozstrzelaniu Paszutinów, rodzice zaczęli przygotowywać plan samobójstwa, służby bezpieczeństwa już się skradały, by pozbawić życia nie tylko ich, ale także syna, a uratować go mogli tylko własną śmiercią. Iwan często zastawał ich siedzących obok siebie na tapczanie, uśmiechali się błogo i szczęśliwie, jak ludzie którzy wreszcie rozwiązali zagadkę usłyszaną niegdyś z nieba, od



gwiazd, od Boga. Pojawiła się dziwna miłość do wody, napełniali wannę

i siedzieli nad nią, czerpiąc wodę dłońmi i podnosząc ją ku oczom; z dziecięcym rozbawieniem pluskali po niej rękami, otwierali kran i jak urzeczeni wpatrywali się w wyrrywający się z niego spiralny strumień. Oni, którzy świetnie pływali, rozgłaszali słuchy o swojej bezradności w wodzie: „Och, tak bardzo boję się wody, tak się boję!” - nieraz wykrzykiwała przy ludziach matka, a któregoś dnia ojciec, kładąc Iwanowi rękę na ramieniu, wyrzekł cicho: „Musisz pamiętać - my, to znaczy mama i ja, nie umiemy pływać”. Utoną podczas wędkowania - oto, co zaplanowali i chyba trudno by było wymyślić lepszy sposób samobójstwa, żeby ocalić życie synowi; gdyby się powiesili, lub zastrzelili, wzbudziłoby to podejrzenia, a przerwano łódkę, szamotanie się na oczach odrętwiałych świadków, bulgot wody - toż to przypadkowa śmierć, która sprawi, że wszczęta już przeciwko nim sprawa powędruje do archiwum. Chcieli śmierci, ale czepiali się życia, chciwie, z miłością spoglądali na syna, jakby go chcieli na zawsze zapamiętać. Na 15 czerwca wyznaczyli termin wyjazdu na ryby, zaprosili już przyszłych świadków, ale matka w ostatniej chwili zrezygnowała, jeszcze nie wszystkie koszule Iwana zdążyła uprać, chciała, by jak najdłużej mógł sobie tym nie zaprzętać głowy, a 22 czerwca - wybuchła wojna i śmierć dopadła ich następnego dnia. Iwan przybiegł do ruin domu, na twarzach rodziców zastygła pokora. W krótkim mgnieniu przejścia od życia do śmierci myśleli pewnie o synu i Nikitinie, stary przyjaciel rodziny na pewno pomoże synowi, a teraz nie ma już także Nikitina. On najwcześniej zrozumiał tę władzę („kat torturuje kata...”), zginął również Klim, który nic z tego życia nie pojmował, nie ma Klimy, jego kość ci gdzieś gniją lub mokną, i przypomniał mu się Klim w Leningradzie - chłopaczek wpatrujący

się w niego z oddaniem, jak stoi z zadartą głową przy drabinie, taki już dociekliwy, delikatny, nie przeczuwający jeszcze, że i na niego czyha śmierć, w Gorkim był już obserwowany, inaczej nie odnotowano by ich spotkania w ogrodzie botanicznym.

Nie ma rodziców, nie ma Nikitina, nie ma Klimy, dokoła wrogowie, trzeba zebrać siły, uzbroić się w cierpliwość i uciec stąd, od tego stada wilków, ale gdzie znajdzie schronienie, na kim się oprze? Na grobie rodziców ktoś położył bukiet kwiatów, zupełnie taki sam, jakie przynosił matce Nikitin - jak widać, zasmuciła kogoś śmierć ojca, może jakiegoś pacjenta, ale jak go znaleźć, kto to jest; ojciec miał odwagę, wykonywał zuchwale operacje, leczył i ratował beznadziejnie chorych, i kiedy Iwanem zajął się przybyły z Moskwy pułkownik Sadofjew, z początku pomyślał, że i pułkownika wyrwał śmierci chirurgiczny talent ojca, ponieważ podczas pierwszego spotkania Georgij Apolloniewicz Sadofjew oświadczył poczciwie, że nie zamierza brać pod uwagę oszczerstw miejscowych prowokatorów, za dziesięć - piętnaście dni Iwan będzie na wolności, jest już przyjęty na uniwersytet, rozkaz został podpisany, a trzymają go jeszcze tylko z operacyjnych względów - o wiele wygodniej jeździć budą, niż codziennie przychodzić tu z domu akademickiego, kompromitujące pogłoski nie sprzyjałyby sprawie, dla której Sadofjew przybył do Mińska, słynącego ze swoich naukowych kadr. Nawiasem mówiąc, był już w Leningradzie, w Kijowie i w Swierdłowsku, oraz, rzecz jasna, w swoim ukochanym Saratowie, gdzie niegdyś studiował i przed wojną wykładał. Długie zdania złożone, wygłaszane jak z katedry, swoboda retoryki, intonacja dostosowana do treści nadawały jego mowie

błyskotliwości; nawet wobec jednego jedyne go słucha

cza - Iwana - używał wszystkich chwytów oratorskich, jak przystało wytrawnemu uniwersyteckiemu wydziałowi, unikał przy tym schematycznych sformułowań; Iwan, który postanowił uciec, słuchał pułkownika jakby przyczajony, ostrożnie przyglądał się siwemu konusowi, który spacerował drobnymi kroczkami po dywanie; greczny, tak wiele, bardzo wiele wiedzący człowiek, gruntownie wykształcony, przyjemny w obejściu, tylko nos psuł mu fizjonomię, jakby go wypożyczył u niejednokrotnie bitego pijaczyny; pochwyciwszy spojrzenie Iwana, Georgij Apołoniewicz wyjaśnił oschle: rana na froncie, po czym operacja plastyczna w okropnych warunkach w batalionie sanitarnym. Iwan mu nie uwierzył przychylił się raczej do tego, że podczas przesłuchania czyjaś ciężka pięść rąbnęła pułkownika w mordę. Teraz z kolei Sadofjew obejrzał Iwana i skrzywił się pogardliwie, jakby po raz pierwszy zobaczył jego porwaną bluzę mundurową bez naramienników. Nazajutrz przyniesiono Iwanowi całkiem przyzwoity garnitur, koszulę, krawat, obuwie - pantofli z dziurkami nie chciał przyjąć, tłumacząc, że od czasu partyzantki marzną mu nogi: zbliżał się dzień ucieczki, potrzebne mu było mocne obuwie, dobre w lesie, gdzie będzie musiał pewien czas przesiedzieć. Straż wzięła pod uwagę partyzanckie dolegliwości i otrzymał solidne półbuty. Trzeźwo myśląc - ucieczka nie miała sensu, za tydzień będzie wolny i choćby był nie wiadomo jak śledzony, w Mińsku go więcej nie zobaczą, miał jednak ochotę jak najprędzej oderwać się, odciąć od NKWD, wy - to wy, a ja - to ja, i w zabawach, jakie szykuje wasz Sadofjew, nie mam zamiaru uczestniczyć! A zapowiadały się perfidne gry, teoretycznie uzasadnione i historycznie usprawiedliwione. Pułkownik rzeczywiście nie wiedział, nie

miał pojęcia o wyskokach Diwaniowa, do Mińska sprowadziło go poczucie obowiązku służbowego i osobistego, pragnął umacniać i chronić podstawy. Iwan dosłownie wpadł mu w oko na korytarzu urzędu, gdy zobaczył go, jak szedł pobity, lecz z zadziwiającą godnością. Urabianie Iwana odbywało się w niełatwych warunkach, przywiezione przez Sadofjewa prace z dziedziny filozofii, biologii, matematyki Iwan czytał w celi, po czym pułkownik u siebie w gabinecie dawał do nich obszernie komentarze, omawiał je szeroko, przewidywał przyszłość, głęboko analizował teraźniejszość, po swojemu interpretując banalne prawdy. Mówił o historycznej misji, jaką wszechświat powierzył partii Lenina - Stalina; drogą prób i błędów ludność planety uzyskała wreszcie trwałość, zadowolenie pułkownika budziły pewne wieści o zapowiadającym się rozłamie między dwoma wielkimi mocarstwami - ZSRR i USA, bo właśnie rozłam jest oznaką długotrwałego współistnienia państw i ujednolicenia całej ludzkości; tak jak człowiek ma rękę prawą i lewą, jak współdziałają prawa i lewa półkula mózgu, jak przeciwwagą nędzy jednej części ludzi jest bogactwo drugiej, tak samo świat może się rozwijać, ewoluować, doskonalić się tylko poprzez zmagania dwóch społecznoekonomicznych tytanów i kontrast między nimi - wyrazisty i ostry - powinien być stale utrzymywany; ludzkość będzie uratowana, wzniesie się na wyżyny postępu, spełni najśmielsze marzenia proroków, jeśli dwa systemy będą się sobie w gryzać w gardło, za obopólnym porozumieniem nie doprowadzając konfliktów do wojny (zabrzmiała tu teza: modus vivendi to modus

operandi, i na odwrót), pomyślność ludzkości zależy od kontrastowości fundamentalnych poglądów; w ostateczności wszystko sprowadza się do tego, że to

co czarne u nas, jest białe u nich i jeśli na przykład coś w USA będzie czarne, to u nas, w ZSRR, koniecznie musi być białe, lecz stworzyć społeczny pogląd na to, co jest białe, można tylko wtedy, gdy znajdzie się pod ręką przywiane z drugiej strony czarne, a jeszcze lepiej - zamiast przywiane, sztucznie stworzone...

Przemówienia pułkownika były naszpikowane terminami z biologii, filozofii, fizyki; wieczorami Iwan wspominał owe gładkie frazesy i domyślał się już z jaką misją przybył do Mińska Sadofjew i po co mu był potrzebny Iwan. Były partyzancki zwiadowca, student cieszący się autorytetem, miał skupić wokół siebie grupę i zacząć głosić jakąś herezję, chociażby negować klasowość matematyki, kaganek rozumu przyciągnie ogłupiałe w ciemności owady i tu je zatłuką. Możliwy był również inny wariant: ogień sam może wybuchnąć, pozwolą mu rozgorzeć, a gasić go będzie musiał sam Iwan, zalewać wodą pożar, zdeptywać, gromić z trybun, posługując się zapożyczonymi od Sadofjewa błyskotliwymi chwytami oratorskimi, morderczo gestykulując miękkimi, białymi dłońmi - oto jaki los gotowano Iwanowi i przed tym chciał uciec, a pragnienie ucieczki jeszcze wzrosło, gdy od Sadofjewa dowiedział się, że Klim Paszutin żyje!

A więc wojna zachowała brata przy życiu, uchroniła od kul, odłamków, kontuzji, brat cały i zdrowy chodził po ziemi, był nieschwytanym złoczyńcą. Poszukiwano go za kolaborację. Klim żył, nie mając pojęcia, że pułkownik już mu wybaczył, że służby bezpieczeństwa wysoko cenią biologa Paszutina i są gotowe zapewnić mu zatrudnienie w nauce. Akademia w Gorkim przyjmie syna marnotrawnego z otwartymi ramionami, Iwana zaś Sadofjew pouczył: jeśli spotka Paszutina, nie powinien przed nim uciekać jak przed

zadumionym, przeciwnie, niech go powita serdecznie, weźmie za rękę i przyprowadzi do Gorkiego! „Akurat ci to załatwię...” - pomyślał ze złośliwą satysfakcją Iwan, a na odwachu odtańczył radosny taniec, porwany słodkim uczuciem powrotu w przeszłość, do Leningradu z jego mgłami, słońcem i wodą Newy, do mieszkania na prospekcie Karola Marksa; spacerując po celi, przystawiał składaną w myśli drabinkę do półek z książkami, wspominał wszystko, co czytał, porównywał z tym, czego dowiedział się już po Leningradzie, dodając to, co leżało na stole, podarowane przez pułkownika, wpatrywał się w najzwyczajszą rzecz - w kawałek chleba, wieczorną porcję, część wielkiego bochna, lub zwykłego bochenka; jeśli skubnie się z tej porcji małej kawałek - pozostaną w nim wszystkie fizykochemiczne cechy całości, ale w jakimś stadium skubania chleb przestanie istnieć. Od niepamiętnych czasów ludzie rozdrabniali na części wszystko, co istnieje, od figur logicznych zaczęła się nauka o pochodzeniu wszystkiego. August Weismann dzielił organizm na organizm właściwy i plazmę zarodkową, to znaczy na fenotyp i genotyp, uważał, że jego nosicielami w jądrze komórki są chromosomy, w 1935 roku Kolców nazwał je molekułami dziedziczności; czepiając się siebie nawzajem, białka tworzą łańcuch aminokwasówgenów, które się odtwarzają i są przekazywane z pokolenia na pokolenie, jak powtarzająca się dzień w dzień nazwa choćby tej gazety: „Sowiecka Białoruś”, pozostaje tylko niewyjaśniona jedna tajemnicza operacja, jak cały nakład gazety

przeobraża się w litery składu drukarskiego, jak zmienia się rozmieszczenie liter, które w stosunku do gazety mają się tak, jak człowiek do swego odbicia w lustrze- to porównanie przyszło mu do głowy w samą porę, plan

ucieczki został zrewidowany, „lustro” podsunęło mu wspaniały pomysł. Trzej bezpieczniacy eskortowali Iwana do Sadofjewa, jeden z nich, zupełna wiocha, ciamajda, żeby nauczyć go musztry trzeba mu było pewnie przywiązywać do butów słomę i siano, nudził się na korytarzu, czekając na koniec przesłuchania - oto, co można było wykorzystać. Kręty bieg myśli omijał przeszkody, wyrywał się na swobodną przestrzeń, wszystko miał przemyślane, a nawet wypróbowane, zaplanował ucieczkę na 24 września. W sobotę, dwudziestego drugiego, Iwana jak zwykle odwieziono na odwach, niedzielę Sadofjew poświęcał na teatr i przyszły prowodyr awantur miał wolne. W sąsiedniej celi dwaj oficerowie sprzeczali się o operację Korsuńsko - Szewczenkowską, a Iwan cieszył się, czytając materiały ze śledztwa w sprawie dekabrystów: mateczko Rosjo, ileś ty ludzi zdeprawowała! Nawet ci wolnomyślni krzewiciele oświaty - jakże oni płaszczyli się przed Mikołajem, ileż wiernopoddańczych łez przelano na przesłuchaniach, a wszystko dlatego, że i car, i dekabryści należeli do jednej jedynej szlacheckiej partii, a ona mężnych czyniła tchórzami, podcinała nogi tym, którzy, zdawałoby się, mocno stali na ziemi; jakże tu nie wspomnieć o jednomyślności partyjniaków i wszelkiej hałastry, zjednoczonej kłamliwym frazesem: „Wszyscy jesteśmy sowieckimi ludźmi”, szczególnie wstrętni są tak zwani „płomienni rewolucjoniści”; Nikitin miał po stokroć rację: „kat torturuje kata”. Czytał i cieszył się: już niedługo, wkrótce zerwie z tą władzą, która go zniewoliła; zanim to nastąpi, może sobie czytać podsunięte przez Sadofjewa materiały, starając się nie słuchać sporów oficerów, którzy coś przeskrobali. Cała siła tej władzy polega na udawaniu, że jest ludowa, swojska, przyjacielska, ale człowiek tył

ko wtedy może być człowiekiem, kiedy zostanie wrogiem wszystkich Diwaniowów i Sadofjewów.

Oficerowie pohłasowali i usnęli, a o północy na odwach zwalili się dwaj pijani w dym - Diwaniow i Aleksandrów - nadarzała się sposobność, wmieszał się przypadek, incydent podyktowany chwilą, fenomen, wyłaniający się z ciemności poza uświadomionymi faktami, spoza logiki wydarzeń - to nie kaprys Diwaniowa sprowadził go do tego przybytku dla wyższych oficerów. Coś musiało zajść w kierowniczych sferach, pojawiło się zagrożenie dla bezużytecznej egzystencji Diwaniowa, ktoś mu podpowiedział, co ma robić, a już jak to zrobić, obaj specjaliści od lipy z grubsza rozpracowali, i teraz wrzeszczeli, wymachując jakimś papierem, domagali się wydania starszego lejtnanta Barinowa na przesłuchanie do zarządu, dowódca warty odmówił, powołując się na to, że o tej porze doby może wydać aresztowanego tylko za zezwoleniem dyżurnego garnizonu. Piskliwy tenorek Diwaniowa dźwięczał już na korytarzu, Iwan przywarł do drzwi, łowiąc uchem każdy dźwięk, rosła, wzbierała w nim ciepła, aż bolesna fala nienawiści, krzepiąc ducha, popychając do czynu w imię własnej godności, i kiedy dowódca warty zaczął zyskiwać przewagę nad bezpieczniakami, którzy wtargnęli na odwach, łączył się już z dyżurnym garnizonu, Iwan wrzasnął co sił w płucach: „Chodź tu, Diwaniow, powąchasz mój pepek!...” Ten, rozjuszony, natarł mocniej,

przedarł się do drzwi; zgrzytnęła zasuwa i ukazała się jego pobladła twarz, poruszająca się gwałtownie grdyka i wściekle oczy. Iwan pozwolił wyciągnąć się na ulicę, bez oporu wsiadł do auta; za nim wcisnął się Aleksandrów, zajął miejsce obok niego z uniesionym w prawej ręce pistoletem - całą wojnę przesiedział na tyłach, ani razu nie

mierzył, ani razu nie strzelał do żywego człowieka, a teraz miał wystrzelić - „przy próbie ucieczki”. Diwaniow siedział za kierownicą, prowadził emkę jak najdalej od centrum, promieniał wprost złośliwą radością, pędził na czerwone światło na przejeździe, nagle zahamował, żeby odwrócić się i krzyknąć Iwanowi w twarz: „Teraz pokażę ci swój pępek!” Miasto dawno spało, na ulicach - pusto. Diwaniow gnał w stronę przedmieść, w zapadłe ciemne kąty, gdzie odgłos strzałów nie był rzadkością. Iwan bacznie rozglądał się dokoła, czekał na dogodny moment i, kiedy emka natknęła się na coś i gwałtownie skręciła, wyrwał pistolet z niedoświadczonej ręki Aleksandrowa, wpakował Diwaniowowi kulę w tył głowy, wywłókł trupa w błoto, wykonał taniec zemsty, półbutami miażdżąc mu kości, Aleksandrów już wcześniej dostał cios rękojeścią pistoletu w nasadę nosa i od razu wszystko stało się jasne. Iwan siadł za kierownicą, wstecznym biegiem wyprowadził emkę z kałuży, w której pozostało dwóch durniów, auto porzucił przy parku i w ciemnościach nieoświetlonych ulic przekradł się na stację towarową, gdzie wszystko było mu dobrze znane jeszcze z czasów wojny, tutaj zakładał miny; rożki spinaczy wagonów i szczęk zderzaków przypomniały przeszłość, rozum podpowiadał: precz z Białorusi, tylko w tej republice bę dą go szukać, poszukiwania na terenie całego Związku wymagają sankcji Moskwy, a nikt w Mińsku nie będzie się o nią starać; złapie jakikolwiek pociąg - i szybko, jak najszybciej stąd! Mżył deszcz, ale Iwan zabrał płaszcz z samochodu, buty nie zdążyły jeszcze przemoknąć, wspiał się na stos przykręconych do platformy desek, towarowy zadudnił na zwrotnicach i potoczył się w noc. Po półgodzinie mignęła nazwa stacji, miał szczęście, jechał w kierunku Mołodeczna, w stronę Li

twy, ale przy pierwszym hamowaniu zeskoczył. Przypomnił sobie o schowanych przed dwoma laty pieniądzech, nie wiadomo przecież, co go czeka, nie ma żadnego adresu, żadnego dokumentu, bezsensowne byłoby szukać pracy, te pieniądze go uratują. Zaczęło świtać, mgła pobielała, gdzieś obok znajdowała się wieś, już zapiał kogut, nie słyszał psów, bardzo ich mało pozostało na Białorusi. Radość z odzyskanej wolności była tak gwałtowna, że pamięć bez trudu odtworzyła mapę okolicy: w odległości dwudziestu kilometrów - chałupa rozstrzelanego przez partyzantów leśnika, tam będzie można coś znaleźć; las przywrócił dawne nawyki, zaostrzył węch, oczy bezbłędnie wypatrywały właściwe ścieżki, w brzezynie, wbijającej się klinem w masyw niewysokich świerków, przywidziało mu się coś znajomego, przemknęła szaleńcza myśl: a może by tak zajrzeć do domu łącznika, skąd zawieziono go do Gestapo w Mińsku? Żołądek domagał się jedzenia - znalazł je w chałupie: sól i gotowane ziemniaki, były też zapalki; zapragnął ognia, ciepła, ale zwyciężył rozsądek. Do pieniędzy pozostało dziesięć kilometrów - zmierzył w myśli odległość na wyobrażonej mapie i usnął w szumie rozkołysanych wierzchołków osik i miękkim postukiwaniu spadających szyszek. Rano zobaczył z pagórka wieś, skąd rozpoczęła się jego droga do zbiorowego grobu: pół setki domów, nie wiadomo jednak dlaczego nie dymiły kominy, nie widać było ludzi. Jeszcze pół godziny skradania się i

zatrzymał się przed norą, do której wepchnął worek z pieniędzmi; z gałęzi, wymachując ciężkimi skrzydłami, wzbił się w niebo wielki czarny ptak - może przez te dwa lata pilnował zwilgotniałego skarbu. Iwan zarzucił worek na ramię i ruszył na północ. Władza zapewniła mu pieniądze przynajmniej na półtora roku, mógł zaszyć się

w wielkim mieście i rozpocząć nowe życie; już trzykrotnie go rozstrzelowano - chyba najwyższy czas skończyć z tym przyzwyczajeniem władzy, by zabijać właśnie jego - Barinowa I. L.

Piętnaście kilometrów od stacji oczekiwała Iwana szczęśliwa niespodzianka. Od stogu na pół zgniłego siana zalatywało starą padliną; żerdź rozrzuciła warstwy zleżałej trawy i to, co się ukazało, było przerażające, jakby Iwan zajrzał do rozkopanej mogiły, uzmysłowił sobie, że chłopiec i dziewczyna, zaskoczeni zimowym chłodem, schronili się na noc w stogu, obję ci, by było cieplej, i zamarli - dobra śmierć, przyjemna, przy muzyce niebios, Iwan sam kiedyś o mało nie powędrował do nieba - ratując się przed mrozem, leżał zmorzony snem w stercie niezwiezionego jęczmienia, uratował go czekista, który potknął się o jego zaśnieżony walonek. Natomiast ci: chłopiec i dziewczyna usnęli jeszcze dwie zimy temu, myszy zjadły trupy, oszczędziły tylko czarną skórzaną kurtkę, ściągniętą zapewne z niemieckiego czołgisty, ale Iwan nie odważył się jej włożyć: na stacji mogły być psy, a one są bardzo wrażliwe na padlinę. Z kurtki wypadło blaszane pudełko, w jakich przed wojną sprzedawało się landrynki, partyzanci zaś trzymali w nich machorkę; Iwanowi okropnie chciało się palić, aż ślina napływała do ust i kręciło się w głowie, ale pudełko podarowało mu coś znacznie cenniejszego: leżał w nim paszport. Oгородnikow Sergiej Kiryłowicz, urodzony 14 maja 1922 roku we wsi Nikito Iwdel, w obwodzie Swierdłbwskim, na fotografię można było nie zwracać uwagi, tak bardzo była niewyraźna. Dokument w pełni przydatny przy pobieżnej kontroli, musiał się tylko ogolić, co też zrobił u dróżniczki, która przygarnęła go u siebie na noc; na pewno niejedną raz dawała schro

nienie zmarzniętym i głodnym mężczyznom, dla których las oznaczał wolność. Na ciuchach w Wilnie kupił czapkę, palto i buty, walizkę oraz to wszystko, co biorą z sobą w podróż ludzie w delegacji, większą część pieniędzy pozostawił w lesie, pistolet także, przed samą Moskwą poznał łasego na darmochę chłopaka, który z dworca zawiózł go do siebie na Zacepę. Kwaterunkowe mieszkanie w brudnym, fabrycznym bloku, dwie rodziny jeszcze nie wróciły z ewakuacji, ich drzwi były zabite; oprócz gościnnego chłopaka i jego mamy, w mieszkaniu była jeszcze lokatorka - dziewczyna z przyfabrycznej zawodówki, żyjąca w takiej biedzie, że krępowała się pokazywać w kuchni, jadła w szkole, a rano robiła sobie herbatę u siebie w pokoju na prymusie. Głupawemu chłopakowi i jego mamie wcisnął legendę: jest pracownikiem fabryki zbrojeniowej w Moskwie, pilnuje załadunku surowca, biega po ministerstwach i dworcach.

Tydzień zszedł na wtapianie się w życie miasta, rano Iwan wsiadał do tramwaju i zaczynał pasjonującą podróż po stolicy, nasiąkał jej słownictwem i zwyczajami. Brzęczały drobne w torbie konduktora, ogłaszano kolejny przystanek, a Iwan patrzył i słuchał; nikogo z tych, którzy znali go wcześniej, tu nie było i nie mogło być, ale przez wielomilionowe miasto przetaczały się setki tysięcy przyjezdnych, granatowe czapki milicji niczym jastrzębie wisały nad ludzkimi tłumami, zewsząd

sterczały złe uszy, łypały natrętne oczy. Trzeba się było dostosować, pomogły partyzanckie nawyki: wojskowe względy zmuszały Iwana do spacerowania wśród Niemców, nauczył się sprawiać wrażenie trochę przestraszonego - dokładnie na tyle, by strażnicy porządku zadowalali się pokorą bezbron

nego człowieka; a jeśli na dodatek trzymało się na widoku siatkę z czymś potrzebnym do gospodarstwa domowego, to nawet dokumenty nie były potrzebne. Ponadto Iwan miał sporządzone na Rynku Inwalidzkim dobre zaświadczenie: tak, jest delegowany do Moskwy na trzy miesiące, data przybycia - 18 września. Przyjemnie było chodzić po ulicach stolicy - w ręku poczciwa siatka z bułką paryską i butelką piwa; na bazarach pytał o ceny kaszy jaglanej, ryżu (po trzydzieści rubli szklanka), cena ryżu posłużyła za wskaźnik, obliczył wydatki i zaczął oszczędzać, do wiosny mogło mu zabraknąć pieniędzy. Ukrył je w drewnitni, nie przeliczając nawet, wiedział: matka przygłupa szperała w woreczku, nie wzięła ani kopiejki, liczyła na większą sumę - na szantaż, nie na próżno powściągała syna, który po pijanemu złym okiem świdrował Iwana, szarpał na sobie koszulę, pokazywał rany, bełkocząc o „poniektórych”, którzy całą wojnę przesiedzieli na tyłach, w Swierdłowsku na przykład, wyreklamowani pod osłoną „mocniejszych niż pancierz”. „Mamuśka” natomiast - dobrodziejka Iwana - uczyła go odróżniać fałszywe kartki żywnościowe od prawdziwych, a on pomagał jej wymieniać olej silnikowy na słoninę. „Co byśmy bez ciebie zrobili” - mamrotała dziękczynnie przez nos, roniąc skąpe łzy: synek przecież epileptyk i żaden z niego żywiciel, sama musi wszystko zdobywać, dzień w dzień o wszystko się troszczyć - maleńkie oczka wypełniał smutek... Obrzydła już Iwanowi ta rodzinka, dawno by się wyprowadził, ale dokąd, do kogo? Potrzebny mu był człowiek, który mieszkał w Moskwie, tak jak on chodził po jej ulicach - tak samo zaszczuty jak Iwan, jak Klim, ale sprytny, silny, który umiał urządzać się przy tej władzy i żyć pod nią jak mu się podobało, musi napotkać takiego człowieka

ka; ale kiedy go już spotkał, Iwan był początkowo przerażony, zresztą ów człowiek też wcale się nie ucieszył. Stali naprzeciw siebie na skrzyżowaniu Dorogomiłowki z uliczką wiodącą do rzeki Moskwy; obaj wyciągnęli ręce z kieszeni na znak, że broń, jeśli ją nawet mają, nie będzie użyta; los już ich ze sobą stykał, ale gdzie, kiedy, w jakich okolicznościach - nie pamiętali i obaj postanowili odłożyć na przyszłość wyjaśnienie, kto komu był większym wrogiem, albo czyja ręka wyciągnęła się kiedyś na ratunek ginącemu. Iwan miał przed sobą trzydziestopięcioletniego mężczyznę, tego co on wzrostu, jego brwi zbiegały się w linię prostą, nieprzerwaną zagłębieniem u nasady nosa, cienkie wargi zaciskały się uparcie, w oczach igrała drwina i wyzwanie, mężczyzna nosił palto z nakładanymi kieszeniami, czapka była daniną na rzecz mody. Nieznajomy dotknął jej dwoma palcami, wskazując, by bez lęku iść za nim, w drodze do Fil kilka razy się zatrzymywał, sprawdzając, czy nie leżą za nimi obywatele o jednakowej szpicłowskiej powierzchowności. Skrzypiące schody jednopiętrowego drewnianego domu przywiodły ich do dobrze ogrzanego pokoju, gdzie padły wreszcie pierwsze słowa; mężczyzna rozebrał się, siadł przy stole i powiedział, że przyjmie do pracy kogoś, kto ma czyste papiery, po czym wziął paszport, wydany przez miejską komendę iwdełskiej milicji i podał mu w zamian zaświadczenie Komendy Miejskiej Milicji w Wilnie, komendant tego organu władzy

powiadamiał wszystkich zainteresowanych, że dokumenty Ogorodnikowa Sergieja Kiryłowicza znajdują się w wyżej wymienionym mieście celem zameldowania. Ustalając zakres niezbędnej w ich stosunkach wzajemności, mężczyzna przedstawił się: Algirdas Kaszpariawiczius, ale powiedziane to było tak, by nie po

zostawało żadnych wątpliwości: Kaszpariawiczius i Ogorodnikow to tylko pseudonimy, w pełni jednak przydatne w miejscu i czasie, w jakich znajdują się obaj posiadacze owych nazwisk. Prawdziwą natomiast była zaofiarowana Ogorodnikowowi praca kierowcy ekspedytora w Przedstawicielstwie Litewskiej SRR przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRR. Zaproponowano mu nocleg w pobliżu zarządu portu, w bursiehotelu, ale Iwan z tego zrezygnował, tak samo jak z zaliczki, zgodził się natomiast stawić jutro na stacji podmiejskiego pociągu Osada Robotnicza, następnej po Filach. Sama stacja Filie była widoczna z okna ciepłego pokoju. Iwan pobiegł tam uradowany, na próżno usiłując sobie przypomnieć: może to na wileńskich ciuchach zwrócił na niego uwagę Algirdas Kaszpariawiczius? Spieszył do Mamuśki, żeby wziąć klucz od drwutni i razem z drwami przynieść do pokoju pieniądze, jutro rano może się wyprowadzić, koniec z legendą o Swierdłowsku, Kaszpariawiczius wspomniał o nowych dokumentach. Spieszył się, ale się spóźnił; w piecu było już napalone, chory synek usiłował zaśpiewać rzewną urkagańską pieśń, wytykał Iwanowi fabrykę zbrojeniową, która uratowała go przed frontem, a Mamuśka, polegająca za parawanem, leniwie karciała niekochane dziecię. Wódka na samym dnie butelki, wypatroszony ś ledź na gazecie i raptem władowuje się komisja - trzy typy z milicjantem (po odgłosie kroków Iwan określił jej skład), drzwi mieszkania otworzyła im mizerota z przyfabrycznej zawodówki i do niej pierwszej pomaszerowała władza. Synek rozdarł się na całe gardło: „U nas ukrywa się dezterter ze Swierdłowska”, Mamuśka huknęła na niego, uspokoiła Iwana, który mógł już teraz usłyszeć odpowiedzi mizeroty na pytania milicjanta, musiał się jednak czymś

zdradzić, bo obserwująca go zza parawanu Mamuśka zrozumiała: będą kłopoty! Ta komisja nie stanowiła wielkiego zagrożenia: trwała kolejna akcja, stolica przygotowywała się do godnego powitania żołnierzy zdemobilizowanych w drugiej kolejności, poszukiwano metrów powierzchni mieszkalnej z nieuniknioną kontrolą dokumentów i meldunku, ale głupi synek mógł nagadać coś niepotrzebnego, znacznie więcej niż to, co zawierało zaświadczenie z Wilna. „Ja zaraz, zaraz...” - powtarzała Mamuśka, zajęta czymś tak gwałtownie, że cały parawan podskakiwał. Wreszcie wyskoczyła na zewnątrz: króciutka spódniczka, ściągnięta w pasie, jedwabne pończochy na zgrabnych, młodych nogach, bluzka z krótkimi rękawami rozpięta na piersi, wargi umiejętnie umalowane, rzadkie włosięta ściągnięte, podniesione i związane w modną fryzurę, Mamuśka, która objawiła się nagle spośród rupieci za parawanem, przypominała moskiewskie dziewczyny lekkich obyczajów, kręcące się przy dworcach i czatujące na mężczyzn w pobliżu barów; nim zapukała komisja, zdążyła jeszcze wsunąć do ust zapalonego przez Iwana papierosa i łyknąć pół szklanki wódki. Kiedy cztery pary oczu wlepiły się w Iwana, który na żadnej liście nie figurował, Mamuśka ruszyła do ataku na milicjanta - znała go oczywiście - napała na niego bujną piersią, wypychając z pokoju, odwołując się do sumienia: no i co, że chodzi do niej chłopak z fabryki numer jakiś tam,



wiadomo, po co chodzi, jest przecież kobietą, żonaty, więc po co ma nosić z sobą dokumenty, cóż to, ona nie wie, z kim ma do czynienia? Władza wycofała się z krzywym uśmiezkiem, poszła do następnego mieszkania. Synek, pognębniony do cna, milczał. Mamuśka kawałkiem gazety starła z ust szminkę i znikła za parawanem; Iwan już

wcześniej zauważył, że gospodyni postarza się w jakimś daleko idącym celu, przygarbieniem i wdowią chustką osłania dostatek w domu, spływające tu pieniążki, ale nie spodziewał się aż takiej metamorfozy i postanowił rano dać jej na pożegnanie o pięć tysięcy rubli więcej. Przyjęła plik banknotów, skinęła ze zrozumieniem, kiedy usłyszała, że Iwan musi niezwłocznie wyjechać do Gorkiego, do fabryki samochodów, spytała rzeczowo, o jakich miastach i fabrykach mówić tym, którzy zaczną się interesować Iwanem, jeśli ten już tu nie przyjedzie; podziękowała także za walizkę, którą jej zostawił. Poupychał do kieszeni różne drobiazgi, paczkę z pieniędzmi zostawił na wierzchu w siatce, razem z mlekiem i chlebem, Kaszpariawiczus zerknął z ukosa, zrozumiał, chrząknął, spytał, do jakiej sfory należy Iwan, tej czy tamtej, wysłuchał krótkiej odpowiedzi i przyznał: tak, każde stado jest niebezpieczne. Przygodnym samochodem dojechali do placu, zastawionego autami i motocyklami, był to skład uszkodzonych pojazdów - SUP Dwa kilometry stąd, na szosie Mińskiej przy Bukowce, specjalny oddział milicji na chybił trafił konfiskował osobowe i ciężarowe samochody tym, którym nie przysługiwało prawo totalnej grabieży Niemiec - niemal wszystkie pojazdy sprawne, na chodzie, niejednokrotnie kradzione, przydzielano z tego składu na podstawie oficjalnych zapotrzebowań na blankietach lub zmiętych karteczkach nie wiadomo od kogo - a zajmował się tym człowiek pokroju Kaszpariawiczusa - z wyglądu nieprzystępny i nieprzekupny. Iwan, przyjrząwszy się temu, jak szybko zmieniają się prawa do ruchomej własności, z jakim zyskiem dla obu stron, zrozumiał: wielu, bardzo wielu ludzi w Komisariatach Ludowych sporo zawdzięcza Litwinom, zawsze więc szepną im

coś ważnego, zawsze zrewanżują się w naturze, lub radą. Jeden z takich urzędników na miejscu wypisał Iwanowi prawo jazdy, po czym Iwan niewielką ciężarówką a Kaszpariawiczus oplem pojechali do Fil. Znalazły się miejsca w garażu, kierownik działu gospodarczego Przedstawicielstwa miał wszędzie swoich ludzi, nie tylko w Moskwie; jeszcze tego samego wieczoru Iwan wyruszył w ważną delegację służbową. W Kownie zmarł stary rewolucjonista, nie miał rodziny ani dzieci, żadnych krewnych, przed śmiercią wyraził życzenie, by pochowano go w ojczyściej ziemi, pogrzeb po myśli Kaszpariawiczusa miał się odbyć w Moskwie, tylko w Moskwie. „Znasz tam drogę” - powiedział ze specjalną intonacją, wysyłając Iwana w daleki kurs; zakreślał tym pożegnalnym słowem krąg, w którym niegdyś miało (lub mogło mieć) miejsce ich spotkanie, w tym kręgu mieściła się przestrzeń między Mińskiem a Kłajpedą, lasy od Paneweżysa po Alitus, gdzie w wielkiej strzelającej masie zabijali się nawzajem żołnierze NKWD, bracia leśni, dezterterzy, zbiegli jeńcy, partyzanci, Niemcy i głodni, zawszeni legioniści nie wiadomo przez kogo stworzonego wojska. Tam i teraz był o niespokojnie, ciężarówkę Iwana trzykrotnie ostrzeliwano, później dogonił go Kaszpariawiczus oplem i oba samochody ruszyły ostro, w Kownie zaprowadzono Iwana do fotografa, tam też otrzymał paszport, ale już z meldunkiem w Kownie, ze wszystkimi pieczęciami, wystrojono go w czarny garnitur i zaopatrzone w upoważnienie, z którym pojechał do kostnicy, z czią pochylił głowę przed

zabitą na mur trumną. Widoczne były na niej jednak ślady cięcia, ktoś próbował siekierą zbeczczyć ostatnią celę bojownika o słuszną sprawę, który wiele lat przesiedział w więzieniach. Iwan przypomniał sobie wzniosłe zda

nie o tym, że nawet z trumny rewolucjonisty powinien buchać płomień i dotknąć cięcia - nie było osmalone! Obłożona lodem i trocinami trumna wyruszyła do Moskwy, trzech pijaczkowie - przy akompaniamencie przekleństw Iwana - wnieśli ją do domu przy rogatkach Abelmanowskich, obciążkami oderwali wieko. Iwan zobaczył sine czoło starca i umiejętnie zatynkowany otwór, kula weszła pod prawe oko samobójcy. Jeszcze przez całą dobę żegnali starca przychodzący pojedynczo ludzie, kobiety trzymały chusteczki przy ustach, wyraźnie nie wszyscy żałobnicy należeli do sowieckich ludzi, słyhać było słowa po hiszpańsku, niemiecku, francusku - po rosyjsku przemówił nagle generał lotnictwa, nazywając nieboszczyka ukraińskim imieniem Panas. Pochowano go poza granicą miasta („Takich jak on żadna ziemia nie przygarnia" - odezwał się złośliwie Kaszpariawiczius), ktoś przemówił po litewsku, po czym zabrzmiała śpiewnie łacina. Leżący w trumnie za życia uważał się za internacjonalistę, lekką mu była ziemia i w Afryce, i w Belgii, tylko nie ta, która go zrodziła. Grudy gliny spadające na zabitą przez Iwana trumnę zakończyły pogrzeb jednego Litwina i wskrzeszenie drugiego, Iwana czasowo zameldowano w Moskwie pod cudzym nazwiskiem o dziwnie brzmiącym patronimicum - Juzasowicz. W odległości kilometra od garażu, we wsi Maziłowo były pokoje do wynajęcia, Iwan nauczył się mówić po rosyjsku z lekkim litewskim akcentem, co uwiarygodniało nazwisko, obcokrajowiec miał już gdzie mieszkać i co jeść codziennie rano. Dobrze myślało się o życiu przy trzaskającym mrozie za oknem, przyjemne myśli rodziły się w kabinach samochodów. Kiedyś jechał za tramwajem, widział co się dzieje na tylnym pomoście, zdumieli go mali chłopcy, wszyscy kleili się

do drzwi i ani szturchańce, ani perswazje dorosłych i konduktorki nie pomagały, nie chcieli rozproszyć się równomiernie po wagonie, jakaś siła ciągnęła ich na ciasne pomosty, do drzwi, za którymi była swoboda, przestrzeń. Czyżby to ten sam lęk przed zamkniętą przestrzenią, w której płód istniał w łonie matki? W chłpakach przetrwał jeszcze strach przed porzuceniem ciepłych ścian macicy - i radość uwolnienia z ciasnoty i ciemności. A jeśli zagłębić się myślą w przeszłość płodu, to przecież zapłodniona komórka potrzebowała zamkniętej sfery przebywania, gdzie ewoluowała, poczynawszy od ameby, poprzez stadium istnienia ziemnowodnego, byt gadów, ssaków - jak zestawić dziewięć miesięcy życia w łonie matki z milionami lat nudnego procesu ewolucji?

Zaparkował opla w zauku; był zadowolony, że jego mózg działa sprawnie, ale martwiły go zmarnowane miesiące. Nie dla Kaszpariawicziusa przecież ratował go los od tyłu śmierci, trzeba myśleć i żyć, i trzeba znaleźć Klimę. Musi być tu, w Moskwie, nie miał dokąd uciekać, w Gorkim go nie przyjmą, w Mohylewie tym bardziej; pociągają go ludzie nauki, jest zatruty genetyką przez głupotę może się zgłosić do Instytutu Timiriaziewa i zapudłują go na dziesięć lat, on także szuka Iwana i tylko przez Leningrad może się z nim skontaktować, dając o sobie znać, zostawiając kartkę (lub oczekując jej) w mieszkaniu przy prospekcje Karola Marksa; to przecież oczywiste, że Ogród Botaniczny w Gorkim, miejsce, gdzie się widzieli - nie może posłużyć za skrzynkę pocztową. Jego

myśli biegły do Leningradu, błędziły tam; tydzień stracił na przygotowania, tekst listu miał przemyślany do najmniejszego przecinka. „Jeszcze cię nie złapali” - zażartował Kaszpariawiczius, kiedy Iwan wspomniał

o Leningradzie, chwilami Litwin mówił tak, jakby złamało ich obu to samo nieszczęście, czasem podпиты snuł domysły, który z nich pierwszy wycelował i nie wystrzelił. Iwan bał się grzebać w przeszłości, od razu odzywał się bolesne łamanie w kościach, którym płacił za wszystkie pomyłki i błędy, ale Leningrad nim wstrząsnął, poruszył do głębi, podniosły się z dna osadzone przez czas grudki przeszłości; gdy doszedł do Newy, z trudem powstrzymał jęk; wiatr zwiął napływające łzy, kra uderzała o filary mostu Litiejnego- stąd widać już było ukochany prospekt, jego cichy smutek. Myśl o śmierci, która znów połączy syna z rodzicami, była tak dojmująca, że Iwan wyplakał się w jakiejś bramie, sprawdził przy tym, czy nie leżę za nim jakiś miejscowy tajniak. Znał wszystkie przechodnie podwórza obok dworca Fińskiego, wszystkie piwnice, pozbył się ewentualnego ogona, wmieszał się w tłum i niepostrzeżenie dotarł do domu. Nic nie mogło wywiać z prospektu zapachu nieokiełznanego dzieciństwa. Tu żył i rósł, nie wiedząc ani nie przeczuwając, co czeka go w przyszłości; oto podwórze, oto klatka schodowa, gdzie niegdyś obłąpił Nataszkę, od czego zaczęła się jego pasja do matematyki. I drzwi te same, obite tą samą skórą, biały guzik dzwonka; poczuł przyjemny zawrót głowy, wyobraził sobie: oto wejdzie do mieszkania i spadnie z niego dziesięć przeżytych lat, zmniejszy się będzie znów piętnastolatkiem, chłopcem. Drzwi się uchylili, ukazując dziewczynę - w jej oczach było coś, co skłaniało do czułości, takiej dziewczyny nawet za rękę nie wolno wziąć, najwyżej za jeden palec. Wybąkał proszaco: Czy można zostawić list dla frontowego przyjaciela... a może przyjaciel już przychodził? Rzecz w tym, iż przez pomyłkę dał mu adres, gdzie zamiast Moskwy- nie wia

domo dlaczego, ale zdarza się przecież coś takiego - wskazał Leningrad, wszystko inne się zgadza... Plótl coś bez związku, bojąc się podnieść oczy na dziewczynę, ale już z szurających kroków nadchodzącej na rozmowę kobiety pojął. Klim tutaj był, był! Zachwiał się, ręka wyciągnęła się ku ścianie; przez dziesięć lat w ich mieszkaniu żyli inni ludzie, z ich zapachami, chimerami, a mimo wszystko wyczuwało się obecność tamtej rodziny, która w panice uciekła do Mińska; ściany i tapety nasiąkły zapachem matki, jej strojów, wody kolońskiej ojca, jego skóry... kobieta podeszła, przyjrzała mu się i spytała raptem: czy ma na imię Iwan? Czy nie mieszkał tu w trzydziestym piątym roku? Bliskość niebezpieczeństwa błyskawicznie wymiotła roztkliwienie. Iwan potwierdził: tak, to on, a więc, czy przyjaciel czegoś dla niego nie przekazywał? W przedpokoju wisiało lutro, kobieta wyciągnęła z niego liścik; jej spojrzenie biegło od Iwana do dziewczyny i z powrotem; nie można było wymówić się od herbaty, mogłoby to wzbudzić podejrzenia, telefon miał przy tym na oku i kobieta nie zdążyłaby zadzwonić, zresztą obie - matka i córka - nie potrafiłyby tak zgodnie grać roli przynęty. Siedział z nimi w kuchni, opowiadał o czymś, starannie dobierając słowa, po czym wybrał odpowiednią chwilę, żeby się pożegnać i uciekł; koperta paliła rękę (wielkimi dziecinnymi literami było na niej wypisane: „Dla Iwana, lokatora” - co za idiota!), w toalecie na dworcu Fińskim niesforne, krzywe literki ułożyły się w słowa, zostały odczytane, strzępy papieru spuszczone z wodą, tekst

zapamiętany, radość, że Klim przebywa w Moskwie, mąciła złość: jak można być takim bęcwałem - dokładnie, otwartym tekstem wskazać miejsce i czas spotkania; nie, niczego się nie nauczył syn wrogów ludu, a przecież żył pod

Niemcami, wiedział, jak nie wpaść w łapy okupanta. Teraz trzeba poobserwować te dwie: mamę i córkę, ustalić ich ewentualne kontakty, przyjechać po to znów do Leningradu, ale dziś jak najszybciej do Moskwy, jutro niedziela, wyznaczony przez Klimę dzień spotkania. Pociąg mknął w noc, przybliżając chwilę, gdy na siódmej od wejścia ławce parku w Sokolnikach usiadł nie aresztowany dotąd Klim. Mimo wszystko Iwan postanowił jednak zachować ostrożność, adresowany do niego list mógł przecież powstać w więzieniu Lefortowskim. Godzinę przed trzecią wysiadł z metra na stacji „Sokolniki”, ulokował się przy pawilonie z piwem, w pobliżu kręciły się dwa typki, ale, rzecz można, w ramach ogólnego porządku rzeczy, niezwiązanego akurat z siódmą ławką, tak zasypaną śniegiem, że głupio byłoby na niej siadać. Klimę poznał od razu, choć w przechodzącym obok człowieku nie znalazł nic znajomego, a jednak to był Klim, to on - bez okularów, ubożuchno, ale ciepło ubrany, chód go zdradzał - nie raz już przychodził do tej ławki, dziewięć niedziel minęło od jego odwiedzin na prospekcie Karola Marksa, dziś także nie spodziewał się Iwana, nie rozglądał się, nie zatrzymywał, by być zauważonym i odszedł z alei. Iwan dogonił go przy sklepie z pieczywem, schwycił za rękę i pociągnął pod łuk bramy, na podwórze, za samochód, z którego wyładowywano pojemniki z chlebem.

Tu się objęli i chyba się popłakali. Krótki zimowy dzień dobiegał końca, sypał śnieg, oblepiając ich obu. „Brat, brat...” - jak w malignie powtarzał Klim i to słowo, rażące Iwana i w Leningradzie i w Gorkim, budzące drwinę, teraz przyjmował z wdzięcznością, słowo brzmiało wspaniale. Tak, ludzie mogą być bogaci lub biedni, źli lub dobrzy, mogą być zwierzchnikami

lub podwładnymi, ale łączącą ich cechą są więzy krwi, dwa płody z jednego łona, to łono niweluje wszystkie różnice. Iwan i Klim są braćmi, mają wspólną prababkę, która jak ziarno na piaście koła u wozu przywędrowała do Rosji z Zachodu, tak więc nie bez kozery Iwan trafił do Litwinów - ich wspólny przodek uciekł kiedyś znad Niemna.

U Klimy, w jego klitce, penetrowali korzenie ich drzewa genealogicznego; przyjechali tu, trzy razy zmieniając taksówki, jeden drugiego powściągał, przerywali sobie nawzajem, ponieważ tak bardzo chciało się mówić, mówić, opowiadać i śmiać się; dosyć się namilczeli przez pięć lat! Dom w pobliżu Rynku Kołchozowego, środkowa klatka schodowa, schody wiodące do piwnicy, po prawej drzwi z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami - gospodarstwo elektryka, po lewej drzwi bez żadnych napisów, z wiszącą kłódką - Klim ją otworzył, zdjął i powiesił na gwoździu w korytarzyku, gdzie jeszcze jedne drzwi, a za nimi dwa pokoiki - w jednym warsztat z imadłami i wszelkim żelastwem, potrzebnym hydraulikowi, w drugim, przypominającym celę dla niegroźnego przestępcy, sam hydraulik - Klim Paszutin, występujący wśród ludzi pod innym nazwiskiem, kolaborant wspierający okupantów, który znalazł tu schronienie przed czujnym okiem władzy. Zaparzyli herbatę, jeszcze po drodze kupili kiełbasę i wódkę, pili, radowali się, Klim opowiadał chaotycznie, zachłystując się, nawracając do dobrych przedwojennych czasów, to wybiegając naprzód, w świetlaną przyszłość, a

między jednym a drugim rozpościerała się nieustająca męka, głód, niewola, nędza i pomysły, syte życie w Niemczech, nie bez zasług Urzędu NKWD w Mohylewie, który schwytał rodziców, a jego zostawił na wolności, żeby później złowić już za jed

nym zamachem wszystkich wrogów. Wojna przytępiła czujność służb bezpieczeństwa, Klim zgłosił się na ochotnika i już po pierwszej walce trafił do niewoli, znalazł się w obozie, ale znów miał szczęście: Niemcy pozwalali miejscowej ludności zabierać jeńców, jeśli ktoś podał się za narzeczonego lub brata kolchoźnicy, która podeszła do drutów - odnaleziony krewny, Klim, pomaszerował do rodziny o dobrym sercu. Przeżył tam pół roku, dopóki nie zmobilizowali go partyzanci i syna wrogów ludu nie posłali na morderczą akcję. Znów obóz, powolne zdychanie, ale jeśli człowiekowi się szczęści - to będzie się szczęścić do końca życia: do obozu przyjechał Jurgen Meisel, ten sam genetyk, który tak wrywał się do Gorkiego; on zawiózł Klimę do siebie, do Niemiec, do swego domu pod Berlinem, w magistracie załatwił mu papiery Ostarbeitera i skierowanie do pracy ku chwale Niemiec, to znaczy właśnie tam, u Meisla, oczywiście nie w roli asystenta, lecz hydraulika, ślusarza i ogrodnika na dodatek, zajmował się więc także rurami i kranami, tak trzeba było, nauczył się tego rzemiosła, ale pracowali razem z Meislem w bardzo dobrze wyposażonym laboratorium, również tam w domu; całe tygodnie spędzali w Berlinie, potwierdzili niewłaściwość niektórych teorii i metodyk, posunęli się w badaniach tak daleko, że Meisel zabronił komukolwiek o tym mówić, a chciało się mówić, w Berlinie zgrupowało się sporo genetyków, ich spotkania były częste i bogate w treść. Klim poznał wielu Rosjan, którzy znaleźli się w Niemczech jeszcze przed wojną, możliwe, że oni właśnie opowiedzieli NKWD, czym się zajmował, Meisel zginął w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego, służył przecież w Wehrmachcie, był epidemiologiem, jego dom został zbombardowany, Klim ledwo uszedł

z życiem, kartę Ostarbeitera miał schowaną i ona mu pomogła, sowiecki komendant jakiegoś miasteczka na wschodzie Niemiec dał mu zaświadczenie: wywieziony do Niemiec wraca do domu, i wszystko byłoby dobrze, ale on targał do ZSRR zamiast ciuchów to, co najcenniejsze - dzienniki laboratoryjne, ukryte w ogrodzie jeszcze przed bombardowaniami; ktoś w Brześciu zwrócił uwagę na te dzienniki, Klimę zawieziono do jakiegoś obozu, w nocy uciekł; sam nie wpadłby na taki pomysł, nie chciał zresztą uciekać, ale zatrzymani w obozie Ostarbeiterzy wyrwali deski w ogrodzeniu i musiał zwiewać razem z nimi, dostał się do jakiegoś pociągu towarowego i znalazł się w Polsce, tu nadal szczęście mu dopisywało - życzliwy Polak w konfederatce, wąsaty starzec, policjant albo starosta, położył przed nim całą kupę sowieckich paszportów i innych dokumentów - wybieraj, Moskal! No więc wybrał, pomartwił się trochę utratą dzienników i pojechał do Gorkiego („Idiota!” - zaklął Iwan i pogłaskał braciszka po jego w czepku urodzonej głowinie). W Orszy - przypadkowe spotkanie z profesorem z Gorkiego, od niego się dowiedział: czekają, szukają, czatują. I znów los mu sprzyjał - pewnej obywatelce pomógł dojechać do Moskwy, a jej ciotka, pracująca w gospodarce komunalnej, umieściła go tutaj jako hydraulika, który temu domowi nie przysługiwał; dom należał do fabryki, obsługiwali go fabryczni ślusarze; pracował tu bezpłatnie, kiedy administratorce, babie nie bez fantazji, coś strzeliło do głowy, za to miał ten pokoik, skąd chodził na dyżury do domu towarowego,

na dzienne i nocne zmiany, dostawał sześćset rubli miesięcznie (trzydzieści szklanek ryżu, policzył Iwan); według dokumentów przybył z Obojani, takiego miasta na Kurszczyźnie, zameldowanie miał czasowe,

można było żyć, najedzenie wystarczało, gorzej z czasopismami i książkami, to i owo kupował w kiosku przy Akademii Timiriaziewa, ale trudno porównać te okruchy z tym, co miał u Meisla: ten przez ministerstwo propagandy otrzymywał amerykańskie i angielskie czasopisma z dziedziny biologii...

Długa, przedziwna, nedorzeczna i gorąca spowiedź, studzona bieganiami do audytoriów Timiriazowki, rozpalana nawrotami do błogosławionej ciszy podberlińskiej siedziby; płonące niecierpliwością oczy z żółtawymi iskierkami i szczupłe ręce, zapadnięta pierś; żądza wiedzy, niewzmacniana kaloriami; próżne marzenia o sławie i osiem rubli do wypłaty... Kiedy zmorzony sytością, szczęściem i zmęczeniem hydraulik usnął, Iwan, wsłuchując się w ciurkanie wody, wypełniającej rury, zaczął się zastanawiać nad zadaniem, które sam sobie narzucił: od dziś będzie sługą pana genetyka - sługa może nawrzeszczeć na Klimę, kierować nim, pomiatać, nawet zbić, ale Klim zawsze będzie panem, ponieważ przez te wojenne lata niedouczony student stał się uczonym, zaledwie dwa kroki dzieliło go od wielkiego odkrycia, w mohylewskim smarkaczu płonął, kołysząc się na wietrze bezlitosnego życia, zapalony tym życiem płomyk, słaba świeczka, która rozświetli całą biologię. Pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku Klim i Meisel stwierdzili, że suma cech dziedzicznych nie jest zakodowana w białku, jak trąbiły wszystkie publikacje, lecz w dezoksyrybonukleinowych kwasach, a dokładniej w jego solach, ale nie bardzo sobie uwierzyli, nie zagłębiali się w szczegóły i jakież było ich zdumienie, kiedy półtora roku później seria doświadczeń Avery'ego, zwykłego lekarza, Amerykanina, potwierdziła hipotezy. Meisel

pojechał na front, Klim zaczął porównywać rentgenogramy, jego myśli poszybowały wyżej, coś mu zaświtało, wiedział już, że tajemnica zostanie odkryta, ale żeby mogła się ujawnić, potrzebny jest czas, i ten czas przyjdzie, dlatego trzeba ochraniać zarodek tajemnicy, podkarmiać go nową wiedzą i doświadczeniami; należy ustalić (Klim zlecił to już Iwanowi) i określić matematycznie układ przestrzenny wcale nie chaotycznego skupiska molekularnych łańcuchów DNA, to znaczy kwasu dezoksyrybonukleinowego. Iwana złościła nie tyle bezceremonialność brata, ile owa lekkość, jakby poetyczność sprzyjającego mu losu, nie musiał niczego zdobywać w pocie czoła, wysiłkiem rozumu, cierpieniem, wszystko dostawał za darmo, los obsypywał swego wybrańca szczęśliwymi zbiegami okoliczności, niczym płatkami śniegu w grudniu, a kroplami deszczu w maju. Zamordowano mu rodziców, a jemu włos z głowy nie spadł, setki tysięcy nieostrzelanych czerwonoarmistów poległo w walce, lub pomarło z głodu, a Klimę zaproszono do ciepłej chałupy, gdzie nie brakowało chleba; miliony ludzi marzło, ginęło, błagało o litość, a Klim żarł ukraińską słoninę i holenderski ser, na dodatek zajmował się swoją ukochaną pracą; wszyscy ci, co wysługiwali się Niemcom, pojechali na Sybir, a braciszek („brat") najspokojniej mieszkał w Moskwie, nie zaznając nawet tej nieokreśloności, w jakiej egzystował Iwan u boku Kaszpariawicza, który równie dobrze mógł być z SS jak z NKWD. Zadziwiające szczęście, ślepe, bezwiedne, ale mniejsza o to, trzeba koniecznie zmienić

sposób życia, w służbowej piwnicy Klim złapie gruzlicę, tak łatwo oddano ją przybyszowi z innego miasta, bo nie nadaje się do mieszkania, od dwóch biegnących wzdłuż ściany rur bucha żar jak od hutniczego pieca, spać można tylko przy otwartych na schody

drzwiach, w lecie panuje wilgoć; sama piwnica - to pułapka, nie uda się stąd wymknąć, gdy na schodach zadudnią buty enkawudzystów.

Iwan rozłożył na warsztacie waciak i usnął. Miał złe sny - piwnica Gestapo i ten szczupły oprawca, co, pochylony jak kogut do przodu, głąskał swoje pośladki; a jednak doszedł rano do wniosku: wczorajszy dzień był szczęśliwy, zapamiętał: 17 lutego 1946 roku padał śnieg, było wietrzno. Starając się nie hałasować - Klim jeszcze spał - sprzątnął, umył podłogę, poszedł do sklepu, wrócił z mięsem i owocami; bazar był niemal pod bokiem. Przypatrywał się śpiącemu Klimowi, jego twarzy, drgającej pod wpływem złego snu; tak, brat się nacierpiał, lecz nie stał się mężczyzną, wciąż ten sam chłopięcy umysł, żarliwość słów i myśli, niemniej jednak to on miał rację: tylko w pracy myśli zmagającej się z tajemnicą dziedziczności jest sens i ocalenie, nie tylko sens wszelkiego bytu ziemskiego i pozaziemskiego, lecz wyjście dla nich obu, im ta władza stoi kością w gardle, tak więc wypadałoby pokonać tę władzę, stanąć ponad nią, wywyższyć się, a na to jest tylko jeden sposób - odkryć tajemnicę dziedziczności; samo życie popychało ich, by dokonali czegoś wielkiego, nawet jeśli to wielkie w tej chwili to - umyta podłoga, kielbasa i kraby na stole, dobre wino. Pili je, śmiali się, gadali, układali wspaniałe plany. Klima wezwano na pół godzinki do mieszkania administratorki; dobrze im było do siódmej wieczór, potem Iwan wyprawił Klima na nocny dyżur, zapakował do jego walizeczki sutą kolację i lekkie śniadanie, pachnącą, słodką herbatę w termosie i surowo przykazał: jeść na osobności, nie przechwalać się drogim żarciem; mają pieniądze, dużo pieniędzy, kupuj, co zechcesz, byle każdą rzecz oddzielnie i w różnych miejscach,

tak, żeby nikomu nie rzucało się w oczy. A kiedy Klim wyszedł, Iwan zaczął się śmiać: jakie to zabawne i gorzkie - imperatorska władza wysłała niegdyś Michaiła Łomonosowa na naukę do Niemiec i z niecierpliwością czekała na powrót pożytecznego dla Rosji łapserdaka, a dziś bolszewicy rzucili całą sforę w pogoń za wykształconym w Niemczech genetykiem, który nijak nie potrafił zrozumieć szatańskiej istoty tej władzy, gdzie wszystko było wywrócone na nice; w programie agrarnym demokracji RSDPR\* obiecywano chłopom ziemię za Uralem, ale gdy bolszewicy przyszli na Kreml, umocnili się, rozejrzeli - to pod konwojem pognali kułaków na Sybir. Najobrzydliwsze

to dostosowywać się do haseł i symboli tego nikczemnego nasienia, zdrowy rozsądek nakazuje: trzeba się ukryć głęboko w podziemiu, wynająć pod Moskwą mieszkanie, kupić lub ukraść wyposażenie laboratorium i bez reszty pograć się w pracy, ale instynkt zawsze czujny, wrażliwy na najlżejszy szmer upominał

stempel domu towarowego to ratunek; przy nagminnym lenistwie w Rosji urzędy spychają na siebie nawzajem nadzór nad potencjalnym wrogiem; milicja spojrzy na stempel („Zatrudniony w...”) i straci zainteresowanie przypadkowo zatrzymanym. Nie wolno więc jeszcze odejść z domu towarowego, ale można zdobywać książki i czasopisma.

Obok księgarniantykwiariatu na Arbacie spotkał staruszkę, który przepijał swoją bibliotekę. Iwan

czytał wszystko, co u niego kupował i przekazywał Klimowi, jeszcze lepiej udało się z pismami: Kaszpariawiczius, niby to dla Akademii Nauk Litewskiej SRR, zaczął zamawiać bieżące publikacje, któregoś dnia Iwan zdobył się na odwagę i poprosił go o amerykańskie pismo „Nature”. Litwin obruszył się: „Szpiegów nie ob

sługuję!”, poupierał się jeszcze z miesiąc, po czym przyniósł Iwanowi nie tylko egzemplarze „Nature” za całe pół roku, ale także „Biuletyny Królewskiego College’u”, trzeba się było pilnie uczyć angielskiego. Kilkakrotnie posyłano Iwana do Wilna; zabrał pieniądze z lasu, podzielił je na niewielkie sumy i ulokował w kasach oszczędności, kupił Klimowi mikroskop i binokularną lupę, w Mytiszczach wypatrzył pracę, jaką trudno by było sobie wymarzyć: fabryczkę kwasu, produkującą również lemoniady i napoje jabłkowe, muszekdrozofili było tam bez liku, rysowały się także pomyslnie widoki na mieszkanie; Iwan poznał w piwiarni kobietę o dziwnej powierzchowności i równie zaskakującym zachowaniu, wchodziła do piwiarni, gdzie siedziały wyłącznie chłopcy, jak do żeńskiej łaźni, bez kolejki brała trzy kufle piwa i bez odsapki strzelała je jeden po drugim, Iwan dogonił ją kiedyś na ulicy po wyjściu z piwiarni, zagadnął, powiedział, że to i owo o niej słyszał (wróciła z zesłania, wszystkie zęby stalowe, papieros zniknął z ust tylko na te półtorej minuty, gdy piwo wlewało się w nienasycone gardło), zaproponował korzystną transakcję: sto rubli za każdą złowioną setkę much, siatka na jego rachunek, osiemset rubli za pokój w jej domu, wynajęty na trzy miesiące. Pchając mu pod nos dawno zgasłego „bielomora”, baba kategorycznie odmówiła łapania muszek, ponieważ - ona już dobrze wie! Łubianka natychmiast oskarżyła ją i jej lokatorów o zamiar zarażenia poprzez te muchy całego obwodu i speszony Iwan wycofał się, klęcząc pod nosem, wymyślając sobie, że niepotrzebnie bawił się w oszczędności, trzeba wynajmować całe mieszkanie, w Moskwie jest przecież dużo lokali zarezerwowanych. Nie mógł zapomnieć o konfuzji, jaka spotkała go w Mytiszczach, ale dwa kilometry od Fil znalazł

w Kuncewie fabrykę napoi bezalkoholowych, skąd codziennie rano półciężarówki wywoziły skrzynki z lemoniadą i na przyczepie beczki z kwasem, straż nie wypuszczała nikogo z bańkami, ale spirytus kradziono tu bezczelnie; Iwan bez przeszkód wszedł na teren fabryczki, potem sprowadził Klimę. Nad kadziami do fermentacji, w dziale, gdzie rozlewano napoje - miliardy muszek. Klim umiejętnie machnął ręką, schwytał malusieńkiego owada, przez podwójne okulary przyjrzał się muszce, jeszcze większe jego zainteresowanie wzbudziły wyschnięte, zdechłe osobniki, które znalazły sobie oszklony grób między oknami. Wrócili do piwnicy z cenną zdobyczą. Klim na długie miesiące pochłonęło badanie „kunczewowskiej” rasy muszek, odmówił czytania sowieckich i zagranicznych pism, z rozdrażnieniem oznajmił Iwanowi, że nie ma ochoty nasiąkać cudzymi wariactwami, nie wolno czystej destylowanej wody zanieczyszczać sztucznymi domieszkami, naturalnymi - proszę bardzo, ale nie ściekami z trującej produkcji. „Starzyzna” - odrzucił amerykańską „Nature”. Iwan czytał wszystko po kolei, chwilami pobudzało myśl jakieś błahe zdanie, bywało, że rano przypominał sobie przeczytany przed snem akapit i zastanawiał się nad nim. Pisma donosiły o cybernetyce, powstała teoria informacji; rozjeżdżając się swoją półciężarówką po okolicach Moskwy, Iwan puszczał wodze dziecięcej wyobraźni, ulegał temu zamętowi i buzowaniu uczuć, jakich zaznał niegdyś



w Leningradzie, kiedy złapał Nataszkę, ze zdumieniem oglądał najprostsze figury geometryczne: linia prosta - to odwrócone odbicie linii jej równoległej, koło mieści w sobie mnóstwo wpisanych trójkątów, ale największą pojemność zawiera punkt matematyczny... Od takich zabaw kręciło się w głowie, cudowne uczu

cie oderwania od ziemi rozpieierało serce, które biło jakby w szybującym w powietrzu zachwycie... Szczęśliwe miesiące, lekkie, swobodne, bogate, płynęło życie, cenne już choćby przez to, że żyło się i myślało bez pozwolenia i łski Łubianki, na przekór wszelkiej władzy. Kaszpariawiczius dogadał się z jakimś moskiewskim zarządem i wysyłał na Litwę barwniki w proszku, zaopatrywał miejscowy przemysł w jakieś inne jeszcze produkty, hojnie dzielił się z Iwanem, oddał mu spisane z inwentarza opła. O Klimie nic nie wiedział Iwan chronił brata. Udało się znaleźć nawet cały dom zamiast mieszkania - właściciel oddawał go na zimę pod jednym tylko warunkiem - żeby codziennie opalać przemarzające domostwo. Jeszcze półtora miesiąca do przeprowadzki, a już marzyły im się wieczory przy piecu, w pobliżu ognia, do którego, jeśli tak wypadnie, polecą różne „Prace” i „Wiadomości” po angielsku, ich losu nie podzieli książka Szmahauzena „Czynniki ewolucji”, która właśnie się ukazała, książka niezwykle pożyteczna, bardzo potrzebna Klimowi. Iwanowi drżały ręce, kiedy ją kupował i chował za pazuchę. Wskoczył do trolejbusu - szybko, jak najszybciej do ich piwnicy; była druga po południu, Klim zdążył się wyspać po nocnym dyżurze, czeka na niego, przewiercił już Iwanowi uszy tymi „Czynnikiem”. Ukazał się dom (na fasadzie ułożony z cegły rok budowy: 1934), na podwórzu - nic podejrzanego, klatka schodowa, dwanaście stopni w dół - w nos uderzył niepokojący zapach - ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem: spoza drzwi kłitki Klima sączył się aromat - woń dobrze umytej, uperfumowanej kobiecej skóry, Iwanowi wydało się, że na całej klatce schodowej kłębi się gęsty obłok zagranicznych perfum, zaparła mu dech perspektywa spotkania z kobietą, która nawet

rozebrana pozostaje nieosiągalna. Pachniało dziewczyną z Mińska, francuskimi perfumami! Pograżony w bezgranicznym olśnieniu Klim z zakłopotaniem spoglądał na Iwana, który wpadł jak bomba, ze skruchą spuścił głowę, czymś zawstydzony nie spojrzął nawet na te „Czynniki”..., a mógł przecież zobaczyć wyciągniętą książkę, mógł! Milczał, kiedy Iwan zaczął go dokładnie wypytywać, co się stało? Palcem uniósł głowę brata, potem ścisnął mu ręką gardło. „No?” Klimowi język się plątał, próbował wstać i odejść, przypominał w jakiś sposób kure, próbującą odciągnąć lisa od kurcząt. „Kto tu był, powiesz wreszcie, głuptaku?” Klim zaczął w końcu mówić zrozumiale, a im dłużej mówił, Iwan się uspokajał: nic złego się nie stało! No tak, brat spotkał piękną babkę, ale to tylko złodziejka, a nie starszy strzelec bezpieczeństwa w spódnicy, nie ściągnie na nich nieszczęścia, jeśli właściwie rozpatrzy się to, co zaszło. „Idź do sklepu! Przydział na kartki za poprzedni miesiąc jeszcze niewykupiony!” Klim wyszedł prawie obrażony, niemal chlapiąc z urazy, nie znał bab, dlatego dał się złowić złodziejce - ślicznotce, która wcieliła w czyn jedną z krążących po Moskwie legend. Jeszcze w ubiegłym roku rozeszła się wieść o lejtnancie, który zgłosił się do sklepu jubilerskiego z rzadką kosztownością, prosząc o wycenę i proponując sprzedaż diademu z siedmioma brylantami; sklep zaoferował sto tysięcy, więcej nie miał prawa, lejtnantowi to jednak nie odpowiadało, pognął do

drugiego sklepu, potem do trzeciego, nie wiedział dureń, że oprócz instrukcji taksatorzy mają opis krążących po zniszczonej Europie kosztowności. Śledczy, wyrażając potoczną opinię, powiedział mu podobno: „Głupiec z ciebie, chłopcze. Gdybyś rozłamał diadem na siedem części, sprzedałbyś każdą za

sto tysięcy”. Bardziej prozaicznie brzmiała historia o tym, jak pewien dzielny czerwonoarmista, nieomal postać z ludowej legendy, zapracował milion: oswobodziciel doszedł do Berlina, nie połakomił się jednak na telefunkena ani kupony na ubranie, przytargał do rodzinnego Sierpuchowa 1 (jeden) milion igieł do szycia po rublu sztuka - i pieniądze w kieszeni. O względy dla upadłych apelowała opowieść o studentce Instytutu Stosunków Międzynarodowych, ubogiej dziewczynie z proletariackiej rodziny: napatrzyła się na koleżanki, córki różnych komisarzy ludowych i postanowił ubrać się nie gorzej od nich, pod wieczór ukryła się w CDT, w nocy zrzuciła z siebie nędzne łachy, wybrała to co najlepsze i drogie, ale nie wzięła pod uwagę, że: każda sukienka, każda para pantofli, wszystko jest rano przeliczane i sprzedawczynie wszczęły alarm, domu towarowego nie otworzono; podczas przeszukania znaleziono wystrojoną studentkę; rzecz aż prosiła się o szczęśliwe zakończenie i, jak głosiła fama, do rozprawy sądowej nie doszło, szef w instytucie wzruszył się do łez, bogaci studenci zrobili składkę i zapłacili za skradzione rzeczy, a studentka, ubrana nie gorzej od swoich znakomitych współtowarzyszek, dumnie chodziła teraz na wykłady. Tę bajeczkę właśnie wcieliła w życie jakaś panna, nie miała widocznie innej możliwości, by ubrać się jak należy - zarabiając czterysta rubli miesięcznie, nie kupi futra za pięć tysięcy - sprzedawać siebie nie byłoby warto - średniej klasy prostytutka przy dworcach wyciąga sto - sto pięćdziesiąt rubli. Panna, którą tak zachwycił się Klim, nasłuchiwała się pewnie tych bajek, znalazła wieczorem ustronny kącik w hali targowej na pierwszym piętrze domu towarowego, przebrała się i rano, ledwie drzwi prowadzące od wewnątrz otworzyły się, wyszła z ukrycia

i opuściła halę z walizką, do której, zacierając ślady, schowała to, co z siebie zdjęła, no i znalazła się w pułapce - nie mogła wrócić, na hali byli już sprzedawcy, a domu towarowego jeszcze nie otworzono, przedostać się na dół, do wejścia służbowego - niebezpiecznie, na wewnętrznych schodach pełno ludzi, a ona na dodatek z walizką I wówczas złodziejka ukryła się w niszy ze sprzętem przeciwpożarowym. Takie nisze są zwykle zamknięte drzwiami z napisem KP (kran przeciwpożarowy). Panna przez dziurkę zobaczyła Klimę, po ubraniu odgadła, kim jest, a mając niemałe doświadczenie życiowe, pojęła, że ten naiwniak jej nie zdradzi. Nie omyliła się, Klim wziął jej walizkę i wyprowadził pannę przez strych na równoległą klatkę schodową; ta naobiecowała ślusarzowi diabli wiedzą co, i ulotniła się. Nawet jeśli ją złapią, nie musi sypnąć Klimę, mógł być uznany za współnika, a za to dostałaby dodatkowe kilka lat więzienia. Tak więc jak dotąd nic strasznego się nie stało. Walizka z niepotrzebnymi na razie złodziejce ciuchami zostanie spalona w kotłowni, ale w podwórzu sąsiedniego domu Klim otrzyma nikitinowskie pouczenie „nie widziałem - nie słyszałem - nie wiem”, i życie popłynie dalej, złodziejka zostanie zapomniana; Iwan podsunie Klimowi babkę jeszcze ładniejszą od tej, którą sprowadził mu przed tygodniem, troszcząc się o regularne funkcjonowanie gruczołów; później, kiedy sam się z nią zabawiał, wyraziła się pochlebnie o

Klimie, jeszcze ze trzy takie niezawodne pocieszycielki, a brat uniknie losu Iwana, nie zapłonie karygodnym uczuciem, tak zwaną miłością, nie zniszczy siebie ani Iwana, ani tego dzieła, dla którego obaj żyją. Nic strasznego się nie stało, zwyczajna, powszednia historia, Klim jest poza podejrzeniami, od miłosego bżika uwolni go

puszczalska, na którą Iwan zwrócił uwagę jeszcze przed miesiącem; tamta dziewczyna z Mińska napędziła mu takiego strachu, że najbardziej bał się jednego: oto przyjdzie do ich piwnicy, a tu gopodaruje już skrętna osoba, która zdążyła przekopać całe pomieszczenie, a Klim patrzy na nią z oddaniem. Nie, do tego nie dojdzie, nigdy! Za niecałą godzinę w palenisku kotła znikną dowody rzeczowe dokonanego przestępstwa, złodziejka się nie znajdzie, szukaj wiatru w polu, Szmalthausen zostanie przeczytany, wróci poprzednie bogate, intelektualne życie. „Czynniki ewolucji” otworzyły się akurat w połowie, bardzo ciekawy rozdział, ale w czytaniu przeszkadzał mu zapach, przesiąkła już nim piwnica, zapach tego, co przyjęto nazywać francuskimi perfumami, których nikt na oczy nie widział. Aromat przywołujący nie wiadomo dlaczego wyraziste obrazy, rzewny smutek niespełnionych pragnień, prima balerinę płynącą w walcu „Nad pięknym modrym Dunajem”, dźwięki muzyki Straussa... Zapach! Płynął skądś, miał swoje źródło. Iwan zrobił kilka kroków w poszukiwaniu i zatrzymał się przed warsztatem. Pochylił się i wyciągnął spod brezentu walizczkę, otworzył ją - i zmrużył oczy, chociaż trzeba było zatkać nos, ale jakby blask bił od damskiej torebki, w której obok pomadek do ust, portmonetki, pudru i innych kosmetycznych drobiazków roztałzał aromat flakonik z prawdziwymi francuskimi perfumami. Jeszcze bardziej zdumiewają ce było to, co Klim nazwał „ciuchami”, od których jakoby starała się uwolnić złodziejka.

### Rozdział trzeci

Kombinacja, majteczki, stanik, o takiej bieliźnie nie mogła marzyć mińska prowokatorka, nawet we śnie takiej nie widziała, a bluzka, spódnica, zakiet pasowałyby może do córki ministra spraw wewnętrznych, ani bielizna, ani wierzchnia odzież nie znajdowały się w sprzedaży w żadnym domu towarowym, to rzeczy tylko na przydział dla wybranych, dla maleńkiej grupki kremlowskich pociech, styl ubrania, krój, materiał, rozmiary - wszystko odpowiednie dla młodej dwudziesto-dwudziestopięcioletniej kobiety, wzrostu sto sześćdziesiąt pięć - sto sześćdziesiąt osiem centymetrów, średniej tuszy... pantofelki numer trzydziesty siódmy - określił Iwan długość stopy i mimowoli zachwyił się dziełem londyńskiej firmy, szyjącej obuwie tak niezwykle piękne, eleganckie, lekkie - nie każda Angielka może sobie pozwolić na takie obuwie, żaden Kopciuszek nie rozstanie się z takimi pantofelkami. W szwach fig (Iwan użył binokularnej lupy) - dziewicza czystość, ani jednego włoska łonowego, pończochy zachowały jeszcze kształt opakowania; wszystko, co zostało pospiesznie wepchnięte do walizki, kobieta mogła mieć na sobie najwyżej godzinę; to albo cudzoziemka, która z jakichś powodów chciała się pozbyć - niebezpiecznym dla siebie sposobem - zdradzających ją rzeczy, albo oby

watelka sowiecka, wyposażona w tę amunicję w magazynach Łubianki. W każdym przypadku to złe, bardzo złe, trzeba uciekać, natychmiast, i z tej piwnicy i z domu towarowego, choć to ostatnie właściwie byłoby nierozsądne: odejście lub zniknięcie ślusarza mogło być powiązane z zagarnięciem

tego gówna, które miała na sobie spędzająca noc w domu towarowym dziwna osoba o tajemniczej przeszłości, mogła być śledzona i cała ta maskarada została pomyślana po to, żeby przed tym uciec. Około siódmej wieczór kobieta ubrała się, lub była ubrana we wszystko zagraniczne i drogie, po czym coś musiało zajść i kobieta, ratując się przed pościgiem, wpadła do domu towarowego, o resztę trzeba dodatkowo wypytać Klimę, i kiedy brat wrócił ze sklepu, Iwan posadził go obok siebie, opowiedział o dziewczynie w Mińsku, o tym, jak się w niej zakochał, o tym jak zaślepionego wiarą w tę władzę, biło go i deptało trzech krzepkich byków, mówił też bratu o przemożnej sile innej władzy - potędze instynktu zaćmiwiającego rozsądek, o pociągu mężczyzny do kobiety, co wykorzystują właśnie te nikczemne służby bezpieczeństwa; może więc cały ten spektakl został odegrany tylko po to, by zdobyć jego zaufanie i dowiedzieć się, czym się oni zajmują; czy Klim nie przypomina sobie jakichś szczegółów w zachowaniu kobiety, które wyjaśniłyby prawdziwy sens tego zdarzenia?... Zawstydzony, milczący Klim pokręcił przecząco głową, nie chciał uwierzyć w scenariusz opracowany przez Łubiankę. Dom towarowy dwukrotnie zalewała woda, dlatego wprowadzono nocne dyżury ślusarzyhydraulików. Na podeście schodów pierwszego piętra, gdzie w pomieszczeniu przeciwpożarowym siedziała kobieta, znalazł się zupełnie przypadkowo. Nie, nie i nie, wszystko przebiegało zupełnie naturalnie,

bez cienia fałszu. Zresztą, powiedział Klim, można pójść do domu towarowego i popatrzeć, czy jest tam milicja; jeśli to spotkanie z kobietą było ukartowane, to, by spektakl się udał, dyrekcja powinna być wtajemniczona. „Idziemy!” - podniósł się Iwan. Klim miał obejrzyć miejsce, gdzie ukrywała się kobieta, ponownie przypomniano mu nakaz: nie widziałem - nie słyszałem - nie wiem, Iwan natomiast obszedł okolice domu towarowego, przyglądał się, przysłuchiwał wszystkiemu: ktoś wpadł pod trolejbus, na bulwarze schwytano złodziejaszka, sprzedawczyni lodów dostała ataku serca - nic z tego nie wynikało, niczego nie zdołał się dowiedzieć, za to Klimowi świetnie się powiodło i to, co opowiedział i przyniósł, wynagrodziło bezowocne poszukiwania Iwana. Nocująca w domu towarowym kobieta przebrała się w taką tanioczę, że dyrekcja nie chciała odrywać milicji od ważniejszych spraw, poza tym, w rurze wodociągowej, w jej krótszym kolanku, Klim znalazł kawałki podartej legitymacji komsomolskiej i pęk kluczy, zabrał też pozostawioną rano swoją walizkę, zamiast której wyniósł przez służbowe wyjście manatki pięknej i niebezpiecznej dziewczyny, która nagle się wzbogaciła i tak łatwo rozstała się z bogactwem. Trzeba porzucić piwnicę - przekonywał Iwan brata, zwłoka - to śmierć, milicja pójdzie śladem złodziejki i trafi tu do nich - straszyl Klim, choć nie wierzył w taką sprawność organów ścigania, ani w to, że złodziejka (wkrótce dowie się, jak się nazywa) znajdzie piwnicę, choćby Iwan nie wiadomo jak dokładnie opisał jej dom i to pomieszczenie; obiecała przyjść po walizkę - to bzdura i kłamstwo, nie taka ona głupia. Trzeba stąd uciekać - przekonywał - im szybciej, tym lepiej; czeka na nich wynajęty dom, drwa już zwiezione, owocna samotność, z okna,

co prawda, widać willę Maksyma Dormidontowicza Michajłowa, słynnego basa, a Klimowi, zdaje się, nie jest obojętny ten artysta? Namawiał, przekonywał, naciskał - brat nerwowo poruszał ramionami i odrzucał wszystkie rozsądne argumenty; Iwan spoglądał na niego ze współczuciem (ale i

z pewnym szacunkiem), podziwiał siłę najpierwotniejszego instynktu. W tym przelotnym spotkaniu ze ślicznotką zniewolił Klim zapach, wygląd zewnętrzny, tembr głosu, spojrzenie. „Ona jest dobra” - powiedział nagle Klim i spojrzał na Iwana z psim wyrzutem. Ten w milczeniu zebrał demaskujące ich periodyki, notatki, książki, których tytuły wzbudziłyby gwałtowne zainteresowanie w razie rewizji, zapakował te dowody rzeczowe, dołączył do nich mikroskop i binokularną lupę, nie zapomniał oczywiście o walizeczce, pachnącej walcami Straussa (Klim zadrżał, ale splótł ręce, wytrzymał mękę), i wyszedł, w kieszeni miał to, co najcenniejsze - kopertę z kawałkami podartej legitymacji komsomolskiej i pęk nader interesujących kluczy, Klimowi przykazał jak najsurowiej - jeśli tylko milicja jakoś się nimi zainteresuje, ma rzucić wszystko i natychmiast uciekać, zapomnieć o piwnicy, oto adres: kolejką elektryczną do Fil, a stamtąd na własnych nogach, gospodyni go wpuści, będzie uprzedzona...

Ten brzęczący w kieszeni pęk Iwan oglądał w Maziłowce, skrupulatnie badał każdy klucz z osobna, sprawdzał dotykiem; na jednym kółku mieściły się trzy klucze do mieszkania, pozostałe, o prawie jednakowym charakterze, musiały być od pokoi hotelowych. „Moskwa”, „Metropol”, „Grand Hotel”, albo „National” - oto miejsca łowów złodziejki, komsomołki o imieniu Wiera, nazwisko, imię ojca, rok urodzenia i rok wstąpienia do WLKZM - te kawałki wpad

ły głębiej, w dłuższe kolanko rury wodociągowej, jak również trzy ostatnie cyfry numeru legitymacji. Oczy i ręce Iwana miały jeszcze do dyspozycji podartą fotografię; udało się ją skleić: ciężkawy podbródek, spłaszczony nos, szesana na niskie czoło grzywka, wątpliwe, by Klim rozpoznał w komsomołce Wierze tę czarodziejkę, która go tak urzekła, jakby nie wyszła z komórki przeciwpożarowej, lecz wysiadła ze złotej karocy - a może był tak oślepiiony, że rozum mu zmaćniło?... W centrum stolicy grasują złodzieje i prostytutki najwyższej klasy, wszyscy są znani milicji, która dobierze się także do komsomołki, jeśli nie za pół roku, to za rok, ale przez ten czas owa Wiera może nawyrabiać takich rzeczy, że uzna za korzystniejsze wyjście - wyrok za dom towarowy i obrobienie hotelu „Metropol”, niż za zabójstwo w zaułku Stolesznikowym, lub gdzieś obok; trzeba ją więc znaleźć, zanim milicja ją zgarnie i nałoży jej mocny kaganiec; nie obejdzie się tu bez pomocy Kaszpariawicziusa; Litwin coraz częściej odwiedzał Maziłówkę, okazywał coraz większe zaufanie Iwanowi, pił dużo i milczał nudno, ale z cedzonych przez zęby słów wynikało, że w latach trzydziestych był czeladnikiem w warsztacie szewskim pewnego wileńskiego Żyda, przy tym komunisty, potem, w poszukiwaniu sprawiedliwości chciał wyruszyć do ZSRR, tymczasem sprawiedliwość sama przyszła na Litwę razem z Armią Czerwoną i Żydakomunistę zgarnięto - prywatny właściciel jednak - Kaszpariawiczius usiłował go ratować, podając się za brata drobnego burżuja, na próżno. Iwan także powołał się na braterskie uczucia: „musi jedną siostrzyczkę wyciągnąć z biedy” i Kaszpariawiczius pociągnął za sznurki, poruszając odpowiednie figury - jedna z nich zajmowała się nieistniejącą oficjalnie prostytutką, znała wszyst

kich złodziei w centrum miasta, sztab mistrza organów ścigania mieścił się w „półrublówce” - 50tym komisariacie milicji; tutaj po obławach zwożono i sortowano dziewczyny: część otrzymywała ostrzeżenie, części przypominano o świętym obowiązku sowieckich kobiet, resztę w trybie

administracyjnym wysiedlano na odległość stu kilometrów od stolicy; w osobnej teczce składano te sprawy, które były bezpowrotnie stracone dla milicji - wykorzystywała je Łubianka. Iwan dokładnie zapamiętał twarze, przezwiska i dane paszportowe jednych i drugich, wszystkowiedzący specjalista od starożytnej profesji (major, szatyn) wtajemniczył go w szczegóły, które powinny się znaleźć w ściśle medycznej literaturze; oto jedna z jego podopiecznych, wywieziona podczas wojny na Zachód, potrafiła obsłużyć trzech mężczyzn naraz, w co major nie wątpił, choć osobiście nie mógł tego sprawdzić; owa dama przechwalała się, twierdząc, iż jest zdolna zrobić to samo z pięcioma i więcej mężczyznami (Iwan, nie wiedząc czemu, wyobraził sobie dojarzęstachanówkę); „Kobiety!” - westchnął wyrozumiale major, rozkoszując się detalami, a nawet pyszniąc się osiągnięciami swoich podopiecznych. SUP już zlikwidowano, ale to, co najlepsze z parkingu, Litwini poupychali do garaży i szop; trzy latorośle z rodziny opli jeździły po ulicach Moskwy - „kadet”, „kapitan” i „admiral”, najstarszy rangą był największy, na jego tylnym siedzeniu major mógł się przekonać o wysokich kwalifikacjach swoich podopiecznych. Iwan zademonstrował mu klucze od opli admirała, niecierpliwy gończy dwukrotnie podchodził do okna i spoglądał na auto, którym podjechał do „półrublówki” polecony mu towarzyszyć; major poprowadził rozmowę tak, jakby przybył do niego przedstawiciel wileńskich służb kry

k

m

minalnych celem wymiany doświadczeń. Kółko z kluczami do opli admirała znalazło się w gościnnej kieszeni majora, obdarowany też okazał hojność, Iwanowi udostępniono grupowe fotografie, na których na dalszym planie widniała komsomołka Wiera, dostał też adresy tych, które major znał. Rozstali się ciepło, obaj zadowoleni, major życzył wileńskim kolegom powodzenia, pożalił się, że „półrublówka” obejmuje tylko centrum Moskwy, nie podlegają mu komisariaty milicji za pierścieniem Sadowej, a kobiet oddających się burżuazyjnej rozpuście jest w stolicy niemało, ich rejestr jest rozproszony, sami więc rozumiecie, ręce nie sięgają do wszystkich.

Iwan nie zamierzał przetrząsać całego rejonu, spodziewał się wyciągnąć adres komsomołki Wierzy od prostytutek z grupowych zdjęć, w tym celu jeszcze tego samego dnia spotkał się z jedną z pań, przesiadujących ze słómkami w zębach przy cocktailbarach w holach hotelowych, odwiedził jedną, drugą, trzecią, wszystkie wypytywał o sąsiadkę z lewej, z prawej strony, z przeciwka. Komsomołka Wiera kleiła się do różnych kompanii, ale do żadnej nie należała, była na podorędziu, brano ją do pary, przeznaczając dla najbardziej pijanych i biedniejszych klientów. Iwan znalazł ją jednak, popatrzył i zrozumiał: z taką kompleksją nie wlaźby do klitki przeciwpożarowej - legitymacja była skradziona. Nie chciała mieć nic wspólnego z posłańcem „półrublówki”. „Skończyłam z tym na zawsze!” - broniła się przed pytaniami, ale wytrząśnięte z koperty kawałki legitymacji komsomolskiej skłoniły ją do mówienia: ksywa zawsze jest potrzebna, choćby dla fasonu; to jej legitymacja, którą ukradła przypadkowa znajoma - nie wie, co to za jedna, obie były pijane w sztok, trafiły na podejrzanym

facetów, nie chciały z nimi jechać po „Bałczudze”, prysnęły w różne strony, ona sama, przejeżdżając taksówką ulicą Osipienki, widziała dom, do którego weszła znajoma, co zdążyła jednak,

widać, poszperać w jej torebce; jak ma ją teraz znaleźć, nie będzie przecież obchodzić wszystkich mieszkań, zresztą po co jej legitymacja komsomolska, wyrosła już z tego wieku. Co prawda, to prawda, wyglądała na jakieś trzydzieści lat, amatorów na nią było pewnie niewielu, u pracowitego majora nieodnotowana, zwykła kurewka, miłośniczka przygód całkiem do niej nie pasujących; Iwan zostawił jej na pamiątkę strzępy legitymacji, przez trzy wieczory krążył samochodem wokół domu, w którym prawdopodobnie mieszkała hotelowa złodziejka; nawiasem mówiąc, major wspomniał krótko o zdarzeniu w hotelu „National”, ze szponów Łubianki wymknęła się kobieta, która niezłe obrobiła tam pokój, nie znaleźli jej dotąd, ale poszukiwania trwają. Jeśli nawet złodziejka zachowała zapasowe klucze od mieszkania, do domu się nie kwapiła; okna trzech mieszkań nie świeciły się ani rano, ani późnym wieczorem, całkiem możliwe, że w jednym z nich mieszkała przed noclegiem w domu towarowym niebezpieczna dla Iwana i Klimy osoba, wcale nielekkomyślna, zielona prostytutka-złodziejka, która wybiera sobie na miejsce pracy „National”, musi mieć zimną krew, rozum, wyjątkowy spryt, nie zawadzi również znajomość choć jednego zachodniego języka. Iwan już sobie wyobrażał, co zaszło dwie - trzy godziny przed zamknięciem domu towarowego: z restauracji w „Nationalu” kobieta weszła na piętro, dostała się do pokoju, przebrała i zeszła na dół, gdzie trafiła pod krzyżową obserwację chłopców z Łubianki, wskoczyła do taksówki i, czując pogoń, wybiegła z auta w pobliżu domu towarowego, gdzie postano

wiła zniknąć, nie wie teraz, czy ją rozpoznano czy nie, dlatego się przyzaitała, w mieszkaniu się nie zjawi, a o fajtlapie hydrauliku, który ją uratował, postara się zapomnieć, będzie się bała szukać walizki. Dom tuż przy moście Ustyńskim zajmował przestrzeń od nabrzeża Rauszkiego do ulicy Osipienki, Iwan postął przy drzwiach wszystkich trzech mieszkań, przyglądał się zamkom, wreszcie zdecydował - to tu. Drzwi się otworzyły przy pierwszej próbie, wyjęte ze skrzynki pocztowej listy były adresowane do Heleny Michajłownej Surkowej; pokojem i bezpieczeństwem tchnęło profesorskie mieszkanie: książki wzdłuż ścian, skórzane fotele i kanapy, w czarnej ramce fotografia samego profesora; jego córka na pierwszy rzut oka mieszkała tu sama i na pewno już od dawna się tu nie pojawiała. Iwan nie miał czasu na dokładne oględziny, Kaszpariawiczius naglił, czekał kolejny nieboszczyk; Bałowie, wywiezieni z ojczystych stron, umierali na obcej ziemi i pragnęli być pogrzebani tam, gdzie pluszcze Dźwina, Niemen lub Parnu, za nowego trupa w obwodzie kaliningradzkim krewni zapłacili już grube pieniądze; Kaszpariawiczius zawczasu poinstruował Iwana, jakie ścięgnią trzeba podciąć, żeby zeszywniałe ciało zmarłego ułożyło się należycie w trumnie, instruktaż w każdym razie świadczył o tym, że Litwin nie zajmował się masowym rozstrzeliwaniem, odnosił się z pietyzmem do każdego zmarłego osobnika, okazywał wrażliwość nawet na niezgłoszone życzenia. Iwan podjechał ciężarówką, opuścił tylną klapę, zdjął czapkę i wszedł do chałupy; stara kobieta niewidzącymi oczami patrzyła na lampkę oliwną, na podłodze leżał nagi i bosy Bał - dopiero co wyzionął ducha. Owinięty w brezent pomyślnie zniósł siedem godzin trzęsienia i spoczął jak należy w czekającej na niego trumnie

nie. Z ciemności wyłoniło się kilku ludzi i ponieśli trumnę, mówiono wokół po estońsku. Po nabożeństwie w kirsze, Iwanowi wsunięto pieniądze i butelkę wódki, dostał wypełnioną zgodnie z

wszelkimi przepisami kartę drogową do Leningradu, a ciężarówkę załadowano ziemniakami. Sprzedał je zasobnym w forszę klientom na rynku Kuznieckim i jeszcze trzy dni wałęsał się po rodzinnym mieście, nie spuszczał z oka mieszkania na Karola Marksa, deptał po piętach kobiecie, która kiedyś przekazała mu list od Klime. Dziewczyna studiowała filologię na uniwersytecie; albo urodziła się już podobna do matki Iwana, albo coś od niej przejęła - może sprawiły to tapety, kuchnia przesycona zapachem zręcznych i pięknych matczyńskich rąk; codziennie wieczorem dziewczynę odprowadzali do domu pełni szacunku wielbiciele w mundurach marynarki wojennej, ale przyjdzie czas - i dziewczyna będzie wracać do domu z akademicką świtą. Ani ona, ani matka, jak przekonał się Iwan, nie miały kontaktów ze służbami. Zamierzał już wyjechać, kiedy przyszło mu na myśl, może dzięki dziewczynie, a może za sprawą trumny, do której złożono Bałta - by znaleźć grób Nikitina. Współlokatorzy z jego mieszkania powinni wiedzieć! Iwan był u niego zaledwie jeden raz, ale dom na Ligowce od razu rozpoznał przypomniał sobie także klatkę schodową, lokatorzy jakoś nie znaleźli czasu, żeby zdjąć z drzwi jego nazwisko, zabrzączał łańcuch, szcęknął zamek i Iwan osłupiał: przed nim stał Fiodor Matwiejewicz Nikitin, który bohatersko zginął podczas blokady w zimie czterdziestego trzeciego roku, zmarł z głodu, ale nie tknął ani jednego ziarnka z kolekcji zbóż zebranej przez Wawilowa. Zmartwychwstały przyjaciel rodziny zachował wszystkie dziwactwa dawnego bytu ziemskiego, potwierdzając swo

ją starą zasadę: nie widziałem - nie słyszałem - nie wiem. „A kim pan jest, młody człowieku?” - zapytał wyniośle, pogardliwie, i nie czekając na odpowiedź zamknął drzwi. Iwan jak szalony pognał w dół, nie czując schodów pod nogami, odsapnął; spociał się jak mysz, w porę jednak przypomniał sobie ulubione kwiaty matki na grobie rodziców: już wtedy powinien był się domyślić, kto odwiedzał cmentarz. Dał nura w boczną uliczkę, gdzie dogonił go Nikitin, wraził mu łokieć w żebra, nakazując milczenie i całkowite posłuszeństwo. Znalazł się wreszcie zaciszny kącik - piwiarnia na Rasstannej, drżące (z radości? ze strachu?) ręce Nikitina rozerwały suszoną rybę, mówił chaotycznie, w oczach połyskiwała odrobina szaleństwa. Oczywiście nie umarł - ani w czterdziestym trzecim, ani później, trafił na listę zmarłych przez pomyłkę, komuś chodziło o jego kartkę na chleb - z wyrachowania, cel był jednak zbożny. Ale nie miał ochoty prostować błędu, w dzieciństwie zaczytywał się Flaubertem i jego, dobrze odżywionego chłopca z zamożnej rodziny, uderzyło w „Salambo” rzucone mimochodem zdanie: „Spendit był tak przerażony, że rozpuścił słuch o własnej śmierci”. Przez całe życie nie odstępowało go to zdanie, przypomniał je sobie, gdy dowiedział się o własnej śmierci i postanowił pozostać zmarłym, tym bardziej, że w instytucie kierownictwo na potwierdzenie tego, że żyje - zażądało tylu zaświadczeń, ilu żaden żywy człowiek nie zdołałby załatwić. Zrezygnował więc z biegania po urzędach i wkrótce przekonał się o zaletach sytuacji, jaką podarowała mu łaska boża. Dla sztabu służb bezpieczeństwa na Litiejnym był na tamtym świecie, za krótkie ręce, żeby go tam dosięgnąć, znajomi pomartwili się i zapomnieli, odtąd był wolny i czysty; teraz on, który omal nie uleciał do pie

ła, przebywał jakby w pół drogi między niebem a ziemią, znalazł odpowiednie zajęcie w podkomisji obwodowego komitetu wykonawczego zarządzającej cmentarzami, co, nawiasem mówiąc,



pozwalalo mu jezdzic do Mińska, jakoby dla wymiany doświadczeń; gdy zobaczył zaniedbany grób matki i ojca Iwana, zrozumiał, że stało się to, co najgorsze, a przy sposobności, co z Klimem Paszutinem? „Nie widziałem - Iwan podniósł do ust kufel i uściślił: - Nie słyszałem, nie wiem." Wielu rzeczy dowiedział się od Nikitina, inspektor cmentarny dużo wiedział, nad otwartymi mogiłami odpowiedzialni towarzysze milczeli, ale wracając bez pośpiechu do swoich ZISów i przebiegając wzrokiem po nagrobkach dawno zmarłych, tracili czujność. Nikitin nie zapomniał o swojej pracy naukowej, jeszcze przed wojną nie zgadzał się ze swoimi kolegami, niegdyś wyznawcami tych samych co on poglądów, i już wtedy nie dopuszczano go za to do laboratorium; w odwet Nikitin opracował własną teorię komórki i czynników dziedziczności, posługując się metodą analogii (Iwan słuchał bardzo uważnie), uciekając się czasem do ryzykownych porównań. Wyobraził sobie, na przykład, że zaniedbane, nie odwiedzane przez nikogo groby przypominają te cechy, które nie są przekazywane potomstwu. Z tego właśnie względu doprowadził do zupełnego zapuszczenia grób pewnego Łotysza na cmentarzu Nowodiewiczym. Łotysz nazywał się Spogis i uwieczniono go napisem: „Tu spoczywa niezłomny bolszewik, sekretarz komitetu partyjnego zajezdni tramwajowej".

Pożegnali się. Ustalili, jak się będą spotykać, Iwan był dumny z siebie, że tak bezwzględnie przestrzegął nakazu Nikitina, widać przecież wyraźnie - Fiodor Matwiejewicz Nikitin jest stuknięty, rozum mu

odjęło, dziwne tylko, dlaczego tak młodo wygląda, może to dzięki życiu wśród grobów, w cmentarnym smutku, jakby poza złym czasem, co zrównuje wszystkich: pod jednym nagrobkiem mogą leżeć dziad i wnuk, wuj i bratanek i nader rzadko dwaj bracia; on i Klim mają zapewnioną długowieczność, ponieważ badając komórkę, spoglądają w mogiłę całej ludzkości.

Otworzył piwnicę własnym kluczem, zazdrośnie obejrzał norę; Klim nie biedował, pod nogami dywanik, w torebkach kasza gryczana i jagłana, w korytarzyku skrzynka wypełniona po brzegi ziemniakami; w słoju, do którego szczury się nie dobiorą, kiełbasa i kawałek masła, wyczuwało się kobiecą rękę; Iwan znieruchomiał jak zwierzę na odgłos dalekiego strzału karabinowego, pociągnął nosem, zagraniczny zapach trwał, ale nie w piwnicy, tylko w jego pamięci. Przyczłapała litościwa staruszka z pierwszego piętra, poszurała miotłą, pogadała z Iwanem śpiewnym głosem i poszła sobie. Wrócił Klim, Iwan popatrzył na brata - chudy, blady, zmęczony, zgnębiony czymś i kiedy Klim z zawstydzeniem przyznał mu się, że chyba nastały złe czasy, przeniesiono go, nie jest już ślusarzem, pracuje jako ładowacz, Iwan skorzystał z okazji i powiedział że wie już, gdzie mieszka jego ukochana, znajdzie ją i sprowadzi tutaj, ale teraz trzeba się zwolnić, choć to nieprosta sprawa, wymaga poważnego pretekstu, warto może wykorzystać to, że Klim jakoby pochodzi z Kurska - „Proszę o zwolnienie mnie z pracy w związku z wyjazdem z Moskwy..." - tak będzie dobrze, siadaj i pisz, wkrótce zastukają na złączach szyn koła pociągu pasażerskiego, czeka na nich Krym, Kaukaz, są tam gdzieś doświadczalne stacje rolnicze, w Gudautach na pewno. Klim poda się za entuzjastę przodującej nauki agronomicznej, pogawędzi sobie z pracowitymi selekcjonerami

mi, będą mu niewątpliwie radzi, nawet szoferzy w garażu nie przystąpią do roboty, dopóki nie zakończą swoich gadek, a co dopiero laboranci...

Klim bez przeszkód otrzymał zwolnienie, wydano mu książeczkę pracy, administratorka dała się nakłonić, obiecała pilnować piwnicy. Podanie Klima pokrywało się podpisami, a Iwan tymczasem chodził wokół domu na nabrzeżu Rauszkim, zorientował się, kiedy sąsiedzi Surkowej rozchodzą się do urzędów i sklepów, ona sama nadal się nie pojawiała, diabli wiedzą, co to mógł o znaczyć. Między mogiłą niezłomnego bolszewika Spogisa a opuszczonym mieszkaniem można było prześledzić jakąś więź: dom zamieszkiwali sprawdzeni przez władze towarzysze, okna tych najbardziej oddanych spoglądały na most Ustyński i na nabrzeże, gdzie w dni świąteczne radosne tłumy pod sztandarami dawały domowi poczucie pewności.

Spakowali się wreszcie i pojechali. Iwan, kryjąc uśmiech, obserwował jak Klim niezdarnie nadskakuje towarzyszkom podróży, całkiem nieszkodliwym damom - bilety kupił godzinę przed odjazdem pociągu. W Gudautach wynajęli pokój z werandą, było niezwykle ciepło, rano spacerowali po parku, schodzili nad morze. Klim wspominał pobyt na Krymie, skąd jego rodzice tak nagle wyjechali na północ, do Leningradu, już w drodze mały Klim zrozumiał, że nie jadą z dobrymi zamiarami i ktoś w Leningradzie nie ucieszy się z ich przybycia. Iwan targał z ryneczku owoce, przyniósł kiedyś bukłak z kwaśnym winem, nauczył się piec szaszłyki, zadowolona z zapłaty gospodyni dawała dobre rady. Na stacji doświadczałnej Klim pokłonił się z szacunkiem kierownikowi, powiedział: przed wojną Fiodor Matwiejewicz Nikitin prowadził w ich szkole kółko młodych przyrodników i wiele im opowiadał

o stacji w Gudautach, czy nie można by więc... Można, oczywiście, odparł niezwykle pochlebiony kierownik, trzeba tylko trochę poczekać, aż rozjadą się laboranci, a wtedy - proszę bardzo. I Klim jakby zapomniał, po co tu przyjechał, na jakim postronku go tu ściągnięto: pił, jadł, spał, wałęsał się po parku i spoglądał na tańczące pary, denerwował Iwana bratanie się z ludźmi i przyzwyczajeniami, które były nie do zniesienia. To niepojęte, dziwaczne, ale tak się stało, tyle bied zaznali, tyle się nacierpieli osobno i razem, a w Gudautach wszystko się rozleciało, nie umieli przebywać razem, współistnieć w codziennym, zwyczajnym domowym życiu, nagle stracili cierpliwość i wzajemne zrozumienie: Iwan niemal z nienawiścią patrzył, jak Klim siedzi przy stole, jak je, elegancko odginając mały palec, wkłada do ust kawałki mięsa, podnosi je do kapryśnych warg. Na łyżkę z zawieszistą zupą dmucha, krzywi się, mlaszcze, odbija mu się - nie, nie można było na to patrzeć ani słuchać, chciało się zatkać uszy i zacisnąćoczy: „U Niemców się wychowywałeś czy jak?” - wycedził przez zęby Iwan, zabrał swój talerz i wyniósł się na werandę, gdzie mimo chłodu odtąd spał, przykrywając się dwoma kocami, ale nawet przez nie i na dodatek przez ścianę docierało do niego pogwizdywanie i chrapanie Klima, dolatywał zapaszek jego skarpetek, przypominający woń w partyzanckich ziemiankach. Jakby z dna żołądka wznosił się kłujący, ogoniasty kłębek złości, mdliło go od samego spojrzenia na Klima. Kiedyś bratu urwał się guzik u spodni, poprosił więc o igłę i nitkę, ale w żaden sposób nie mógł trafić skręconą i zmoczoną śliną nitką do uszka igły, Klim głośno sapał, drgająca nitka pudłowała, a Iwan - miał satysfakcję. Jak tylko praktykanci wyjechali, zaskarbił sobie przychyłość kierownika, zapro

wadził brata na stację i tam go ulokował. Szedł w stronę morza, rozglądał się i dziwił: jak on mógł

tak długo znosić tego mohylewskiego bydlaka?

Nastaly dni samotności przy akompaniamencie plusku fal, s zafirowa woda zalewała piasek - robił się ciemnoszary, ale zaraz jaśniał, Iwan ciepło ubrany leżał na kamieniach, musiał istnieć rytm, od którego rozpoczął się nowy etap ewolucji - dobrze mu się myślało przy monotonnym kołysaniu żywiołu o parze splecionych w spirale chromosomów. W Moskwie udało się znaleźć ich fotografię w ogromnym powiększeniu: wydawało się, że to zupełny chaos - łańcuszki genów pływające w bezbrzeżnym morzu, zachowujące jednak spistość, nie rozpraszające się w komórce - obie spirale trzymały się razem. Stwierdzono przecież: choćby nie wiadomo jak zbliżyć do siebie przedmioty, zawsze pozostaje między nimi coś, co nazywa się przestrzenią i nie wypełniają jej sploty orbit elektronów, ale coś innego, tak samo w nitkach chromosomów ich rozmieszczenie jest dwustronne, ogniwa łańcuchów mają jednolity układ, nie ma odbicie w nici, dlatego kolejność zostaje zachowana i utrzymuje się porządek. Który to już miesiąc męczą się z Iwanem nad prościutkim, jak się okazuje, zadaniem - rozwiązanie podsuwa samo życie, wszystko wokół, byt, w którym pozamieniano miejscami przyczynę i skutek, stały się nawzajem odwracalne, na przykład: służby bezpieczeństwa najpierw wymyślają fakt przestępstwa, a już później dobierają do niego pasującego jakoby sprawcę. Spirale nie są równoległe, każdej kolejności w jednej z nich odpowiada jej odbicie w drugiej, ale ta sama zasada obowiązuje w każdej z osobna nici. Wystarczy to uznać i wszystkie procesy w komórce zyskują wyjaśnienie.

Dwa tygodnie Iwan stronił od wszystkich, z samego rana szedł nad morze z lepioskami, kawałkami pieczonego mięsa i wielką butlą kwaśnego wina. Nawet nie zapamiętał, w jakim dniu rozwiązał zagadkę spirali, zdawało mu się, że od dawna znał ich tajemnicę, w każdym razie domyślał jej się już tam, na odwachu w Mińsku, kiedy próbował wyobrazić sobie przecięcie gazety, rozwarstwienie jej na dwie części, zastanawiał się, w jaki sposób materia rozsypuje swój przyrodzony drukarski skład i znów go składa według już wykonanych matryc, jak popełnia pomyłki, jak się niepokoi. Wiatr zmienił kierunek, dął od zachodu, fale przyływu opryskały Iwana, cofnął się w głąb brzegu, spoglądał z góry na pokryte białą pianą morze, rozluźnił się, chciał, by mózg samorzutnie próbował zgłębić ledwo świtające domysły. Przypominał sobie całe życie. Wszystkie radości i smutki, wszystkie rozkosze i bóle - one też podlegały prawu przeciwności: radość wroga zawsze była dla Iwana bólem, i przeciwnie, wybuch rozpaczki wień czył nienaturalne zbieżności; już w Leningradzie można było uświadomić sobie prawa rządzące wszechświatem - tam, na kanapie, kiedy Pantelej spuszczał lanie nienawidzącemu go malcowi.

Poszło w niepamięć chrapanie Klima, przykra woń jego skarpetek i wszystkie irytujące dziwactwa brata, minął czas, na jaki powinni byli się rozstać. Iwan przyszedł na stację i pokazał zapisany zeszyt szkolny, wyproszony u syna gospodyni, Klim popatrzył i, jak o głupstwie, na które nie warto tracić czasu, powiedział, pokazując złożony na osiem części arkusz papieru, a na nim posplatane wstążeczki, rozdzielone linią przerywaną - obie spirale: „To samo... już wczoraj...” Stół laboratoryjny, statywy, zlewki, mikroskop, jakaś strawa na maszynie elektrycznej, deszcz bębni

o szyby - nudno żyć na ś wicie, strasznie nudno, jeś li brakuje radości ze wspaniałego dokonania,

z dawna oczekiwanego finału, który jednak zawsze jest tylko stacją pośrednią, etapem, na którym wyłania się dalsza droga, jeszcze bardziej pustynna, i przed dwoma wędrowcami, gdy dotarli do nieznannej gęstwiny, otwarła się nieuchwytna, wabiąca tajemnica - trudne są ścieżki poznania... Iwan spytał ostrożnie - czy nie czas wrócić do Moskwy? Zdażymy, nie ma się po co spieszyć - odpowiedział lekceważącym gestem Klim. Spieszyć się rzeczywiście nie musieli. Czuli się tu zupełnie bezpieczni, milicja ani razu nie zaglądała, gospodyni ledwie spojrziała na ich paszporty, nawet ich nie otworzyła, a kierownik stacji - uroczy człowiek, zaproponował Iwanowi stałą pracę, ale jak mógł ją przyjąć z jego książeczką pracy, zresztą załatwienie formalności szło przez Moskwę; Kaszpariawiczius dał Iwanowi urlop do marca: żyj, ciesz się młodziutką kucharką z domu wypoczynkowego za górą, nie musisz teraz o niczym myśleć, człowiek pracujący ma prawo do odpoczynku nawet w tym barbarzyńskim kraju, gdzie wszystko zostało sprowadzone do absurdu.

I siedzieliby beztrąsko do marca, ale Klim nagle zwariował Iwan wrócił nad ranem (był u kucharki) i zastał w domu sądny dzień, na werandzie szalał Klim, coś łamał; szyby nie dzwoniły, ogień nie wzbijał się nad dachem, nie pachniało dymem, ale straszniejszy od pożaru był pisk i chichot dwóch prostytutek, gonił je nagi, pijany Klim z żółtymi oczami; te dziwki kręciły się zwykle obok kawiarni, w lecie wypierały je kuracjuszki, zimą królowały, dając zarobić także milicji. Śmiertelnie przerażona gospodyni patrzyła z naganą na Iwana, krótkie tłuste rączki splotła na brzuchu, sens jej słów był jednoznaczny: wynoście się natychmiast, za

nim ja... Iwan stłukł Klimę, przepędził kurewki, ale za nimi, klnąc Iwana, pobiegł brat, wkrótce zresztą wrócił i teraz on domagał się pieniędzy. Nawet w najbardziej fantastycznych przypuszczeniach Iwan nie mógł przewidzieć szaleństwa brata, choć skłaniała ku temu walizka pachnąca francuskimi perfumami; a już całkiem niesamowite było to, że szal okazał się zaraźliwy, ogarnął cały dom; starszy syn gospodyni, inwalida wojenny, który w komórce naprawiał sąsiadom obuwie, tłukł w ścianę kopytem, młodszy, uczeń, biegał jak nieprzytomny po podwórzu i rzucał kamieniami w szyby, sama gospodyni tłukła naczynia, jej brat przyleciał ze strzelbą myśliwską i zaczął strzelać do kur. W każdej chwili mogła się zjawić milicja. Iwan cisnął gospodyni pieniądze, powrzucał do walizki papiery, zbił Klimę i popędził z nim na dworzec. Uratował ich pociąg do Erewanu, w Anapie się zatrzymali, Klim powoli odzyskiwał rozum, zatruty czymś żołądek wyrzucał z obu stron jedzenie i płyny, palto i czapka zostały w Gudautach, notatki Klimy z szeregiem wzorów - również, nikt ich zresztą nie potrzebował, nikt niczego nie chciał przyjąć do wiadomości, ani uznać; aspiranci, którzy przyjechali z Kijowa, tam na stacji wyśmiali Klimę, kiedy zaczął im mówić o strukturze molekuł białkowych, lecz najbardziej oburzyła go perfidia kierownika - tak ocenił Iwan to, co zaszło na stacji, a o czym Klim opowiedział mu, nim dojechali do Moskwy. Kierownik miał dobrze ponad czterdzieści lat, w genetykę zaangażował się jeszcze w studenckich czasach, zyskał rozgłos naświetlaniem grzybków drożdżowych, a następnie doświadczeniami nad podwojeniem liczby chromosomów w komórkach, wiele lat przepracował w dziale genetyki Instytutu Biologii Eksperymentalnej, ale tytuł kandydata nauk otrzymał dopiero w przedwojennym czterdzie

stym roku, chociaż w trzydziestym czwartym, kiedy ustanawiano stopnie naukowe, omal nie

został doktorem bez obrony pracy doktorskiej. Miał te same poglądy na mutagenezę co Klim, ale gdy porównali swoje mapy genów badanej muszki, okazało się, że Klim wie znacznie więcej nie tylko niż sam kierownik, ale i wszyscy Jeg<sup>o</sup> nauczyciele, dwudziestopięcioletni młokos, którego nie wyrzucano z instytutów i wydziałów, który nigdy nie doświadczył tego, co znaczy być genetykiem, ośmielił się wyrwać do przodu, nie pytając o zezwolenie - i kierownik wściekł się; był gotów wyrzec się własnych poglądów naukowych, samego siebie, byle nie zatryumfował jakiś tam młodszy pracownik naukowy, i Klim, ugodzony zdradą płakał w wagonie pociągu, a Iwan cieszył się w duchu: czas, najwyższy czas, by braciszek zrozumiał, że nauka to taka sama kastowa organizacja jak średniowieczny cech, jak WKP(b).

Za ostatnie pieniądze kupili dziurawy paltocik, w metrze wytrzeszczali oczy na Klima, w piwnicy panował żar jak przy palenisku pieca hutniczego; podczas styczniowych mrozów tu i ówdzie popękały rury, administratorka popędziła Klima do roboty. Kaszpariawiczus wysłał Iwana na Litwę z jakimś kradzionym towarem, około Panewieży skrzynki z ciężarówką przerzucono na furmanki i zawieziono w nocny las, Iwan wrócił do Moskwy i przekonał się: okres powodzenia się skończył. Do piwnicy zajrzał chłopak pod krawatem, z teczką, przedstawił się jako członek rady zakładowej, obrońca, znaczy się interesów pracujących po linii związkowej; Iwanowi wydał się zwykłym głupkiem, stukniętym na tle pracy społecznej, miał na takich sposoby - za straszaka mogła posłużyć legitymacja pracownika milicji wileńskiej - nie użył jej jednak, zaniepokoiła go kocia giętkość przybysza, umiejętność

wypatrzenia jednym rzutem oka tego, co najcenniejsze w pomieszczeniu, dziwne zawieszanie głosu i nieruchomienie gestu, jakby chłopak przyglądał się sobie z boku i wsłuchiwał się we własne paplanie - ten człowiek należał do gatunku wiecznych przebierańców, aktor, któremu nie studium teatralne, lecz życie udzielało lekcji rzemiosła. Pajac wyszedł, a Klim cały dygotał - zupełnie taki sam dowcipniś zjawił się u nich w przeddzień aresztowania rodziców i pytał o składki na organizację obrony przeciwlotniczej i chemicznej. Iwan wpadł w panikę, uświadomił sobie jednocześnie, że Klim, który całkiem upadł na duchu, nie będzie się teraz upierał i czepiał piwnicy. Domek obok Willi Maksyma Dormidontowicza Michajłowa nikogo dotąd nie zainteresował. Po dwóch godzinach palenia i po zatknięciu wszystkich szpar nagrzał się jak należy. Na rynku kunczewskim, tuż obok stacji kolejowej, kupili prześcieradła, poduszki, trzy garnki. Obładowani sprawunkami podeszli do domu, Klim odwrócił się i długo stał, patrząc w stronę piwnicy, dokąd przyjdzie kiedyś uratowana przez niego z opresji księżniczka i nie zastanie tego, któremu przyniosła swoją miłość... „Chodźmy, chodźmy...” - poganiał Iwan, dzwoniąc na mrozie kluczami, przytrzymując ręką najcenniejszy zakup - piecyk naftowy.

Ani Iwan, ani Klim nie wiedzieli, co robić z bogactwem, jakie na nich spadło, choć od dziesiątego roku życia dążyli do tego, żeby nim zawładnąć, ścigając umykającą, migotliwą prawdę. Wydarli matcaturze tajemnicę - mechanizm odnawiania się i przemiany nigdy nie zmieniającej się materii, teraz należało się zająć formami przedkomórkowymi, sięgnąć jeszcze głębiej, żeby zrozumieć kody, szyfry, symbole i krypto

grafie czytanych przez wszystkich tekstów, badać i dociekać, znów czytać, myśleć, ale stracili już serce do myślenia, obaj jakby zawstydzeni tym, że mogli się uznać za szczęśliwców - wyprzedzili swoimi przemyśleniami biologów świata o pięć albo i więcej lat; wszystkie czasopisma zostały spalone, Szmahauzen także, Klim nigdzie nie wychodził, przesiadywał w ciepłym domostwie, Iwana pociągał dom na Rauszskiej, подарowane przez los mieszkanie należało zbadać i jakoś wykorzystać, w tej kryjówce można by było przesiedzieć dzień, lub dwa, gdyby do domu w Kuncewie zajrzał także jakiś przedsiębiorczy typ z teczką. Iwan pobieżnie obejrzał mieszkanie - nie miał już wątpliwości - złodziejka kiedyś je zajmowała; mogła się tu zjawić lada dzień, w każdej chwili, na pewno trzymała gdzieś schowane zapasowe klucze, gotowa też wyłamać drzwi - nie, nie było sensu siedzieć w tym mieszkaniu i czekać na nie wiadomo co - to niebezpieczne. A jednak pęk kluczy przyjemnie ciążył w kieszeni. Zdarzyło się także coś, co znów pobudziło jego zainteresowanie Surkową, opowiedział mu o tym Kaszpariawiczus: miejsce akcji - Leningrad, sklep „Damska konfekcja”, czas - koniec lutego, godzina - szósta wieczór, osoby - podpułkownik ministerstwa bezpieczeństwa i jego młoda towarzyszka życia, jej powierzchowność opisali kupujący i sprzedawcy, Iwan nie miał możliwości przeczytania protokołów milicyjnych, Leningrad to nie „półrublówka”, nie wiedział, jak wyglądała kobieta, ale usłyszawszy nader podobną historię, musiał pomyśleć, że Helena Michajłowna Surkową mogłaby być najlepszą odtwórczynią roli, którą odegrała domniemana żona rzekomego podpułkownika; przypominało to jakoś aktorstwo owego bezczelnego typa, który trafił do ich piwnicy. Para małżeńska

wybrała właściwą porę - godzinę wcześniej, lub trochę więcej przed przybyciem inkasenta, koniec miesiąca, utarg dwukrotnie większy niż zwykle; partię solową wykonała znakomicie piękna młoda kobieta w futrze, prosiła uparcie skąpawego męża o kupienie jej jakiegoś drobiazgu z bielizny damskiej. Małżonkowie spierali się niegłośnie, ale tak, że wielu obecnych mogło ich słyszeć i uśmiechało się wyrozumiale. Namówiła go jednak, podpułkownik (żandarmski błękit na naramiennikach) stanął w kolejce do kasy, zapłacił, otrzymał resztę, przyjrzał się banknotowi - i teraz sprzedawcy i kupujący słyszeli tylko jego głos: banknot okazał się fałszywy! Przybiegł, wezwany przez kasjerkę, dyrektor sklepu, zapewniał, że banknot nie jest fałszywy, na co pułkownik - skupiła się na nim powszechna uwaga - użył druzgoczącego argumentu: jest szefem wydziału zajmującego się fałszowaniem państwowych papierów wartościowych - oto dokumenty! Pełną szacunku lekliwą ciszę zakłócała płaczliwa aria żony, błagającej męża, by ulitował się nad nią, nad sobą, nad kasjerką: wielka mi rzecz - trzydzieści rubli, nie warto się nimi przejmować, tyle czasu nie byli w teatrze, wybrali się wreszcie, za czterdzieści minut początek przedstawienia, człowiek ma chyba prawo po godzinach pracy zapomnieć o służbie, odpocząć! Pięknie śpiewała kobieta, budząc wśród słuchaczy i widzów zmienne nastroje, skłaniając ich sympatie to do męża, to do żony, wiodła ku naturalnej reakcji: wrogości do wszystkich fałszerzy pieniędzy w Leningradzie i uznania za słuszne wydanego polecenia: - opieczętować kasy, cały utarg do worka, zadzwonić niezwłocznie do komendanta najbliższego komisariatu milicji, niech przyślą grupę operacyjną. „Pan, oczywiście, zna telefon, proszę więc...” Dyrektor sklepu

znał telefon, zadzwonił do komisariatu, komisarz zapewnił, że grupa natychmiast wyjedzie i grupa przybyła, pieniądze załadowano do samochodu, do drugiego wsiedli podpułkownik z przeklinającą swój los małżonką, i dopiero po dziesięciu minutach wpadła do sklepu już prawdziwa grupa operacyjna, a gdy przestępcy zniknęli bez śladu, milicja wszczęła gorączkowe poszukiwania, pogłoski krążyły po mieście, po całym kraju - z tym większą uwagą Iwan oglądał każdą rzecz w mieszkaniu Surkowej. Przedpokój, kuchnia, ubikacja, łazienka - na wieszaku damski gabardynowy płaszcz, w skrzynce na buty - kilka par kapci, pantofle, botki, żadnego przedmiotu wskazującego na obecność mężczyzny mieszkającego tu na stałe, zdejmującego i wkładającego codziennie obuwie. Żadnych czapek ani kapeluszy, żadnego palta o męskim kroju, ale i kobieta musiała być w mieszkaniu tylko jedna, sądząc po pantoflach tego samego rozmiaru. W kuchni, w pojemniku na chleb grudka pleśni, niegdyś kromka, kawałek bułki, na dnie garnka - stwardniała masa czegoś, co kiedyś nadawało się do jedzenia. Talerze niemyte, w łazience suszące się damskie fatałaszki, łóżko niezaścielone, jeśli wierzyć kalendarzowi ściennemu, nieporządna Helena Michajłowna musiała opuścić mieszkanie tydzień przed kradzieżą w domu towarowym. Na nocnym stoliku fotografia jej matki (Kochanej córeczce...), nad półką wysokie lustro, taniutkie perfumy, pomadki i kremy powszechnie znanej marki „Teże”, były też kredki służące do charakteryzacji i jakieś inne utensylia teatralne, w szafie - suknie, palto, kapelusze, bielizna - to nie pochodziło stąd, co ta kombinacja, figi, stanik i reszta rzeczy w walizce oddanej Klimowi. Na ścianach powiększone fotografie w czarnych ramkach, bracia, pewnie zginę

li na wojnie, obaj w mundurach oficerskich. Szafa biblioteczna z podręcznikami, trudno tylko się zorientować, jaki instytut zamierzała wybrać Helena Surkowa, w końcu nie wybrała żadnego. Jeszcze dwa pokoje - jeden bardzo duży, wspólny - stołowy i jednocześnie sypialnia, gdzie ofiarowywano komuś nocleg, drugi znacznie mniejszy, zastawiony szafami bibliotecznymi, obwieszony pókami i obrazami, potwierdzał to, czego Iwan domyślał się już przy pierwszej wizycie, w jego ścianach przebywał, pisał i czytał uczony wysokiej klasy, człowiek znający wielu w akademickim świecie, cieszący się uznaniem zagranicą, autor teorii o przemieszczaniu się płyt ziemskich, członek zagranicznych towarzystw, niedawno zmarły. Iwan przeczytał i zanalizował paczkę listów ojca do córki, nad niektórymi zdaniem długo się zastanawiał. Geolog, który dwukrotnie odkrył złoża węgla, jeszcze przed wojną odznaczony orderem, skarżył się gorzko na zły los: śmierć powoli, lecz uparcie zbierała żniwo w rodzinie! W trzydziestym ósmym zmarła matka Heleny, w czterdziestym pierwszym zaginął bez wieści starszy brat Heleny - Andrzej, w czterdziestym drugim został powołany do wojska Aleksander, w listopadzie, po pół roku przyszło zawiadomienie o jego śmierci. Helena nie od razu powiadomiła o tym ojca, który w tym czasie robił odwierty gdzieś na dalekiej Północy, pisał długie i nudne listy, wciągając córkę w wątpliwe uroki swego zawodu, używając słów, znanych pewnie Helenie od dzieciństwa: o jakichś „kamieniach bez widocznych inkluzji”, „subwencji”, „kwarcytach żelazistych”, niektóre listy przychodziły przez okazję, omijając cenzurę wojskową. Jeszcze w czterdziestym roku ojciec ożenił się z krasnojarską geolożką, wszedł w jej szacowną rodzinę, ale nie rozliczył się z Moskwą, zachował przy

działowe mieszkanie i nikogo tam nie dokwaterowano, Helena tylko raz odwiedziła Krasnojarsk,

ale nie przypadły sobie z niewiele starszą od niej macochą do serca; mimo wszystkich narzekań i skarg na los, ojciec nie widział żadnego fatum ani nieszczęścia w młodziutkich współpracownikach, gorąco kochał nosicielki pierwiastka destrukcji, córka odziedziczyła pewnie po nim namiętą naturę; Iwan poszperał w pokoju Heleny i znalazł wstydliwie ukrytą paczkę listów od przyjaciółki, papier przejmował to, czego nie śmiały powierzyć uszom; poprzez tę korespondencję poznawały siebie, każda czytała przysyłany z drugiego końca Moskwy list tak, jakby to ona go pisała o sobie samej, z absolutną szczerością, łatwo było domyślić się treści tej paczki listów, które zachowały się nie na Rauszskiej. Przyjaciółki od siódmej albo ósmej klasy zaczęły obserwować swoje pełniejące ciała i zaokrąglające się biodra. Rano oglądały się w lustrze, obnażając się w takiej kolejności, w jakiej zaczęły je rozbierać mężczyźni przed wspianym aktem defloracji (nachapały się już potrzebnych słówek), ich oczy nabrały niezwyklej, instrumentalnej bystrości, omdlewały, przypatrując się wklęsłości nigdy jeszcze nie golonych pach, dostrzegały krzywiznę miednicy, linię talii, nóg, przyjaciółki masowały sutki, rozpisując się obszernie o odwiecznym pociągu przerośniętych dzieci właśnie do tych wypukłości, choć uważały polowanie na piersi za sprawę dla mężczyzn drugorzędną, a to najważniejsze, do czego zmierzali, było studiowane z nie mniejszą skrupulatnością, wykorzystywały po to drugie lustro. Wojna nie przerwała wymiany listów, ale trzeba się było liczyć z cenzurą, koleżankom przybyło latek, Helena napisała traktat o miłości, w odpowiedzi otrzymała taką oto definicję: miłość, to znaczy pocałunki, uściski,

akt płciowy, to tylko ocieranie się błon śluzowych i zewnętrznych fragmentów skóry, wkrótce jednak przyjaciółka sama obaliła tę formułę: wyszła pochopnie za mąż i, nie bez sarkazmu, opisywała pierwszą poślubną noc, wybraniec serca okazał się chamem i bezdusznym łajdakiem, gnębiły ją fizjologiczne kłopoty. Helena wyraziła zapewne przypuszczenie, że zawiniło tu ubóstwo łoża miłości, na co otrzymała radę: tak, słusznie, tę wspianą chwilę w życiu dziewczyny powinna poprzedzać muzyka (Bach, Czajkowski), warto rozsypać zgodne z porą roku kwiaty na wezgielisku świętego miejsca, gdzie nastąpi akt ofiarowania siebie, przyda się też trening, polegający na tym, że dziewczyna świadomie stwarza i wybiera sytuacje, w których obnaża się przed mężczyznami, może to robić, ale nie musi, właśnie w takich prowokujących okolicznościach zachowuje zimną krew i to ją podnieca. Delikatnych problemów uchronienia się przed ciążą zameżna przyjaciółka nie zdążyła już opisać, mąż, konstruktor w fabryce zbrojeniowej, został przeniesiony do niewiadomego miasta i zabrał ze sobą młodą małżonkę; ucieszyło to nawet Iwana - odpadła potrzeba szukania Heleny u przyjaciółki, Krasnojarsk nie wchodził w rachubę - macocha, która niewątpliwie powtórnie wyszła za mąż, wyrzuciłaby nieproszoną pasierbicę. Znalazł zresztą w biurku jej paszport, a bez paszportu co zrobiłaby w innym mieście? Iwan przestudiował jej notes, dłuższy czas oglądał fotografie w rodzinnym albumie i doszedł do wniosku, że panna była narowista, aż głupio egocentryczna, samowolna i kapryśna, znaleźć ją można teraz tylko w miejscach jakoś związanych z teatrem, albowiem od piątej klasy Lenoczka Surkowa grała w przedstawieniach amatorskich, począwszy od Królowny Śnieżki, lubiła fotografować się

w różnych przebraniach, sympatyczna buzia, ale nic ponadto - spojrzysz i zapomnisz. Iwan zabrał



niektóre jej fotografie, a o listach pomyślał: dać by je Klimowi do poczytania - diabeł miłości ulotniłby się czym prędzej. Jeszcze lepiej byłoby pokazać Klimowi tę suczkę, wiadomo, czym mogły się skończyć te prowokacyjne rozbieranki, jakie towarzystwo ćierpi dziewicę, która się obnaża, jednocześnie chełpiąc się swoją niewinnością - na pewno zostanie zgwałcona, „wzięta pod kolejkę”, co musiało spotkać Helenę Surkową, w dzieciństwie płacziwa, kochliwa w szkole, teraz chyba nie jest kurwą ani kompletnym zerem i - chyba nie buszuje po pokojach hotelowych, do takiego wniosku doszedł Iwan w Gudautach: na brzegu morza doznał jakiegoś olśnienia, wszystko stało się prostsze i bardziej zrozumiałe - znów przyjrzał się pękowi kluczy i uznał, że nie mają nic wspólnego z hotelami, to oczywiście klucze do piwnicy jej domu, każde mieszkanie miało na dole osobną komórkę na rupiecie. W „półrublówce” nie znali Surkowej, wypłynęła pewnie w innym rejonie i musiała podać swoje personalia i adres, zwolniono ją ale nie przychodzi do domu w obawie przed zasadzką lub aresztowaniem, coś jednak przeskrobała ta paskudna dziewczyna jeszcze przed historią w domu towarowym, to zepsute ladaco o złych skłonnościach ominęło stadium „Nataszki”; gdyby Klim wiedział, co za kreaturę sobie wymarzył, kto go tak oczarował i kto, zdaje się, zaczynał mącić w głowie samemu Iwanowi - za bardzo polubił wizyty na Rauszkiej, przypominał tu sobie, że i w Leningradzie, i w Mińsku przed wojną miał własny pokój, niepodzielne królestwo. Całymi godzinami przesiadywał w mieszkaniu na Rauszkiej, dobrze się tu czuł, odnajdywał leningradzkie zapachy, jakie wydzielały

książki, rozkoszował się samotnością, ale w tych pokojach mogły przecież także rozlegać się głosy, mogli przebywać ludzie, dyskutować, spierać się, gorączkować przy stole z herbatą i bułeczkami. U Meisla, jak opowiadał Klim, w soboty zbierali się fizycy, biolodzy, Niemcy, Bułgarzy, Belgowie, dwóch byłych sowieckich Rosjan, Hiszpan, co za nazwiska, jakie dyskusje! W przeddzień klęski Niemiec nikt nie słyszał bombardowań, wszyscy byli pochłonięci rozmową o nowej książce Schrödingera „Co to jest życie?”, która właśnie wyszła. Tutaj, w tym mieszkaniu można by zebrać biologów i matematyków i zorganizować seminarium, pogadać swobodnie, poszybować myślami wysoko - taką oto bzdurę sobie wymarzył, kiedy w marcu udało mu się dostać na piątą konferencję na temat związków wielomolekularnych, w sekcjach nauk chemicznych i biologicznych dyskutowano o białkach, uznano wreszcie DNA, ale były głosy negujące ściśle określoną kolejność ułożenia genów, mało kto wierzył w informację genetyczną zawartą w komórce samorozwijającej się materii - dyskusja w stylu akademickim nie była efektowna, ale i nie nudna. Iwan nie powiedział Klimowi, gdzie był i co usłyszał, sam doszedł do wniosku, że właściwy model DNA zostanie odkryty za pięć - dziesięć lat, a do procesów w komórce nauka ma jeszcze bardzo, bardzo długą drogę, do tego zaś to, co oni dwaj, nikomu nie znani, mają w głowie, dotrze najwcześniej pod koniec wieku: tam w Gudautach przeskoczyli przepaść pomiędzy połową wieku a jego końcem, co doprowadziło jak dotychczas do tego, że Iwan siedzi tutaj - Surkowa musiała zapłacić za mieszkanie z góry, a sama gdzieś przepadała, wcale się nie przejmując, kartki żywnościowe zostały w paszporcie. A jednak to najpewniej ona dzwoniła regularnie około

dziwiątej wieczorem i dzwonki telefonu rozdzierały ciszę mieszkania, jakby stuknęła do

znajomych drzwi. Szczęście nadal im sprzyjał, właściciel dachy ścieśnił ich wprowadzić, ulokował w klitce na pierwszym piętrze, parter zajęli jego krewniacy z Archangielska, zrobiło się głośno, nie wyprowadzili się jednak, ponieważ dom zdawał się nietykalnym azylem, milicja w odległości stu metrów, nikomu nie przyjdzie na myśl, że tuż obok komendy miejskiej mogą mieszkać tacy jak oni bezpaszportowcy. Klim przypomniał sobie, że był u Meisla ogrodnikiem i najął się do pracy u gderliwej starszej pani, która nie pytała go o paszport, coś robił przy już przekwitłych krzewach bzu, dostał zaliczkę - czterysta rubli i z dumą pokazał je Iwanowi, ten uprzedził, że wyjeżdża na długo, na półtora miesiąca, przykazał bratu, by nie szwendał się po mieście, nie chodził do kina na ostatni seans, a gdyby dzielnicowy zaczął węszyć, co z paszportem - ma natychmiast uciekać do Mazilowa. Klim wyglądał jak strach na wróble, kapelusz jak ze stracha zdjęty - chudy, milczący, o długich rękach, oberwany i ponury płoszył ptaki. Iwan paskudnie się poczuł, pojechał do Kaszpariawiczusa, klnąc Litwina i jego kombinacje z przewożeniem pustych skrzynek po wódce i worków po cukrze. Bugulma, Gurjew, Kursk - Kaszpariawiczus zjawiał się w Gorkim, wsiał do kabiny, długim, wypolerowanym paznokciem wodził po mapie Łotwy, wskazując, gdzie trzeba jechać i gdzie się zatrzymywać, na kogo czekać i jakimi słowami sprawdzić jakoby spóźnionego ekspedytora. „Z Bogiem - twoim rosyjskim i moim litewskim, jedź!” Zgodnie z instrukcją Iwan wjechał na Łotwę przez Rzeżyce, zatankował paliwo w Krustpilsie, przeprawił się przez rzekę i znalazł się w Jełabpilsie, zapamiętywał wszystkie wyprzedza

jące go po drodze samochody, przyglądał się siedzącym w nich ludziom, numery można przynitować, ile się zechce, ale ludzi umiających śledzić nie za często się spotyka. Punktualnie o siódmej rano zgasił silnik na czterdziestym kilometrze od Szanlai, uchylił drzwiczki, widział w lusterku, jak z gęstwiny leśnej wyszedł człowiek ubrany jak ekspedytor, jego chód świadczył o tym, że jest sprężysty i szybki. Mógł mieć nieco powyżej trzydziestki, powiedział właściwe hasło, porównał swoje dokumenty z tymi papierami, które Iwan trzymał pod siedzeniem, po rosyjsku mówił czysto; Iwan przypomniał sobie: ten człowiek wyprzedzał go różnymi samochodami, to jechał za nim, w bufecie kolejowym w Krustpilsie pił herbatę przy sąsiednim stoliku. Sprawdzając siebie albo Iwana, człowiek odrzucił całą kupę dokumentów, choć żaden nie był fałszywy ani podrabiany, niemniej jednak Iwan dał mu dobrą radę i w nagrodę otrzymał coś cennego. Ten człowiek nie był Rosjaninem, Iwan potrafił odróżnić nie tylko papierową lipę, dlatego nie zdziwił się, gdy Kaszpariawiczus, który zjawiał się w Szanlai nazwał ekspedytora imieniem „Herbert”, poszeptał z nim i znikł, wkrótce ulotnił się także ekspedytor, zdążył jednak powiedzieć, kiedy wróci i skąd Iwan ma go zabrać. Iwan nie musiał sprawdzać na mapie - okolice Jaszunasu znał aż za dobrze z czasów wojny, ale na chutorze, gdzie go przyjęto, był po raz pierwszy, kto zresztą znał i kto pamiętał na pół rozwalony dwór i dawno nie obsiewane pola dokoła. Brat i siostra utrzymywali się z ogrodu warzywnego, mieli też krowę. Wieczorami podzwaniało wiadro, do którego sływały strugi mleka, cedzonego przez gazę do baniek, młode drobne ziemniaki gotowały się w saganku, Iwana wołano do stołu; według paszportu był dalekim

krewnym gospodarzy, ale muchy nie dały się oszukać wileńskim meldunkiem ani podpisem

komendanta miejskiej milicji, muchy wyczuwały słowiańskość Iwana, tym bardziej komary, krążył nad nim cały ich rój - gęsty, kłujący, brzęczący, a nie zżarły go całkiem tylko dlatego, że dostrzegła w nim litewskość siostra - Danutę Kaziszirowna, tak usłyszał jej imię i tak się do niej zwracał; wyglądała na czterdziestkę, choć była znacznie młodsza, ale miarą jej lat były wiadra wydojonego mleka, przyjmowanie cieląt od krowy, skopane grządki, skoszona trawa - wszystko owocowało i rosło: przed Niemcami, za nich i później. Siadała obok Iwana i rój, pokrążywszy nad nimi, odlatywał. Kiedy Iwan słuchał tej litewskiej kobiety, topniały w nim wszystkie bóle i radości również, życie Danutę Kaziszirowny nie mogło być, niestety, mierzone porodami, od dziecka do dziecka. Pierwszy raz, jeden jedyny, zaszła w ciążę, ale ciąża została przerwana, znikła jak słońce, które nagle zasłoniły chmury nierozproszone do końca. Kto był ojcem? Mężczyzna - odparła precyzyjnie. Rosjanin, Litwin, Niemiec, Polak, Białorusin

co za różnica, każdy miał nasienie, każdy nosił karabin albo automat, a kto miał słuszość, kto zawinił

Bóg rozsądzi. Brat Danutę, garbus, ale bardzo silny, klepał kosę, podzwanianie metalu usypiało Iwana, pięć dni już minęło, dziesięć, dwadzieścia, chciałoby się tak witać - w szopie, na sianie, popracować łopatą, słuchać Litwinki, ale kto by na to pozwolił; nie wolno, nie wolno żyć w błogim spokoju, on i Klim chodzą jeszcze po świecie, są na wolności, bo cały świat szczerzy na nich zębami, a oni boją się i nienawidzą Łubianki. Otworzył oczy na samą myśl o służbach bezpieczeństwa, szelest siana podkreślał tylko absolutną, szczelną ciszę, po skośnych promieniach słońca przenikają

cyh do szopy zorientował się, że już wieczór, w nocy musi iść na spotkanie z Herbertem, jeśli ten nie zjawi się tu wcześniej. Powieki opadły, Iwan zapadł w sen i przez sen usłyszał głos Kaszpariawicziusa, szorstkie odpowiedzi garbusa, śpiewny głos Danutę Kaziszirowny. Ściemniło się już, kiedy Iwan pojął, że Herbert już tu jest, że jego również słyszał i cała, jakby zarejestrowana w pamięci, podsłuchana rozmowa odżyła, nabrała intonacji i pełnego, tylko dla niego zrozumiałego, sensu. Herbert winał i dziękował Kaszpariawicziusowi - za mądrość i uczciwość, i jeśli wcześniej miał pewne wątpliwości, to teraz jest gotów przyznać całkowitą słuszość Litwinowi co do lojalności Rosjanina, albowiem gdyby ten ostatni był związany z bezpieczeństwem, Herbert zostałby schwytyany tam w lesie pod Modeną; to co zobaczył, zwali z nóg wszystkich szefów w Londynie. Leśni bracia, którzy donoszą przez radio o bezlitosnej walce z bolszewikami, siedzą kamieniem w ziemiankach i żrą to, co przywożą im z rejonowego wydziału bezpieczeństwa; typowa łubiankowska lipa, na którą niejedynemu raz dawali i dają się nabrać protektorzy antysowieckiego podziemia. Herbert (w głosie zaczął pojawiać się akcent) już wcześniej się tego domyślał, ale teraz całkowicie się przekonał, byle tylko dotarł do Berlina, a stamtąd porozumie się z kierownictwem, niech zerwą wszystkie kontakty z podstawionymi ludźmi! Kaszpariawiczius ostrzegł: Herbert może się spodziewać nieprzyjemności, która zwierzchność lubi się przyznawać, że dała się wykiwać - Herbert zgodził się z nim, po czym zaczął wypytywać o Iwana i Litwin beznamiętnie zreferował: jest ich dwóch, ci Rosjanie działają bardzo skrycie, kim są - dokładnie nie wiadomo, ale jedno jest pewne: z Łubianki nie wyszliby cało. Rozmowa była krótka, ale

pełna treści, zwinięta w kłębek, do czasu zalegała w pamięci jak smaczny kąsek, pozostawiając jakąś świetlistość - siedział z nią przy stole, pił razem ze wszystkimi samogon, garbus dał im na drogę słoninę i bochen porowatego chleba, Danutę Kaziszirowna pobłogosławiła wędrowców, Herbert pocałował ją w rękę, do Wilna trząśł się razem z Iwanem w szoferce, potem zniknął, Kaszpariawiczius wyskoczył wcześniej i pojawił się dopiero przed Moskwą. Złe nowiny, powiedział, Herberta ukatrupili na pewno swoi, nie ma wążliwości, żyjemy w okrutnym świecie, nie ma w nim przyjaciół ani wrogów, liczą się tylko prawa i obowiązki bezosobowe i bezduszne. Ogarnęły go wspomnienia - bez dat, bez nazwisk, sama gorycz: ojciec zabity, matka zabita, bracia rozproszeni po świecie, siostra wyszła za Kameczadała, a on nie jest żadnym Kaszpariawiczusem, zapomniał już, jak się naprawdę nazywa. „Ja także” - rzucił Iwan. Znów czekała ich zmiana dokumentów.

Klima zastał już samego - archangielscy krewniacy wyjechali do Feodozji, w domu ani okruszyny chleba, „Jan Krzysztof” otwarty na ostatniej części, na podłodze rozpostarty rulon tapety, na jej odwrocie Klim kreślił jakieś zakrętas. Stara go zwolniła, spółdzielnia ociemniałych proponowała pracę ślusarza. Trzy dni trwało przygotowanie dokumentów, zdążyli w porę - to jednak porządny człowiek - właściciel ich nieco wilgotnego piętrowego domu o dwie minuty drogi od milicji, która często potrzebowała świadka przy rewizjach pijaków, przypadkowo zatrzymywanych ludzi, czy różnych podejrzanych z nieliczoną gotówką w kieszeniach, wystarczyło zawołać gospodarza, a ten zjawiał się zaraz, podpisywał każdy protokół

i nie zgłaszał żadnych pretensji. Gospodarz właśnie usłyszał w milicji to i owo o swoich lokatorach, zapukał w nocy, obudził Iwana. Uciekli - z „Janem Krzysztofem” i z resztą dobytku, Klim strzegł najbardziej rulonu tapety, pojechali do Kijowa, byle jak najdalej od niebezpieczeństwa. Klim spał beztrąsko na górnej półce, nie odczuwał żadnych niedogodności przenosin, rozluźniony, wniebowzięty, miał dobry apetyt. Dziesięć dni przesiedzieli nad Dnieprem, Ukrainka karmiła ich barszczem z czerwoną papryką, potem ruszyli dalej, ku morzu. W Odessie spadły nagle deszcze, zrobiło się nieprzyjemnie, zamieszkali więc na wsi, w Bendercach, nieco na południe od miasta, Mołdawianie na wyścigi zapraszali ich do siebie, wynajęli jakąś szopę, pili za przyjaźń narodów. Iwan nie wyjmował z kieszeni kluczy od mieszkania na Rauszskiej, paliły, przypominały, wołały i którejś nocy (obaj nie mogli usnąć) podjął ostrożnie rozmowę o dalszym, sięgającym poza horyzont, życiu, nie takim co to hyc, hyc, po ziemi, ale płynącym spokojnie, w pracy dla dobra i w imię.. „Czego?” - parsknął ironicznie Klim. Iwan ciągnął dalej niezbyt konkretnie: ludzkość, nauka światowa, ich osobiste szczęście, wreszcie - nie mogą przecież przez całe życie poniewierać się po kraju i ukrywać się, trzeba jednak napisać kilka prac z teorii komórki, przeprowadzić serię doświadczeń, w ten sposób przygotować naukę do ogłoszenia oszołomiającego odkrycia i władza uzna wtedy Klima za obywatela, da mu laboratorium, uczniów, pieniądze, władza się ukorzy, świadczy o tym przykład Einsteina, którego Niemcy nie tknęli; wszystkich fizyków oszczędzili. „Ludzkość?” - spytał Klim tak, jakby pierwszy raz słyszał to słowo, odrzucił koc, usiadł, wziął ze stołu jabłko i zaczął mówić bez gniewu, ale z goryczą, potok

słów zrodzonych z cierpienia szemrał cicho. Ludzkość, mówił, jest niepoznawalna, ona nie

współlistnieje z inną ludzkością, nie może oceniać siebie, ani kierować sobą, nie jest w stanie siebie kontrolować, to baron Munhausen mógł wyciągnąć się z bagna, trzymając się własnego warkocza; a ludzkość jest zdolna do spojrzenia na siebie tylko od wewnątrz, oczami każdego człowieka, ilu jest ludzi, tyle jest ludzkości i on, Klim, nie ma zamiaru służyć tej ludzkości, ludzkość zniszczyła jego życie, poświęcił je bez reszty dla tej podwójnej spirali, zapłacił za ten kod genetyczny, wypisany teraz na tapecie, splugawionym dzieciństwem, śmiertelną nudą w rodzinie, gdzie bano się wypowiedzieć zbędne słowo, natchnieniem w Gorkim, kiedy myśl szybowiała pod niebiosa, tułaczka po lasach, gdzie każda gałąź, każdy sęk - to wycelowany w ciebie automat, dwa razy umierał w obozie u Niemców, polubił termostaty i inny sprzęt w laboratorium Meisla, przeżył wybawienia od aresztowań, a w tej piwnicy, skąd musieli uciekać, zaznał uniesień w szczęśliwych chwilach świętego zgłębiania tajemnicy, kiedy czuł się gwiazdą, zagęszczeniem materii, przenikniętym światłodajnym eterem! I za te wszystkie męki i rozkosze otrzymać jakąś tam nagrodę stalinowską? Bezcenne odkrycie oddać tym, którzy nie zaznali nawet setnej części tego, co jemu przypadło w udziale? Tym, którzy w ciszy gabinetów na próżno wyteżają swoje głupie mózgi? Niech sami poznają, co to natchnienie i śmierć. Ale on ma dość. Zrozumiał sens życia, ocenia je na podstawie komórki, białko to przecież ekskrementy DNA. I człowiek istnieje tylko dla wchłaniania i wydzielania, życie każdego człowieka - to kozie bobki, placki nawozu i, na Boga, niepotrzebne są wielkie słowa, wino jest tu dobre, jabłka smaczne, wo

da w Dniestrze ciepła - czegoż można chcieć więcej, nic im nie trzeba, gdyby tak mogli przez całe życie patrzeć w to mołdawskie niebo, ale ich wolność jest złudna, a każdej chwili mogą ich aresztować i posadzić za złamanie przepisów paszportowych, trzy lata obozu - oto, co ich czeka w najbliższej przyszłości, oto, dlaczego Klim prosi Iwana, by znalazł mimo wszystko tę dziewczynę, która dała mu walizkę na przechowanie. Niełatwo to wyznaczyć, ale tak bardzo jest mu potrzebna! To wstrętne i obrzydliwe - czuć zależność od kobiety, kiedy świetnie rozumie, po co mężczyzna jej szuka, jaka jest chemiczna natura tego fizjologicznego aktu zbliżenia. Ale widać tak mu już sądzone, Iwan się sparzył i on musi odcierpieć swoje, na własnej skórze doświadczyć sprzęgnięcia doznań i obrazów: ledwo spróbuje wspomnieć piwnicę, a jego ręka zaczyna drżeć pod dotknięciem palców dziewczyny, zapach perfum rozbudza pragnienia, dźwięczy muzyka... „Strauss” - podpowiedział Iwan i zawstydział się, zrobiło mu się smutno. Klim wydorósł, to już mężczyzna, nie żaden pędrak ani smarkacz, żaden niedołęga, którego raz po raz trzeba wyciągać z opresji, nabrał życiowego doświadczenia i obaj są teraz sobie równi, Klim patrzy nawet dalej i głębiej, kiedy odrzuca wszelką myśl o publikacjach i doświadczeniach: kto ich dopuści do nauki, jeśli tort dawno już podzielony, a porcje oznaczone, która komu ma przypaść; nikt nie pozwoli im nawet zbliżyć się do stołu, dziesięć razy usłyszą pytania o paszport, charakterystyki, zezwolenia, zażądają od nich podpisów tych, którzy aprobowują ich publikacje, decyzji na piśmie tego, co się zgadza i nie oponuje, zostaną zrewidowani i w końcu... „Ona ma na imię Helena, będziecie razem” - powiedział Iwan i wyciągnął pod światło księżycą fotografię, Klim

zmrużył oczy jak oślepiiony blaskiem; jego wargi wyszeptały „To ona”. Powiercili się jeszcze i

usnęli, a z samego rana poszli do miasta, postali w tłoku w księgarni, kupili, co trzeba i Klim przez tydzień uzbrajał się w wiedzę zgodną z paszportem, książeczką pracy i zaświadczeniem: teraz był nafcierzem na długoterminowym urlopie; Iwan postanowił pozostać na razie w dotychczasowej skórze. Pomyślnie dotarli do Moskwy, a tam - z dworca na dworzec i do Pieriejesławla, niezbyt daleko od stolicy, tam zamieszkali. Lata życia w ciągłym strachu, pod fałszywym nazwiskiem, wykształciły Klimę, zachowywał się naturalnie, nauczył się jak mówić z milicją, co opowiadać gospodarzom różnych pokoi, werand i mansard, nie zarejestrował się w wojskowej komendzie rejonowej, ale władza w mieście nie szalała, nikt nie walczył ze szpiegami, jedyna kompania pracy w całym rejonie zajmowała się osuszaniem czegoś. Iwan przez Jarosław dotarł do Leningradu, nie zastał Nikitina, ładniutka barmanka w piwiarni na Rasstannej powtórzyła Iwanowi jego słowa: „Powiedz, że pojechałem złożyć pokłon.” A więc był w Mińsku. Iwan z zazdrością, która go zaskoczyła, przyglądał się babce - jej powołaniem życiowym było nalewanie piwa do szkła o pojemności 0,5 litra. Zaprowadziła go na kwaterę do swojej babci, krzepkiej staruszki, zdolnej przetrzymać niejedną blokadę. Obserwacja prospektu Karola Marksa niczego nowego nie przyniosła, dziewczyna poszła na tańce w Wyborgskim Domu Kultury, pod jej parasolkę (padał deszcz) wciskał się elew Szkoły Marynarki Wojennej, lewą ręką przytrzymując szablę; matka dziewczyny trochę chorowała, nie wychodziła z mieszkania. Nikitin wciąż jeszcze nie wracał, ale podróż do Leningradu okazała się chyba pożyteczna; w Moskwie Iwan po

stanowił przejść się po swoich śladach, sprawdzić, czy nie zdeptały ich podeszwy tajniaków, czy nie szuka go moskiewska Łubianka, napuszczona przez Mińsk. Głupkowaty synek Mamuśki dostał pewnie inwalidztwo i pił bez opamiętania, a skąd się brały pieniądze, nie było potrzeby pytać, kiedy Iwan zetknął się z Mamuśką. Ledwo ją poznał, tak bardzo się zmieniła, teraz już nie musiała chować się za parawanem, żeby się przebrać - świetnie jej się powodziło; bardzo ją ucieszyło spotkanie z Iwanem, wzięwszy go pod rękę, szła obok wielkimi, męskimi krokami, odmłodzona - włosy z trwałą ondulacją, wargi skromnie podmalowane, ubrana jak kierowniczką z zarządu miejskiego, ale z napomknieniem: mogłabym jeszcze lepiej; bujna pierś, dobrze skrojony, szyty na miarę kostium podkreślał linię bioder i talię, czterdziestopięcioletnia kobieta o atrakcyjnej powierzchowności, co dzięki pieniądзом zaznała smaku władzy, nie ośmieliła się jednak zaproponować ich Iwanowi (przed dwoma laty wtykał jej niejedną paczkę trzydziestorubłówek, niby jako pożyczkę), miała w stosunku do niego inne plany i zamiary, w restauracji zachowywała się swobodnie, z godnością, śmiała się, ukazując poprawione przez protetyka uzębienie, umiejętnie posługiwała się nożem i widelcem, dawała do zrozumienia, że to dla niej nie rzadkość - jeść kolację w dobrej restauracji z eleganckim mężczyzną. O synu mówiła tak, jakby był jakimś dalekim krewnym, który zwałił się jej na głowę z zapadłej wsi, Iwan doszedł do wniosku, że Mamuśka wkrótce spławi synka do szpitala psychiatrycznego, albo załatwi jego wysiedlenie poza strefę stu kilometrów od stolicy, żeby jej nie przeszkadzał zbijać forsy; i teraz zgarniała ją z powodzeniem, ale rozkręciłaby interesy z całym rozmachem, gdyby zrzuciła z ramion niepo

rzebny ciężar i znalazła prawdziwego gospodarza, który zająłby się jej sprawami. Nie

zapropowała Iwanowi, by nim został, sama sobie tymczasem poradzi, to nie dla niego zajęcie, uważała swojego byłego lokatora za machera na wielką skalę, z uwagą wysłucha jego rad, szczerze za nie zapłaci; może Iwan mógłby jej znaleźć dorodnego zucha, który potrafi mydlić oczy kobietom około trzydziestu pięciu - czterdziestu lat? Praca nie jest uciążliwa i dobrze płatna, wymaga się od przystojniaka niezbyt wiele. Jedzie taki czaruś do Moskwy i w pociągu zawiera znajomość z niewykształconą, bogatą kobietą, po przyjeździe do stolicy zaprasza ją do siebie (Mamuśka dysponuje odpowiednimi mieszkaniami), śpi z nią, a rano idzie po gazetę, lub do sklepu, reszta to już nie jego kłopot, kobieta cała i zdrowa traci tylko to i owo ze swego mienia, ale przecież miłość wymaga ofiar, nieprawdaż? („Jeszcze jakich ...” - potwierdził Iwan, dolewając Mamuśce koniaczku). Bezpieczeństwo gwarantowane, uwodziciel otrzymuje 25% wpływów, przy czym wszystko będzie tak załatwione, że pokrzywdzona nie poskarży się milicji, wróci czym prędzej do męża, zapłakana, bo ją ograbiono! No więc, czy znalazłby się w gospodarstwie Iwana taki zuch? „Pomyślę” - skrzywił się Iwan i był należycie zrozumiany, Mamuśka nie próbowała nastawać, ani się nie obraziła, spoglądała na Iwana z oddaniem i bez ponaglenia zakomunikowała, że przez te dwa lata nikt się nim nie interesował. Iwan kiwnął głową z uznaniem, palił pociągał piwo i przypatrywał się swojej towarzyszce. Przerzuciła się, widać, z ogólnie przyjętej formy tego procederu grabieży na męską jego odmianę, w każdym razie musiała mieć rozległe kontakty - oto co należy wykorzystać, i fotografia Heleny Surkowej wyla

dowała na obrusie restauracyjnego stolika. Mamuśka popatrzyła na nią oceniająco, zagryzając dolną wargę i w oczekiwaniu dokładniejszych informacji podniosła wzrok na Iwana. Wysłuchiwała ich i kiwnęła głową. No cóż, rzekła, nawet stóg siana można przetrząsnąć, żeby znaleźć igłę, w wielomilionowej Moskwie jest mnóstwo takich prostytutek, ich taksa waha się od stu rubli na skwerze przy dworcu Pawleckim do fundy w bufecie hotelu „Moskwa”, towar bardzo chodliwy, rozchwytywany; niedawno milicja kolejny raz czyściła „Moskwę” i „Grand Hotel”, suki wywiozły kilkadziesiąt panienek, ale to śmietanka, można rzec, wyższe sfery, wszystkie bez wyjątku zarejestrowane w „półrublówce”, tej kurewce do nich daleko, poszukiwania zajmą dużo czasu, powierzchowność tej suczki (mały palec Mamuśki postukał w fotografię) nie daje szans na najlepsze miejsca w stolicy, to drobne, paskudne ladaco, trzusi się pewnie przy dworcach, znajdziemy ją, nie trzeba pieniędzy, przysługa za przysługę, Mamuśce piekielnie potrzebny jest mąż, oficjalny, nie faktyczny i zameldowany w innym mieście, wielkim mieście, będzie mu płacił za stempel w paszporcie i zgodę na to, by żyć oddzielnie, wymagają tego pewne okoliczności, których Iwan nie musi znać. „Będzie mąż” - powiedział Iwan, płacąc rachunek, zadowolony, że nie musi płacić większej sumy na opłatę Mamuśki; pieniędzy zostało już niewiele, całkiem mało, a lada dzień groziła reforma pieniężna, szeptało się o niej i mówiło, nie wiedział, co robić: wyjmować pieniądze z książeczek i kupować zawsze cenne szlachetne metale, czy dzielić „oszczędności” na drobne sumy i prznosić je na inne książeczki?

Te dni tak go wykańczały, że nie miał już sił na podróż do Pieriejesławla. Wracił do pokoju w Filach

i padał jak martwy na łóżko, nie rozbierając się nawet, w palcie, potem wstawał o północy budzony hymnem z włączonego u gospodyni radia, po ciemku jadł kolację, słuchał świerszczy w ciszy i próbował odgadnąć, co robi Klim, czym się żywi. Coś musi się stać, czuł to przez skórę. Którejś nocy serce nagle opadło w dół i zaczęło tłuc o przeponę, żołądek, wątrobę, Iwan uniósł się na łóżku, zęby dzwoniły o brzeg kubka z wodą, od okna i drzwi wiał grozą, ręka odruchowo sięgnęła do deski podłogi, pod którą leżał pistolet. Żadnej tabletki ani kropel pod ręką, nawet wódki nie miał, jedyny ratunek - to nowe pragnienia, dawne, które go pochłaniały, dopingowały, wywyższając, zostały spełnione, świat komórki stał się zrozumiały, a co robić dalej - może podpowie noc za oknem, wiatr, postukiwanie blachy na dachu. Nie ocala głowy w tym kraju, a ni on, ani Klim, już taki ich los, trzeba uciekać, najlepiej do Szwecji, stamtąd nawiązać kontakt z ludźmi, którzy bywali u Meisla. Belg żyje w Brukseli, świetnie mu się powodzi, jest szanowanym uczonym. Niemcy cieszą się uznaniem w swojej ojczyźnie, zapewne pamiętają asystenta Meisla, chyba przyjmą i otworzą drogę rosyjskiemu talentowi. Szwecję zaproponował Kaszpariawiczus, ale postawił twarde warunki - on sam pozostanie z boku, nie chce być w nic wmieszany, nikomu nie ufa, nawet jest zadowolony, że sprzątnęli Anglika, nie ma świadków i żadnego ekspedytora Herberta nie było. Uciekać, ale przecież nie wplaw, trzeba znów wszystko obmyślić, znaleźć ludzi, nauczyć się przynajmniej sterować jachtem i wcale nie wiadomo, czy Klim się zgodzi, zamąciło mu w głowie oszołomienie tą chwilą, kiedy z niszy przeciwpożarowej, jak ze ściany, wyszła powabna, przyzywająca go Helena Surkowa.

Tej samej nocy, na długo przed świtem, Iwan ubrał się i poszedł na kraniec Maziłowa, do domu, skąd samogon rozlewał się na File; za przegródką dyszała krowa, dwaj milicjanci, już dobrze zaprawieni, powitali go jak rodzzonego brata, poczuł się swobodniej i lżej, przyszło mu na myśl, że stojącym w garażu oplem można by było szybciej dojechać do Klimy, ale przy takim błocie i ciemnościach lepiej jednak pociągiem. Dojechał do dworca Białoruskiego, podle było na duszy; zdążył jednak na dworzec Jarosławski - trzy minuty przed odejściem pospiesznego. W Rostowie udało mu się złapać samochód jadący w jego stronę; nagle wyrzało słońce niewidziane od dwóch tygodni, Iwan włókł się brzegiem jeziora Pleszczejewskiego, starając się przywołać w sobie doznania tych dni, kiedy leżał nad morzem w Gudautach. Z łódek zarzucano sieci, gdzieś samotnie dźwięczały dzwony, reszta cerkiewek milczała. Iwan dwukrotnie przeszedł obok domu, rozejrzał się, odciągnął zasuwkę furtki. Gospodyni zaprosiła na smażoną rybkę, nie odmówił, spojrzął na nią pytająco i napotkał jej spokojny wzrok. A jednak - coś musiało się stać, poczuł to jeszcze w Maziłowie, na palcach pokonał kręcone schody (wynajmowali pokój na strychu), bezszelestnie otworzył drzwi. Na podłodze leżał rozpostarty papier milimetrowy, Klim zapisywał go dla niego tylko zrozumiałymi znakami (Iwan się przyjrzał), kawałkami odtwarzał ewolucyjną bombę, która wybuchła przed milionami lat, robił więc to samo co niegdyś na rulonie tapety, utopionym w Dniestrze, a przecież wyrzekł się nauki, pożegnał się z nią na zawsze, i teraz nie tylko zabrał się znowu do starych spraw, ale podejmował próbę powrotu do nich frontowym wejściem: styl rękopisu świadczył, że był przeznaczony do druku. Silna ręka Iwana chwyciła Klimę za kark i unio

śla w górę, w żółtych oczach brata migotało znajome szaleństwo: „Co się, u diabła, stało? Co?”



Klim zawierzał i wyrwał się, padł na papier milimetrowy, podniósł ołówek, pełne urazy sapanie wyrażało: „A idźże ty...” Nowych książek nie było, śladów kobiecej obecności nie dojrzał, nic się nie zmieniło; Iwan ruszył wzdłuż ścian, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, jak przy rewizji, nie odrywając oczu od wciskającego się w papier milimetrowy Klima i kiedy zbliżył się do łóżka, po drgnieniu ołówka zrozumiał, że tu trzeba szukać: pod poduszką, pod materacem. Wsunął rękę i znalazł wreszcie to, czego szukał - wycinek z gazety, i to centralnej, a nie miejscowej czy obwodowej; sądząc po czcionce z „Prawdy”, lub „Izwestii”, a więc lektury zawierającej wytyczne dla całego kraju, rozprowadzanej wszędzie niezależnie od okoliczności, obliczonej na to, że wymieniony w gazecie człowiek dowie się o tym, choćby był ślepy, głuchy, niemy i nie umiał czytać. Od razu znalazł słowa, które tak podekscytowały Klima, zaledwie jedno zdanie: „W latach przedwojennych nowe drogi utorowały prace K. J. Paszutina, wtedy jeszcze studenta uzdolnionego w dziedzinie genetyki”. Jakby już był - teraz, obecnie! - doktorem nauk. I ta chropawość stylu - „uzdolnionego w dziedzinie genetyki”. I chociaż autor - niejaki Iwanow - był jakoby pracownikiem Instytutu Biologii Eksperymentalnej, to zdanie zdradzało go bez najmniejszej wątpliwości, należało do kancelaryjnego języka, używanego zwykle w oficjalnych dokumentach podpinanych do akt śledztwa. Klima próbowano wywabić, zapraszano, by porzucił nieznaną Łubiance kryjówkę, by dał znać o sobie, odezwał się, a wtedy oni już rozkręcą swoją karuzelę, Klim powinien to rozumieć, a on tymczasem chce wpaść prosto w przygotowany potrzask.

I znów ręka Iwana oderwała brata od podłogi i postawiła pod ścianą, Iwan przemówił przez zęby, od czasu do czasu potrząsając Klimem, jakby go chciał przebudzić ze słodkiego snu, pouczał dumnie, że nikomu w tym kraju nie jest potrzebny, żadne pismo nie opublikuje artykułu bez akceptacji rady naukowej, bez towarzyszących mu opinii gładko gadających koryfeuszy, którzy na pewno nie przyjmą życzliwie pojawiającego się ni stąd ni zowąd konkurenta, cały jego elaborat odrzucą ci, którzy nazywają siebie formalnymi genetykami, gnębieni ideologią, wytkną autorowi brak wyraźnych filozoficznych pozycji, a cała banda w ogóle odrzucająca materialność genów, wścieknie się... Zdepczą cię - przepowiedział gniewnym szeptem, najgorzej jednak, jeśli przyjmą go z otwartymi ramionami, jeśli w gabinetach redakcyjnych zaczną go wychwalać; będzie mógł pobrykać; świeżo objawionemu prorokowi podsunie się apostołów, a potem KGB powiąże wszystkie nitki kontaktów w supeł i ogłosi odkrycie kolejnego spisku, na którego czele stoi najbardziej zawzięty wróg narodu radzieckiego, zdrajca ojczyzny - Paszutin, to on dobrowolnie poddał się do niewoli i wiernie służył okupantom; cóż to za wspaniała zdobycz dla Łubianki, będą za to Klimowi targać baby i wódeczkę do celi, naturalnie; co za pole działania otworzy się dla wszystkich urzędów i wydziałów w tych podłych sił bezpieczeństwa, ileż podległych spisków wymyślą, ileż główni będzie się tlić w oczekiwaniu na miechy, które rozdmuchają ledwo widoczne jęczyczki ognia w wielki wszechzwiązkowy, a może i światowy pożar, dwa pokolenia śledczych będą miały zapewnioną robotę, a dostarczy im jej prowokator Paszutin, uzdolniony nie tylko w dziedzinie genetyki. Potomni go przeklną, oplują jego grób!

Ledwo padły słowa o grobie, Klim wyteżył siły, odepchnął Iwana i zaczął mówić. Tak,

powiedział, jego nazwisko jest wyklęte, Klim Paszutin służył u Niemców, zdaje sobie sprawę, że nie ma wstępu do tej sowieckiej nauki, nie wciśnie się tam, ale maleńka wzmianka w prasie pobudziła w nim tak wiele uczuć i przeczucie! W pewien słotny dzień rozpląkał się nad brzegiem jeziora, ponieważ pojął, że ten dzień nie jest ostatni, lecz nie będzie długiego szeregu niekończących się dni i nocy, wkrótce nastąpi przedśmiertna chwila - Klim umrze i nie sprzeciwia się temu, chciałby jednak pozostać wiecznie żywym w tym niematerialnym świecie, jakim jest królestwo myśli, na cmentarzu cierpień, będących udziałem luminaacji intelektu. Od dzieciństwa żył pod urokiem męczeństwa, którego zaznali najwięksi ludzie nauki, oni nie umarli, żyją w ludzkich wyobrażeniach, są jak znaki wodne na banknotach, na każdej stronie dawno napisanych ksiąg ich oczy, brwi, stopy ich nóg - przetrwały we wzorach i ró wnaniach, ich pasje są po dawnemu młode, a pomyłki - wspaniałe, oni ze sobą obcuja, na przykład Linneusz i Arystoteles; Lavoisier i Tukidydes, wszyscy oni zrównani śmiercią i powszechną ludzką pamięcią - rozmawiają ze sobą, spierają się, oburzają, żenią się i wychowują dzieci - wszystko tam w zaświatach, gdzie nie ma już śmierci. Klim chce być z nimi, powinien pomówić z Gregorem Mendlem i Rudolfem Virchowem, musi delikatnie wytknąć Karolowi Darwinowi jego ogólną wiarę w dobór naturalny, nie zawadziłoby też szepnąć to i owo Lamarckowi; ale wejść do tego świata można tylko za przepustką, którą zawsze była sława światowa, planetarna, herostratesowa - tak, tak, wszyscy, którzy znaleźli się na tamym świecie, coś zniszczyli, coś podpalili, oto dlaczego

powinien napisać siedem - osiem prac, znaleźć współautora - prawomyślnego obywatela o nieskazitelnej przeszłości, namiętnie żadnego sławy i podzielić się z nim laurami odkrywcy.

Kiedy Klim jął rozprawiać o tym pozaziemskim, książkowym, wymyślonym świecie, Iwan omal nie wrzasnął: „A kto ci tam będzie nosił paczki!?” ugrzył się jednak w język, przerażony i głęboko dotknięty, albowiem Klim chwilami mylił się i mówił o sobie jak o kimś obcym, jakby już unosił się nad sobą i nad Iwanem, którego wcale nie zamierzał wpuścić do świata cieni, nie widział dla niego miejsca w tym rajku bez bezpieczniaków - dla niego, który matematycznie udowodnił parzystość DNA. Brat zwariował! Stracił rozum! Popadł w obłąd! I to z jego winy, z winy Iwana, nie wolno było w żadnym wypadku zostawić Klimę samego, bez opieki, bez jakichkolwiek radości życia, jakie by ono było. Trzeba mu baby, koniecznie baby! Ciepłutka babeczka z bujną pierśią i głęboko rozpiętą bluzką sprawi, że zapomni o tych bredniach, o światowej sławie, znalazł się myśliciel, taka jego mać a nijak nie potrafi zrozumieć, w jakim kraju żyje: przecież gdyby ktoś napisał instrukcję na temat walki z karaluchami i muchami i przykleił ją na słupie, po godzinie przyjechaliby aniołowie - stróże tutejszego rajku i obwieściliby najazd wrogich karaluchomusznych hord. To prawda, że bez Łubianki model DNA nie powstałby pewnie tak szybko, ujadanie wś ciekłych psów ponaglało ich myśli, ale teraz nie czas tłumaczyć bratu nader oczywistych prawd, trzeba uronić fałszywą łzę i potakiwać mu: tak, tak, pisz, twórz, spełniaj swój obowiązek zbawcy ludzkości, który ją wyzwoli z niewiedzy. „Braciszku! - roztkliwił się Iwan pod naporem serdecznych uczuć. - Pójdę z tobą do końca...”

Klim miał obiecaną niespodziankę. W najbliższych tygodniach spotka się z tą dziewczyną, nakłamano mu, że zaglądała do piwnicy, szukała swego wybawcy, prosiła, by mu przekazać, że

wyjeżdża na miesiąc lub dwa, a po powrocie da o sobie znać W rzeczywistości Mamuška nie okazywała szczególnej gorliwości w poszukiwaniach, lecz naciskać na nią teraz byłoby nierozsądnie: zbliżała się reforma pieniężna i każdy po swojemu starał się urządzić sobie tę nieuniknioną przyszłość, Iwan myszkował po stolicy w poszukiwaniu nowego schronienia. Nieoczekiwanie znalazł je w Mytiszczach, ta sama baba ze stalowymi zębami, co potrafiła łyknąć trzy kufle piwa za jednym zamachem, zachrypniętym głosem poprosiła o papierosa, popatrzyła na niego i mrugnęła: „Za mną!” Do Mytiszcz posłał Iwana Kaszpariawiczius, miał już wracać, a konszachty z pijaczką, która odkiblowała zesłanie, nie należały do bezpiecznych, niemniej jednak poszedł za nią, postawił babie wódkę i jak na skrzydłach pognął do Moskwy, po drodze zerknął na oczekujący Klima pałac - Dom Kultury w Pierowie; karteczka do dyrektora, też byłego zesłańca, uczyniła go dozgonnym przyjacielem Iwana i Klima, intratne i nieuciążliwe miejsce było zapewnione - Klim mógł choćby nazajutrz się przeprowadzić z całym dobytkiem na służbową powierzchnię mieszkalną, tymczasem zameldowanie da się przedłużyć, w milicji byli swoi ludzie, dyrektor miał sposób bycia pomysłowego organizatora imprez i oczy zdziwionego zmartwychwstaniem trupa. Klim nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie opuści Pieriejesławł - jedną księgarnię na całe miasto, która nie wiadomo dlaczego ofiarowywała wyłącznie dwa tematy: bohaterskie czyny bałtyckich marynarzy oraz osuszanie jakichś bagnistych nizin. Do Klubu dotarli

pod wieczór, na scenie odbywała się próba zespołu tanecznego, w foyer i na korytarzach grzmiały trąby, miejscowy wirtuoz ćwiczył gamy na fortepianie, chłopcy z wielką powagą kleili modele samolotów; strome schody w dół zasuwę i kłódki na magazynie sprzętu sportowego, zakręt w prawo, zakręt w lewo, ciurkanie wody z zepsutego rezerwuaru, drzwi obite blachą, a za nimi przytulny pokój, szczyt marzeń - pierwszorzędna suterena, szafa, stół, nocny stolik, trzy krzesła, łóżko z metalową siatką - miejsce nocnego wypoczynku ślusarza, dozorcę i jeszcze tam kogoś, oraz nie wiadomo dlaczego palacza, mimo centralnego ogrzewania. Brakował o tylko Heleny Surkowej i pewniejszych dokumentów, a Klim mógłby żyć długo i szczęśliwie w tym ognisku kultury. „Hurra!” - wykrzyknęli obaj i każdy zajął się swoją robotą, Klima drażniły zawsze, wyprowadzały z równowagi wszelkie piski, trzaski, zgrzyty, przyniósł więc drabinę i naprawił rezerwuar, Iwan skradł w pracowni sztuk plastycznych plastelinę i zrobił odciski kluczy do wszystkich drzwi i zamków. Następnie pospieszył do oczekującej go Mamuški, sprawdził, czy dokoła jest czysto, czy właścicielka spelunek nie przyciągnęła kogoś za sobą lub z sobą? Z wyniosłą miną siedziała przy butelce „narzanu”, na widok Iwana ożywiła się, zawierciła się niecierpliwie, pilno jej było oznajmić swemu dobroczyńcy najświeższą pożądaną nowinę. „Znalazłam!” - wypaliła, po czym opadła na oparcie krzesła, jakby dopiero co podpisała wyrok śmierci. W „Metropolu” czy w „Nationalu” od razu rozpoznano by profesję Mamuški, ale tu, w „Dynamo”, uchodziła za jakąś kierowniczkę i kelnerzy zachowywali się uniesienie. Przy niewielu tylko stolikach siedziały zajęte swoimi sprawami pary. Iwan słuchał i patrzył na śnieg za oknami, na

przebiegających narciarzy: cierpiał i cieszył się, smucił się i radował, nabierał szacunku dla prostoty ludzkiego życia; dowiedział się, że dwaj lejtnanci, przyzwyczajeni do wybryków w Berlinie,

tu, w Moskwie założyli się, że uprowadzą samochód Ambasady Brytyjskiej, na wybrzeżu u Sofijskim, na dowód dokonania tego czynu pokazywali zabrane z bagażnika pudła z bielizną, odzieżą i obuwiem; po wielu złodziejskich melinach krążyły zagraniczne ciuszki, ale nikt nie kwapił się do ich kupna, wiadomo było, że Łubianka wie o każdej skradzionej szmatce, a jak one trafiły do Surkowej - to już Iwan sam ją sobie o to zapyta. Z wdzięcznością uściśnął rękę kobiety, która dzięki własnemu rozumowi i odwadze wydobyła się z bagna po to, by pogrążyć w nim innych, głupich i tchórzliwych; potrafił ocenić także to, że ani razu nie zaproponowała mu siebie i tak się już złożyło, że okazała się prawdziwym przyjacielem, wiernym druhem; Iwan wsadził oddanego współbojownika do taksówki, a sam przystąpił do akcji; obszedł cały rejon Dolnej Masłowki, zajrzał na podwórze domu, gdzie lubieżni faceci tracili pieniądze i ubranie, gdzie szanowano jednak specjalną część Kodeksu Karnego FSRR: osłaniając wstydlive miejsca czapkami i kapeluszami, samcy zwiewali na oślep, byle nie na milicję. Meta należała do RityWróżki, która zginęła gdzieś bez śladu; trzy pozostawione bez dozoru dziewczyny przygarnęły nie wiadomo skąd przybyłą Surkową, skapowały, że Helena może ściągnąć bogatszych klientów, umiała przecież „mówić wiersze”, początkowo wybaczały jej nawet, że nie chciała kłaść się pod tych, których złowiła, wystarczyło jednak, że przyznała się do dziewictwa, do tego, że jest „niewydymką”, a koleżanki po fachu wpadły we wściekłość, pojęły - oto, jeśli wszystkie

cztery trafią na milicję, Helena Surkowa się wykręci - dziewictwo nie da się pogodzić z tym, co działo się w mieszkaniu na parterze. Postanowiono pozbawić ją tej łagodzącej winę okoliczności, lecz wszelkie próby zbliżenia się do celu napotykały na opór nie do przebiccia, nie pomagała ćwiartka, nie mówiąc już o przyrodzonej męskiej broni. („Leży struchlała ze strachu - oburzała się w przystępie urzędowego rygoryzmu Mamuśka - ale tę swoją umiłowaną zaciska jak pięść...”). Surkowa tak wściekle się opierała, że w końcu omotała trzy kobyłki i obdzierała je bezlitośnie; dziewictwo ją uratowało, kiedy milicja zgarnęła dziewczyny; szykowała się poważna sprawa, koleżanki Heleny zwabiły do meliny frajera, który wygrał na wyścigach kupę forsy, a takich szczęśliwych graczy ma na oku nie tylko milicja, ale i sami dżokeje; Surkowa się wymigała, milicja zwolniła świętoszkę, ale za wysoką cenę - musiała pokazać paszport z meldunkiem. Dziewczyny uniknęły rozprawy sądowej lub wysiedlenia dzięki wyścigowymmacherom: niewielki pożar w komisariacie zniszczył wszystkie protokoły i akta, o czym Surkowa nie wiedziała, umknęła natychmiast i gdzieś się zaczęła; o Domu Towarowym Mamuśka nic nie słyszała i wypytywać ją o to nie byłoby bezpiecznie, nie miała też pojęcia, z jakich powodów Surkowa bała się mieszkać u siebie w domu, z dziewictwem rozstała się jednak - trafiła na bardziej stanowczego zucha (obyło się bez Bacha, leniwie pomyślał Iwan, Mendelssohn też nie był potrzebny), pracowała w pojedynkę, całkiem niedawno jednak widziano ją z bardzo dziwnym typem, który wynajmuje pokój w zaułku Ławrowym, albo gdzieś w pobliżu - tam też z Dolnej Masłowki skierował się Iwan, bez większej nadziei na spotkanie z Leną Surkowa w porze, kiedy robotnicza

i urzędnicza Moskwa nie przesiaduje w domach, i zdębiał z przestrawu, dał nurka do sklepu z pieczywem, przyszedł trochę do siebie, aż w oczach mu pociemniało, opadł go taki rój myśli: zobaczył bowiem tego obrotnego blagiera, członka rady zakładowej, przez którego Klim omal nie wpadł w

histerię, tego samego komedianta, co napędził im takiego strachu, że uciekli z wygodnej i bezpiecznej piwnicy! I co gorsza - pod rękę z nim szła Helena Surkowa, ubrana jak skromnia z generalskiej rodziny: przyzwoite paletko z lisem, wysokie botki, karakułowa czapeczka, jej towarzysz (i kochanek oczywiście!) wyglądał na człowieka, który rozprowadza bilety teatralne, ale Iwan nie miał wątpliwości, że był złodziejem, bandytą, mordercą; od owego późnego poranka podjął obserwację tej parki, przyglądał się ich wyteżonej, zmudnej pracy: codziennie do ósmej lub dziewiątej wieczorem kończyli ją kolacją na dworcu; i właśnie tam, z damskiej toalety Helena dzwoniła do domu - w jedynych chwilach, kiedy nie była pod nadzorem kochanka. Potem taksówką dojeżdżali do swojego zaułka i znikali w ciemnościach podwórza, a Iwan pędził swoim oplem do Fil, pragnąc jednego - pęk kluczy wrzucić z mostu do wody i od razu zawrócić prosto do Pierowa, zabrać Klima, zostawić Moskwę i natychmiast - uciekać na Litwę, tam, gdzie zawsze przestępcy - przeciwnicy monarszej władzy znajdowali schronienie! I po diabła im te międzykomórkowe procesy, do dupy z nimi, trzeba się ratować, a niebezpieczeństwo tkwiło chyba w nim samym, od kilku tygodni Iwan zaczął odczuwać chłopięcą tęsknotę za laniem Panteleja, żeby pogryźć wargi do krwi i jeszcze raz przekonać się o tryumfie dobra i sprawiedliwości, jakaś niewola nawiedzała duszę, gdy elegancko ubrany obracał się przed lustrem przy

szatni, a następnie wchodził do sali restauracyjnej „Moskwy” lub „Grand Hotelu” i niedbale, z wyniosłością znawcy studiował menu, kątem oka rejestrując tych, którzy ze służbowego obowiązku szpiclowania siedzieli przy stolikach, pewnego razu zwabił takiego agenta, pociągnął za sobą niemłodego już tajniaka do przygodnej bramy, gdzie spuścił mu lanie, bił z jakimś radosnym rozjuszeniem.

Klucze pozostały jednak w kieszeni, nie pochłonięła ich rzeka Moskwa; cały tydzień zszedł mu na obserwacji, choć już na trzeci dzień Iwan zdał sobie sprawę, że widywanie Surkowej codziennie rano sprawia mu radość i że ona i jej kochanek szykują się do skoku - krwawej grabieży z bogatym łupem, mają też na widoku mieszkanie pełne antykwarycznych przedmiotów i szlachetnych kamieni, gdzie też poleje się krew, a następnie, zgodnie z regułami bandyckiego stylu, zostanie sprzątnięta Surkowa. Wieść o rabunku w „Damskiej konfekcji” obiegła wszystkie złodziejskie kręgi, idea rzucona w masę została podchwycona, parka z Zaułka Ławrowskiego opracowywała zapewne jeden z wariantów, przy tym Surkowa nie wiedziała chyba, że trupa młodej, kapryśnej żony podpułkownika wyłowiono z Newy.

Rozdział

czwarty

Ubrana odpowiednio do zaplanowanej roboty para wyżyła z nory, przy końcu zaułka rozdzielali się, jakby jedno drugiego nigdy nie znało i nie widywało; jak obcy ludzie siedzieli przy różnych stolikach w kawiarni przy placu Tagańskim, zjadali obfite śniadanie i obiad zarazem; po kuchni na Rauszskiej nietrudno się było domyślić, że Surkowa to marna gospodyni, nie umie gotować ani piec, a w nieurządzonej pewnie norze nie znajdzie się nic prócz chleba i wrzątku. To oddzielne spożywanie posiłków miało swój sens: parka osobno poznawała obecnych na sali, z niektórymi nawiązywała przelotne, nieobowiązujące znajomości, czym szczególnie gorliwie zajmował się przyjaciel, człowiek

typu Diwaniowa, udający ważniaka, mającego do czynienia z jakimiś tajemnicami, dawał do zrozumienia, że za jego słowami kryje się coś poważnego, pozwalał się domyślać, że jest uzbrojony, i to zgodnie z prawem, cieszy się poparciem pewnych wpływowych sił, a jakich - „to już sam pan powinien wiedzieć, mój drogi!”. Niegdyś w Leningradzie piękna matka Iwana nazywała pogardliwie szelmami swoich wielbicieli, którzy pustkę duchową maskowali słowami i pozą. Pod tym przewiskiem zanotował w pamięci przyjaciela Surkowej, wiedząc doskonale, że owe miny i gesty osłaniają złą wolę i wyrachowanie, a pod pilśnio

wym kapeluszem lęgną się plany zbrodni, do których przywykł, spoglądał na ludzi jak na tymczasowo i to z jego łski żyjących, nigdy nie wyprowadzał go z równowagi, gdy ktoś go popchnął albo zwymyślał na ulicy, wiedział, że każdemu może odpłacić kulą, lub nożem, może zabić człowieka z byle jakiego powodu - dlatego był dla wszystkich tak samo uprzejmy. Przesiadanie w kawiarni na Tagance miało jednak określony cel, pewnego razu Surkowa tak umiejętnie wybrała stolik, że musiał się do niej przysiąść wielki, niechlujny babsztyl; dawna członkini amatorskich zespołów artystycznych odegrała przed nią całą scenę: długo i gorączkowo grzebała w torebce, z lękiem, rozglądając się ukradkiem, jakby stwierdziła brak portmonetki z pieniędzmi, skradzionej lub zostawionej w domu, po czym zaczęła obracać noszony na serdecznym palcu pierścionek z kamieniem, przeznaczony widać na sprzedaż lub pod zastaw, co wywołało ostrożne zainteresowanie babsztyla, pakującego do ust ciastko. Nie kupił a pierścionka, ale Szelma poszedł za nią i ustalił, gdzie mieszka, po czym wszedł do budki z automatem telefonicznym i długo dzwonił do kogoś, zasłaniając ciałem biegnący po tarczy palec i nie spuszczać oczu z Surkowej, która na niego czekała. Po drugiej po południu wspólnicy przystępowali do swego podstawowego zajęcia - inscenizacji bezowocnych zakupów w drogich sklepach komercyjnych, odgrywali tam całe sztuki teatralne, poszczególne sceny i obrazy miały różne warianty, ale udział brały zawsze te same osoby: kasjerka, Szelma, Surkowa, dyrektor sklepu. Pięć minut wcześniej od Surkowej, jej przyjaciel wykupywał paragon i szedł z nim do lady, a następnie po jakimś nieporozumieniu ze sprzedawczynią wracał do kasy, podchodząc do niej w chwili, gdy

skromnie stojąca w kolejce Surkowa podawała wysokość sumy i kładła pieniądze, a te mieszały się z pieniędzmi, które kasjerka oddawała Szelmie. Wybuchał spór, Szelma albo sam wrzeszczał na Surkową, że jakoby zabrała jego pieniądze, lub przeciwnie - potulnie, a nawet z szacunkiem wysłuchiwał jej krzykliwych pretensji. W następnym sklepie scena się powtarzała, ale ze znacznymi zmianami, teraz Surkowa pchała się bez kolejki do kasy („Towarzysze, tak mi się spieszy, dziecko zostało w domu samo!”), a Szelma grał rolę mężapantoflarza, którego zarobki są pod srogą kontrolą kłótlivej małżonki. Niewielkie awantury tu i tam przerażały się w zacięte bazarowe kłótnie, nigdy jednak nie dochodziło do wzywania milicji; zwykle z pomocą kasjerce spieszył dyrektor sklepu, prowadził do siebie oboje klientów, by obejrzyć niezrealizowany paragon, sprawiedliwie rozstrzygnąć spór, godzić rozszłoszczonych wrogów; te wprawki na zadany temat pozwalały przyszłym rabusiom poznawać psychologię zmęczonych już pod koniec dnia kasjerek i buchalterów, szykujących pieniądze do inkasa, dawały możliwość łażenia po korytarzach i schodach na zapleczu sklepów,

wypatrywać i przewąchiwać, Szelma wchodził także na podwórze, obserwował, co dzieje się za oświetlonymi oknami administracji, a Surkowa stała na „lipie”. Szykował się napad na od dawna wybrany i oznaczony sklep, tam scenek nie odgrywano; pobieda inkasentów zatrzymywała się na ludnej ulicy, a wspólnicy Szelmy wjechaliby samochodem na podwórze i tam pognałaby parka ze zrabowanym dziennym utargiem sklepu, na pół godziny przed przybyciem inkasentów. Przygotowania przeciągały się, lada dzień miała gruchnąć reforma pieniężna i nie byłoby sensu kraść dziś worka z forszą, jeśli nazajutrz zmieści

łoby się to w portmonetce! Po każdym spektaklu w sklepie Szelma zabierał Surkową, żeby od razu dokonać jego oceny, odbywało się to zwykle na ławce na skwerku; spacerujące z wnuczkami babcie popatrywały z dobrodusznym wyrzutem na klóćącą się parę małżeńską, Helena dawała wiele powodów do niezadowolenia, rozpierała ją wygórowana miłość własna, aż do utraty rozsądku, do głupoty; potrafiła przez pewien czas wydawać się piękną albo brzydulą, świetnie panowała nad swoją powierzchownością, zmieniała ją w zależności od potrzeb, odgrywała to wolną od matczyńskich kłopotów studentkę z innego miasta, to krewką bojową babę, ale często zapominała, że to tylko gra, komedię Szelmy przyjmowała poważnie i zaczynała wrzeszczeć przy kasie, psując reżyserię, na dodatek lubiła ubierać się dobrze, bogato, akurat nieodpowiednio do roli pokornej osoby. Iwan, popatrując z daleka na aktorów przy kasie i potem, gdy się zapalczywie wzajemnie oskarżali, zadawał sobie pytanie, czy czasem nie zwariował, angażując wszystkie siły, by zdobyć mieszkanie, a w ślad za tym meldunek, o ileż łatwiej byłoby wynająć pod Moskwą willę, posmarować gdzie trzeba - i lepszego schronienia dla Klimy by nie znalazł, mógłby tam sobie nawet urządzić laboratorium. Zadawał sobie pytanie, ale utwierdzał się w decyzji: nie, tylko to mieszkanie jest potrzebne, nie puste oczywiście, lecz z kobietą, córką sławnego uczonego, która zacznie zapraszać do siebie przyjaciół zmarłego ojca, zapozna ich ze swoim mężem, to znaczy z Klimem, pod pięcioramiennym żyrandolem w wielkim pokoju będą się odbywać herbatki, potoczą się rozmowy o Schrödingerze i Weismannie, samego Szmahauzena można będzie posadzić u szczytu stołu - i Klim nabierze ducha, odetchnie powietrzem na

uki; tak bardzo potrzebna mu dyskusja z biologami, fizykami, chemikami. Niedawno Iwan znalazł w skrzynce Klimy podręczniki dla dziesiątej klasy i warunki przyjmowania na wyższe uczelnie, Klim wygadał się, że chce pójść do szkoły wieczorowej, nie chodziło mu oczywiście o wiedzę, lecz o obcowanie z ludźmi, którzy jej pragną. Tak, właśnie takie mieszkanie im potrzebne, tym cenniejsze, że ma dodatkowo zalety specjalnego rodzaju - jest położone w rejonie wielokrotnie przeczesanym, sprawdzonym przez służby bezpieczeństwa, obok znajduje się Instytut Przemysłu Lekkiego, kominy i budynek „Mosenergo”\*\*, sztab Moskiewskiego Okręgu Wojskowego, dom mieszkalny pracowników KGB na nabrzeżu Maksyma Gorkiego, trzy hotele, do których przyjmowano tylko za zezwoleniem służb, wreszcie widok na Kreml, co nie każdemu jest dane... Bardzo piękne mieszkanie! Surkową też do niego ciągnie, dzwoni, sprawdza, czy ktoś w nim jest, nerwy zaczynają jej wysiadać, któregoś dnia wydudliła w bramie butelkę, po czym zawadiacko rzuciła ją w śnieg.

Surkową trzeba porwać - przyszło mu na myśl, i Litwin, o nic nie pytając, obiecał pomóc: chyba

znów los zaczął im sprzyjać; po raz pierwszy Iwan zanocował na Rauszkiej, przywiózł do mieszkania jedzenie i picie, sprzątnął: tu przywiezie porwaną z meliny Helenę Surkową, tu ją przesłucha; w tych ścianach postawi jej warunki: wybieraj - albo Łubianka, albo zostajesz z nami; to znaczy całkowicie podporządkuje się mężowi - czyli Klimowi. Bolszewicy wiecznie zajęci wojnami i walką klasową dobór małżonków puścili na żywioł, jak dotąd jeszcze nie ustalają, kto z kim ma prowadzić razem gospodarstwo domowe i jaki kolor oczu powinny mieć dzieci poczęte

w oficjalnym związku małżeńskim; władza nie przeszkadza (i to jest jej grzech!) we współżyciu osób nie połączonych przez Urząd Stanu Cywilnego w „komórkę komunistycznego społeczeństwa”. Jak dotąd, pozwala się na wiele rzeczy, w każdym razie mąż, nie zameldowany na powierzchni mieszkalnej żony, ma prawo z nią spać i w ogóle żyć razem, co też należy wykorzystać: tu, w tym mieszkaniu, Klim znajdzie swoje miejsce.

Litwin okazał się niepotrzebny, porwanie odbyło się nieoczekiwanie, gładko i pomyślnie, do czego przyczynił się sam Szelma; już pod sam koniec pracowitego dnia, zaledwie sto metrów od ich kryjówki, wlaź na podwórze, zainteresował go samochód z artykułami żywnościowymi, który o tak późnej porze przyjechał z dostawą. Przywieziono mięso, ładowacze otworzyli już szeroko skrzydła drzwi chłodni, opuścili ocynkowaną klapę, po której miały ześlizgiwać się w dół całe zamrożone tusze, a taki rozładunek - w porze inkasa! - mógł pokrzyżować plany grabieży w tych właśnie wytypowanych już delikatesach; Szelma chciał się jak najszybciej dowiedzieć, czy to przypadkowa dostawa, czy zmieniono grafik dostaw mięsa. Helena została na ulicy. Iwan, wśliznąwszy się na podwórze, pojął, że los mu sprzyja i wzywa do działania: opel stał obok, na podwórzu było ciemno choć oko wykol; zamachnął się - i Szelma poleciał na rynnę z rozwaloną czaszką. „Jesteś aresztowana, Surkowa!” - powiedział ostro Iwan i poprowadził ją na sąsiednie podwórze, do opła. Pokazał jej pęk kluczy, co ją tak oszołomiło, że do samego domu milczała, tym bardziej przed drzwiami, ale nie straciła odwagi i bezczelności, ściany rodzinnego domu dodawały jej otuchy, zrzuciła palto i zasyczała wyniośle: „A kim pan właściwie

jest?... Zaraz zadzwonię po milicję!” „Dzwoń - zezwolił Iwan - przyjadą i spytają, gdzie ta angielska bielizna i jak ona do was trafiła” - taki obrót rzeczy oczywiście jej nie odpowiadał, a kiedy usłyszała o pierścionku z kamieniem - całkiem straciła rezon; próbowała teatralnie łkać i załamywać ręce w „szaleńczej rozpacz”, ale widz pozostawał niewzruszony jak głaz, co nie dawało nadziei na ratunek, w perspektywie rysował się najwyższy wymiar kary: ten babsztyl, co przysiadł się do niej w kawiarni, przez cały czas wojny pracował w BEK - w biurze ewidencji i kontroli - tu przywożono do zniszczenia zrealizowane w sklepach talony kartek żywnościowych: głodny czas walki część ich wysyłał do powtórnego obiegu, miliony same pchały się do kieszeni, babsztyl zwolnił się z pracy w zwycięskim czterdziestym piątym roku, zmieniła nazwisko, dwukrotnie się przeprowadzała - dała się skusić na pierścionek, widać nie wszystkie jeszcze pieniądze włożyła w złoto i drogie kamienie, po które wybierał się do niej Szelma, a tam nie obyło się bez krwi, czego domyślała się Surkowa. Chciała wywołać współczucie, jęła biadać nad zmarnowaną młodością, ale umilkła, cała zamieniona w słuch: włączone radio nadawało komunikat o reformie pieniężnej. „Dwadzieścia pięć tysięcy...” -



odpowiedziała, gdy Iwan zapytał ile by się jej należało, gdyby udał się napad na delikatesy. „Dam ci dwa razy tyle” - oświadczył. „Aż tyle za jedną noc? Tak cię przypiliło?” Powściekała się jeszcze trochę i usnęła. Iwan wsłuchiwał się czujnie we wszystkie szmery, w nocy trzy razy chodziła do ubikacji, co przywodziło na myśl podejrzenie o chorobę nerek, trzy dni upierała się, Iwana jakby zamknięto w klatce z pumą drapieżnik oprócz mięsa żądał alkoholu, on jednak liczył na meble, ściany, rozkład pokoi - na to

wszystko, do czego przywykła przez wiele lat. I nadzieje go nie zawiodły, Surkowa wróciła do dawnych czasów, to i owo o sobie opowiedziała. Latem ubiegłego roku wstąpiła na uniwersytet moskiewski, poszła już nawet po podręczniki i tam, przy bibliotece, złapał ją człowiek z Łubianki i zaproponował współpracę ze służbami: poprosiła o czas do namysłu - i w panice pobiegła do znajomych ojca po radę, wszyscy ci ludzie zgodnie ją odepchnęli, nikt nawet nie chciał wysłuchać, w końcu sama postanowiła: odebrała papiery z uniwersytetu i ukryła się; nie związana z młodzieżą studencką nie była Łubiance potrzebna, zapomną o niej - myślała. O Dolnej Masłowce nie rozmawiali, Szelma chciał się z nią rozliczyć zagraniczną odzieżą, przebrała się i uciekła, nie została u niego, okpiła go; skąd te zagraniczne ciuchy, pantofelki i inne rzeczy - jak one trafiły do człowieka, w którym wzbudziła pożądanie, nie wiedziała, zdawała sobie jednak sprawę, że agenci KGB wiedzą o każdej szmatce z jakoby uprowadzonego wozu. Iwan sam siebie pochwalił za domyślność; miał zamiar podarować ciuchy Mamuśce, ale w porę się połapał; w każdym razie cały ten majdan trzeba zniszczyć, a przy okazji tam, w Mazibwie, wyciągnąć spod komina pieca książeczki oszczędnościowe, obliczyć, jaką sumą dysponuje, na ile lat starczy pieniędzy na utrzymanie Klima razem z tą zachłanną Heleną Surkową, której prawo odcięło źródło dochodów, drogo ją kosztowała ucieczka z uniwersytetu; ojciec w czasie wojny został generałem, po jego śmierci córce przysługiwała renta: albo do pełnoletności, albo do ukończenia wyższej uczelni. Surkowa nie odważy się pójść na studia, pracować też nie zechce, wiedziała już jednak, że będzie musiała wyjść za mąż za nieznanego chłopaka i, jak

się wydaje, pogodziła się z losem. Po powrocie z Fil zastał ją w kuchni, czytała „Książkę o zdrowym i smacznym pożywieniu”; „A chleb kupiłeś?” - usłyszał Iwan, odpowiedział i zamilkł, stał i nie ruszał się. Nie zdejmował palta, dopiero teraz pojął, jak bardzo się spieszył, jak bardzo chciał jak najszybciej znaleźć się w tym mieszkaniu i, co go przeraził o, zobaczyć to ładniutkie ścierwo, które sam znalazł, teraz poda mu jedzenie, które sama przygotowała, a co dalej - tu przypomniał mu się koniec czterdziestego pierwszego roku, wieś, gdzie zanocował, wracając od Niemców do oddziału, gospodyni, koślawa i zezowata, ale jeszcze przy kości, dała mu jeść, po czym zaproponowała mu raptem, żeby został na długo, na stałe i żył z nią jako mąż, a kiedy przypomniał z uśmiechem, że do założenia rodziny potrzebna jest miłość, pokraka mądrze westchnęła: dziś się najesz, jutro się najesz, a tam, gdzie są garnki z kapuśniakiem, koryto z pieluchami też będzie. Umył ręce, usiadł, zupa była taka sobie, panienka nie miała jeszcze wprawy, zrobić kotlety to nie to co ukraść portmonetkę. Surkowa siedziała naprzeciwko niego, schludna, dyskretnie umalowana; książeczki czekowe upewniły Iwana, że jest człowiekiem mającym, starczy mu pieniędzy na utrzymywanie rodziny Klima. Na książki nie

muszą wydawać, biblioteka zawiera świetny zbiór literatury ze wszystkich dyscyplin nauk przyrodniczych. Zaczął mówić o pieniądzach - Helena ucięła, nie potrzebuje ich, a co jej potrzeba, wyszło na jaw później, Iwan wlaźł na składaną drabinkę, szukał Montaigne'a, jeszcze z dzieciństwa pamiętał, że w „Próbach” było jakieś napomknienie o programie w komórce; spojrzął w dół - zobaczył Helenę: stała w swojej najlepszej zapewne sukni, tył głowy dotykał ściany, w oczach - rozmarzone oczeki

wanie i dziwny, jakiś umęczony uśmiech. „Złaz - powiedziała - uklęknij i prosz o moją rękę”. Montaigne się znalazł, Iwan zaczął go kartkować, na zaskakującą głupotę dorosłej mimo wszystko kobiety odpowiedział po moskiewsku: - „Tak, jestem gotów, choćby zaraz, tylko włożę kalosze i wezmę rozpęd”. Wstawił Montaigne na miejsce i tyłem zlązł z drabinki. Helena klęczała: „Proszę cię, zostań moim mężem”... Iwan też ukląkł i tak klęczeli na podłodze, nos w nos, potem podnieśli się i objęli; tej nocy nie padło ani jedno słowo, Helena milczała także rano, kiedy Iwan golił się w kuchni, patrzyła jak spod piany wyłania się twarz mężczyzny, małym palcem dotykała jego brwi, warg, podbródka, po całej ogolonej, gładkiej skórze przesunęły się miękkie opuszki jej palców, nie dowierając oczom, palce zapamiętywały fałdki, wgłębienia, zmarszczki, wypukłości. Potem - noce zawsze były dłuższe od dni - nieśmiałe lubowanie się męskim ciałem przerodziło się w niemal szaleńczy pociąg, wszystkie blizny na piersi i pod łopatkami wycalowała i wypieściła. Jakby nie w pełni rozbudzona kiwała głową, gdy Iwan mówił jej o Klimie - tak, tak, zgadza się, lecz w istocie nic z tego nie rozumiała. Potem nagle się przebudziła - do Urzędu Stanu Cywilnego, natychmiast! „Zaszłam!” - wyrwało jej się, po czym roześmiała się radośnie, zawisła Iwanowi na szyi i raptem wyznała, że będą mieli dziecko, od dziś ani jednego papierosa, ani jędnego kieliszka alkoholu, Nowy Rok powitają trzeźwi, czysti, odnowieni!

W dniu ślubu zawieruszył się jakiś paseczek i Helena się rozpląkała. Na ulicy zaczęli jakąś parę małżeńską, małżonkowie długo porozumiewali się wzrokiem i zgodzili się wreszcie, mądre oczka kobiety

świdrowały Helenę, zatrzymując się na talii, obserwowały odległość, kiedy usta nowo poślubionych się stykały. Pojechali do Chimek, do restauracji na przystani, Helena prawie nic nie piła, co wzbudziło cichą aprobatę kobietyświadka, jej mąż, człowiek o powierzchowności buchaltera, nigdy jeszcze nie widział na swoim talerzu łososia, kawioru, szaszłyka i trochę się bał jeść dużo. Odwieźli ich taksówką do Leśnej, potem Iwan kupował kwiaty na dworcu i stał pod padającym śniegiem, nie myśląc o niczym; czuł się podle: ta kobieta była obiecana Klimowi, bratu, braciszkwowi! Tej nocy opowiedział Helenie o sobie, o Klimie, kim są, dlaczego się ukrywają, po co trzeba będzie jechać do Pierowa i Helena, która wreszcie zrozumiała, że świat - to powiązane ze sobą meliny, odsunęła się od Iwana, jej głos był smutny; najprościej, uznała, powiedzieć Klimowi, że jest zameżna, ale wkrótce się rozwiedzie i wtedy... Nawet paszport, u diabła, można okazać - podsunęła taką myśl; Iwan zaś mógł sobie podziękować za przezorność i skrytość, nie zdradził Klimowi nazwiska, którego używał, ale tej nocy myślał o bracie, wypytywał Helenę. Zorientował się, że mieszkanie jest czyste i nie figuruje na żadnych łubiankowskich listach proskrypcyjnych. Trzeba przywrócić mu

„profesorski” wygląd: powiesić portrety Timiriaziewa, Dokuczajewa, Sieczenowa, Kolcewa, Miczurina i Pawłowa, można dorzucić dla zamydlenia oczu jeszcze Łysenkę, pod szafą obrasta kurzem fotografia Maksyma Gorkiego z dedykacją, ona sproletaryzuje nieco salonowobuduarowy styl wnętrza, gdzie będą gawędzić z sobą biolodzy i matematycy, filozofowie i prawnicy, stąd wyjdzie nowa nauka, ruszy zwycięsko naprzód i od razu zgaśnie, schwycona za gardło, ponieważ sąsiedzi doniosą, milicja się zapieni, zastrzyże uszami Łubianka.

Nastąpi nieuchronna klęska, wielomiesięczne śledztwo, ogłoszenie wyroków, suchy trzask wystrzałów karabinowych, stołypinowskie wagony zawiozą do miejsc przeznaczenia niepokornych i dociekliwych - łakomy kąsek dla moskiewskich diwaniów. Czeka ich całkowita klęska, zniszczenie wszystkich planów, a jednak nie wolno z nich rezygnować, albowiem jest coś, co wzywa Iwana i Klimę, pcha ich na pole minowe. To wiedza ich pogania, wiedza tylko w niewielkiej części przeniesiona na papier, fantasmagoryczny świat idei, szczelnie zamkniętych, już kisnących, trzeba je wyzwolić z niewoli, na słabych jeszcze nóżkach zawędrują na kartki czasopism, sprzeciwy sprawią, że obrosną mięsem, wzmocni je potępienie ignorantów, a pierwsze kroki nastąpią tu, w tym mieszkaniu, o czym tymczasem nie wolno jeszcze mówić Helenie, lecz ona już zaczynała się domyślać, że nieszczęścia nie uda się uniknąć, miał rację ojciec, pisząc o złym losie. Co noc budziło Iwana nagłe ochłodzenie, szedł do kuchni i zastawał płaczącą Helenę, brał ją na ręce i zanosił do pokoju. Zgodziłaby się na wszystko, na produkowanie dynamitu w ścianach swego mieszkania, jednak nikogo, niestety, absolutnie nikogo z przyjaciół sławnego geologa nie uda się tutaj zaprosić, ponieważ wszystkich starych znajomych obleciała przerażona Helena, kiedy Łubianka próbowała ją zwerbować i teraz nikt z nich nie przyjdzie.

Zaczynało się już ściemniać, kiedy dotarli do Domu Kultury, przy wejściu młodzież wciniała lody i gapiała się na afisze, zapowiadające kino i tańce; kupili bilety, postali przed bohomazami dzieci hałasujących za drzwiami pracowni sztuk plastycznych - „Pachnie szkołą” - szepnęła Helena. Zeszli do drzwi

Klimę, Helena zrobiła głęboki wdech, jak przed wyjściem na scenę, i śmiało weszła, Iwan został na zewnątrz, a kiedy go zawołali i popatrzył na nich, zrozumiał z przejęciem: do niczego nie doszło! Klim nie poznał uratowanej przez siebie Pięknej Nieznajomej, Helena była mu obca, jakby ją pierwszy raz zobaczył, jakiś drobiazg przeszkadzał przywrócić w pamięci tamten oszołamiący ranek, kiedy w jego życie wtargnęła wysłanka niebios. Iwan oderwał wzrok od speszzonej Heleny, po czym odwrócił się także od Klimy, odkrył nagle jego brzydotę - uszy brata sterczały jak dziwaczne dodatki, a jak nieprzyzwoity wybryk mściwej natury zbyt blisko osadzone oczy nadawały twarzy smętny wyraz. Przejęta rolę Helena szczebiotała, trzepotała rękami, ale rozmowa się nie kleiła. Klim zaofiarował się, że ich odprowadzi na stację, Iwan został nieco w tyle, by Helena, idąc ca z bratem pod rękę, mogła mu szepnąć coś czulego, a niezobowiązującego. W przedsionku wagonu, gdy pociąg ruszył, przytuliła się do Iwana z błaganiem: „Ja nie mogę! Nie mogę!” Jej włosy pachniały tylko mydłem „Krasnaja Moskwa”, to nie to, co aromat francuskich perfum - nie płynęła w walcu primabalerina, nie dźwięczał Strauss - oto dlaczego nie zadziałał mechanizm rozpoznania i Klim się

pomylił. W zimnym przedśmionku, w takt stuku kół, Helena obiecała, choć Iwan już nawet o to nie prosił, że od czasu do czasu odwiedzi Klima.

Dotrzymała słowa, pojechała raz i drugi, po powrocie nic nie mówiła, zamknięta w sobie, wsłuchana już tylko w siebie, poczęło się w niej drugie życie, przez długie dziewięć miesięcy nieodłączne od jej ciała, które stało się raptem obce, nieznane, nic o nim nie wiedziała; uważnie, jak podręczniki, czytała książki

o macierzyństwie, leniwie wpatrywała się w Iwana, ojca tego pędu, wypytywała go o rodziców, dociekała, kiedy to nastąpiło i jęknęła, gdy wyliczyła: w tym dziecku będzie też coś z Klima! Zaczęła częściej bywać w Pierowie, powzięła nawet zamiar podróży do Mińska, by odwiedzić grób dziadka i babci ukrytej w niej istoty. To stworzenie ledwo zaczynało się zadomawiać w łonie matki, a już burzyło życie tych, którzy je poczęli. Idea przekształcenia mieszkania w ognisko nauki światowej wydawała się Iwanowi coraz bardziej niedorzeczna. Wypatrzył już meble w sklepie komisowym, stojącą lampę, w antykwariacie znalazł obraz zacnego pędzla, lecz przyszło mu na myśl: to też zostanie skonfiskowane jeszcze przed rozprawą sądową, czy warto więc kupować? A gdzie będzie rodzic Helena, czy w więzieniu? Kaszpariawiczus kilkakrotnie zagadywał na temat Szwecji, ale Iwan milczał, Helena nie może przecież rodzić na łodzi rybackiej, już lepiej w Butyrkach. Przez cały tydzień myszkał po podmoskiewskich miejscowościach lotniskowych, pod Zwienigorodem znalazł domek, właściciele poinformowali o brzemiennej żonie, która wprowadzi się na początku czerwca; dwa pokoje, weranda, mleko wprost od krowy. Litwa też dawała gościnę, mogła ją dać, Iwan dwukrotnie odwiedził chutor Danutę Kaziszirowny, ta umówiła się już ze znachorką, pod ręką była też położna. Myślał również i o tym, by uzbroić Helenę w dobre dokumenty i wywieźć ją z Moskwy, by nie zgarnęła jej Łubianka. Trzy mieszkania na piętrze, Helena poznała Iwana z sąsiadami, można im zasugerować, że Helena pojechała rodzić do Krasnojarska. Tyle było roboty; Kaszpariawiczus żałował, że nie wysłał Iwana do Omska, zmarłego tam Litwina wiozł do ojczyzny inny kierowca; robota przy nieboszczykach

zaszczepiła Iwanowi wielką cierpliwość - w obliczu wieczności trudno się spieszyć. Już trzeci dzień czekał na telefon od Kaszpariawiczusa, polegając na łóżku w sześciuosobowym pokoju w Domu Kołchoźnika, za oknami - stragany bazaru, śnieg dawno stopniał, drogi podsychały, do Moskwy czterysta kilometrów, tutejsza wódka śmierdziała, dobre były za to kwaszone ogóreczki w beczułkach u wejścia na rynek, tłustą płoć kaspijską sprzedawano na placu, gdzie zbiegały się drogi i tłoczyli się agenci skupu. Telefon w Moskwie nie odpowiadał - Helena nie nocowała w domu. Iwan z rybą i piwem wrócił do hotelu, wypił, lecz niepokój go nie opuszczał. A kiedy usnął, poczuł się całkiem źle: przyśnił mu się oprawca z mińskiego Gestapo, nie ten, którego zabił, ale ów chudy, co wysmarkał nos w bielutką chusteczkę i pochylony do przodu głaskał swoje pośladki. Zły sen, aż poczuł łamanie w kościach, ostry ból przeszył odsłonięty tył głowy. Iwan uniósł się na łóżku: ktoś chodził po korytarzu niedobrymi krokami. Przypomniał sobie ostrzeżenia Kaszpariawiczusa, z ulgą pomyślał: numery opła są zmienione, samochód można porzucić, a dojechać do Moskwy - to głupstwo, w każdym razie trzeba uprzedzić Kaszpariawiczusa. Wyskoczył przez okno na ulicę, kupił

machorki i przygotowując skręta; rozejrzył się; najważniejsze - urwać się, uciec w noc, która wkrótce zapadnie. Po dwóch ulicach zorientował się: jest śledzony, po następnych trzech - tajniacy się odczepili. Nad ranem wyrwał im się już całkowicie, trząśnięty w pociągu i kombinował, gdzie najlepiej wyskoczyć - moskiewskie dworce są zawsze niebezpieczne. W Podolsku przesiadł się do pociągu podmiejskiego, potem złapał okazyny samochód, następnie taksówką całą godzinę krążył po ulicach, Kaszpariawiczus milczał pogardli

wie, wreszcie wydusił z siebie przyznanie: tam, w kołchozowym zajeździe, obserwował Iwana jego człowiek - tak więc cały strach był zbyt cenny, niepokój musi mieć inne źródło, a o opłu - niech zapomni. Stąd, z mieszkania Kaszpariawiczusa, Iwan pięć czy sześć razy w ciągu doby dzwonił na Rauszką, Heleny znów nie było. „Ogol się - powiedział Litwin. - To pomaga.” Zaproponował pieniądze, pistolet, paszport. Iwan zmienił trzy taksówki, jadąc do Fil, w Maziłowie wziął tetenkę, wyjął naboje z magazynka - pięć sztuk, za mało! Przypomniało mu się: pistolet nosił na sobie piętno, był poszukiwany - jasność sytuacji go ucieszyła, uspokoił się, w serce wstąpiła tamta mińska determinacja i ostrożność, kiedy po zabiciu Diwaniowa przekradał się na stację towarową. Zmierch zgęstniał już w noc, „Pierowo” - rzucił taksówkarzowi. O północy zadzwonił do Heleny i odwiesił słuchawkę, bucząc przeciągle na całą budkę telefoniczną. Pojechał dalej, wysiadł kilometr przed klubem, szedł ostrożnie, jak w lesie. Nieopodal w baraku świeciło spokojne okienko, niebo było czarne, nieprzeniknione, zawarczał motocykl i oddalił się. Iwan podkraść się do służbowego wejścia, poszedł w ruch pęk kluczy, przedostał się na korytarz, zdjął buty, w ciszy ledwo dosłyszalnie zawodził wiatr uderzający o szyby, coś poskrzypywało za sceną. Minął pracownię sztuk plastycznych, zakręty korytarza doprowadziły go do schodów, wiodących do przybytku Klima. Włożył buty, na ułamek sekundy zapalił latarkę, zobaczył kłódkę na drzwiach, ale nie miał już wątpliwości, że za drzwiami są - Helena i Klim, a kiedy zszedł na dół i przyłożył ucho do drzwi, zrozumiał - oboje są martwi, nie żyją, ponieważ źródłem niezwyklej ciszy zalegającej korytarzyk i wypełniającej pokój Klima, bezdźwiękowości, którą moż

na by nazwać ujemną, mogła być tylko śmierć, zmarli jak gąbka wchłaniają każdy szmer. Zdjętą kłódkę trzymał w ręku, nie zapalał światła, bojąc się zobaczyć żonę i brata w przedśmiertnej pozie. Nie spieszył się. Napadło go ziewanie. Ręka wyciągnęła się, dotykając Heleny i Klima, leżeli na łóżku ubrani. Zostali zabici odważnikiem na rzemieniu, na głowach, pod zakrzepniętą krwią, widniały wgłębienia, śmierć nastąpiła przed sześcioma godzinami, w sali wyświetlano film, mordercy się spieszyli, powiesili kłódkę i odeszli, nic nie wzięli (latarka zapaliła się na mgnienie), nic nie ruszali; nie przyszli po papiery Klima, a klucze od mieszkania Heleny pozostały w kieszeni jej palta. Musiał tu być Szelma, tam na podwórku uratował go pewnie pilśniowy kapelusz, wylizał się i ruszył na poszukiwania Heleny, a sprytu mu nie brakowało i miał nosa, trafił do piwnicy Klima. Przed tygodniem musiał ją gdzieś spotkać, wyczuła, że jest śledzona i starała się odciągnąć go jak najdalej od Rauszkiej, schowała się u Klima. Trzeba ich oboje wynieść stąd i wywieźć - ale jak i kiedy? Pochować - gdzie? Trzeba, trzeba - ale Iwan nadal siedział przy łóżku, jakby nie chciał budzić śpiących. Podniósł się, namacał w pudle, gdzie leżały narzędzia hydraulika, nożyk i przeciągnął

ostrzem po dziobku czajnika, rozległ się zgrzytliwy dźwięk, taki jak te, które sprawiały, że Klim zatykał uszy palcami i wrzeszczał ze złością: „Przestańże wrzeszcze!” Jeszcze raz pilującym ruchem dotknął czajnika - Klim milczał. Iwan, przekonawszy się, że jest martwy, ledwo dosłyszalnie zawołał Helenę, ale nie poruszyła się w odpowiedzi, westchnął więc nieco głośniejszym sposobem tylko dla niej zrozumiały, mówiący: jestem diabelnie zmęczony, wszystkie baby mi obrzydły i ty także, ale skoro patrzysz na mnie pożądliwym okiem

i już się rozbierasz, to... Po tym westchnieniu wybuchała zwykle udawanym, pogardliwym śmiechem, lecz potem biegła ku niemu i obejmowała: „Tak! Tak! Tak!” Teraz - milczała. Iwan wsunął za pazuchę papiery Klima, wziął klucze Heleny i cały zamienił się w słuch, frunął po schodach jak na skrzydłach i przylgnął do okna. Tylnym biegiem, jakby po omacku się skradał, podjeżdżał samochód, półciężarówka; widocznie wczoraj wieczorem ktoś spłoszył Szelmę, może ktoś z tutejszych szumowin go rozpoznał, najpewniej jednak nie zależało mu na tym, by znaleziono zwłoki Heleny, od nich mogliby trafić po nitce do babsztyla z BEKu.

Samochód podjechał do okna niemal na styk, człowiek, który przykucnął w skrzyni, otworzył tylną klapę i zeskoczył, dołączył do niego kierowca - obaj, widać, z frontową przeszłością, bojowe chłopaki - rozdzielili się, obeszli dokoła klubu i spotkali się znów przy ciężarówce, z szoferki wyszedł także Szelma, na głowie miał ten sam szczęśliwy dla niego pilśniowy kapelusz (Iwan mógł teraz dojrzeć i dno oceanu). Chłopcy umiejętnie wypchnęli szkło, odsunęli zasuwkę, uchylili okno, Szelma wlaź pierwszy, gwizdnął na znak, by szli za nim. Iwan nie mógł strzelać, wiedział jednak, że teraz nawet hełm nie ocali Szelmy. Do świtu jeszcze daleko, ale nie wolno było zwlekać, wszyscy trzej padli w korytarzu, ich trupy Iwan wrzucił na ciężarówkę. Zszedł do klitki, gdzie czekali na niego zabici, wziął Helenę na ręce i niósł, ale już przed wejściem na schody zorientował się: trzeba nieść ją inaczej, jak każe zwyczaj, nogami do przodu. Położył ją obok Szelmy i poszedł po Klima, przykrył zwłoki brezentem. Teraz już nie bał się światła i przeszukał ostatecznie ziemskie schronienie Klima i Heleny, zrobił wszystko tak, żeby

nikt nie dowiedział się o ich śmierci. Odjechał od klubu, pistolet trzymał w pogotowiu: strzelałby do każdego, kto odważyłby się go zatrzymać. Na którymś kilometrze szosy zrzucił do rzeki trzy trupy, po czym długo mył ręce w brudnej kałuży. Poczł pewną ulgę, przywykł do wożenia nieboszczyków, jeszcze godzina jazdy - i na wschodzie zadymiała zorza; Iwan znał te okolice, zatrzymał wóz na leśnej przesiece, Szelma przewidująco nie zapomniał o łopatkę, Iwan znalazł ją pod siedzeniem, jej ostrzem zaznaczył miejsce wiecznego spoczynku brata i żony, wybrał polankę wyżej położoną, gdzie było nieco suszej i zaczął nadcinać wilgotną darni, układając płatom skórej gleby. Wykopaną ziemię troskliwie przenosił na brezent, wilgoć ciągnęła od pogłębiającego się dołu, zaczął się piasek, najpierw mokry, potem sypki, żółty, łopatkę oszczędzała korzenie rosnących obok drzew. Iwan zazdrościł roślinom, innym organizmom, które nadal będą tu żyć, ich korzenie oplotą zetlałe szczątki zmarłych i wchłoną w siebie zesłane przez przypadek ich elementy. Zaniósł Klima do wykopanego dołu, wygodnie ułożył jego głowę i w duchu przyznał, że nie można się było spodziewać innego zakończenia, albowiem Klim skazał się na śmierć, gdy jego myśl wdarła się do

komórki, zajął w otchłań niewiedzy, od dawna związał swoje życie z prostą pracą spirali i wyczerpał swoje zasoby jak komórka, która nie ma już siły wypychać białka w przestrzeń międzykomórkową, Helena też nie pociągnęłaby długo, coś było w niej nadłamane, podcięte, Iwan miał chwilami wrażenie, że żonę coś zraniło, okaleczyło, przypominała postrzelonego ptaka, utykającego na jedną nogę. Helenę ułożył po lewej stronie Klimy, wydostał się z grobu i pojął, że wykopał dół dla trzech osób, pamiętał o zabitym z Heleną dziecku, które nie

wiadomo dlaczego uważał za dorosłe, dwudziestoosmioletnie, z myślą o nim wycinał darń i powiększał grób; w komórkach tykały chromosomowe zegary z lustrzaną tarczą, obraz przyszłości mógł być rzutowany w przeszłość - przypomniało się Iwanowi i wylazł, wydostał się z grobu, gdzie chciał się położyć zamiast dziecka. „Tracę rozum” - uświadomił sobie: kto by zakopał Klimę, Helenę z dzieckiem i jego samego!

Darń przykryła mogiłę - ani wzgórek, ani krzyż, ani blaszanej tabliczki z nazwiskami stojących przed obliczem Pana sług Bożych. Iwan obejrzał dokładnie polankę - nie, nikt tu niczego nie zauważył, nim minie tydzień, uszkodzone tkanki gleby zrosną się i odradzające się wiosną życie zaciągnie kurtynę nad dramatem, zostanie ogłoszona skończoność tego, co jest początkiem. Las już się obudził, świergotał, popiskiwał, kołysał się i oddalał; Iwan umył samochód w rzeczce, odjechał kawał drogi od lasu, zdjął numery. Dopiero przed wieczorem dotarł do Moskwy, chodził z kąta w kąt po deskach podłogi w Mazilowie, pojechał do Dorogomirowa, do łaźni, i dopiero tu, pośród nagich ciał zdrowych i okaleczonych, poczuł, że żyje. Pił przez kilka dni, zagłuszając ból, aż któregoś ranka ból spowszedniał, stał się zwyczajny, jak dawniej. Kaszpariawiczus skumał się z kalinogradzkimi złodziejaskami, kupował tony bursztynu i wysyłał je nie wiadomo dokąd, potem przerzucił się na drewno, Iwan nie miał ochoty patrzeć na nic, oprócz świateł jadących przed nim pojazdów; chwilami bez powodu pojawiał się współczucie dla nieznanych ludzi, bywały dni, gdy hamował, widząc skaczące z daleka wróble. Zajął do komisji na Arbacie, pracownica przyjmująca towar szepnęła mu na ucho, że jest tu do sprzedania szalenie tanio podrobiony Kuindży, spodziewa się także Wa

sniecowa. Iwan nie wiedział, co zrobić z mieszkaniem na Rauszkiej, nie był tam jeszcze; rozmyślał nad tym, w jaki sposób zniknie, rozplynie się w ciemnościach nocy, może to będzie w Szwecji, w grobie, na chutorze, wszystko jedno gdzie, byleby nie oglądać ludzi. Zbliżała się, wreszcie nadeszła siódma rocznica śmierci rodziców, nie bał się już Mińska, warto by tam pojechać i choćby z daleka popatrzeć na pomnik, wystawiony przez Nikitina... Pojechał jednak do Leningradu, słusznie przewidział, że Nikitin musi być tam - w Mińsku. Babka z piwiarni dała mu liścik, adres, klucz, Iwan czekał tydzień. Białe noce, nie wprowadzone bolszewickimi dekretemi, przepełniały duszę świetlistą tęsknotą, spędzał dni na rozległych nabrzeżach, zbudowanych z wiarą, że przetrwają wszelkie ciężkie próby; Newa płynęła do morza, dzisiejsze fale potwierdzały prastare określenie „rzeka życia”, co nie odnosiło się do bezkresu poruszającego się zbiornika wodnego, lecz do przepływu czasu przez podziurawiony żywioł. Dziewczyna z prospektu Karola Marksa codziennie, jak do pracy, chodziła do Ermitażu, czasem Iwan szedł za nią i zaczynał rozumieć, że szuka w obrazach współbrzmienia ze stanem swego ducha; studentka przeżywała pierwszą miłość, do której wstydziła się przyznać; pół

godziny, albo trochę dłużej siadywała na skwerze przy dworcu Fińskim z książką na kolanach, której nawet nie otwierała, nie zwracała uwagi na przechodzących obok, spieszących do domów oficerów Akademii Artylerii, pozwalając oglądać kolana, odsłonięte ramiona i rozmarzenie doroślejących oczu, dopóki przed ławką nie zatrzymał się kapitan w zawadiackiej czapce i nie prowadził studentki na nabrzeże Arsenalskie, po czym żegnali się, nie nagadawszy się wciąż do woli, nie mieli pojęcia, jaki ból dręczył Iwana,

którego nie dostrzegali: obok niego szła Helena. Matka studentki kupowała na rynku pokarm dla ptaków, w domu pojawiły się żywe stworzenia, ptasie głosy zapowiadały kwilenie i płacz dziecka.

Nikitin przyjechał cichy i przygnębiony, ze znużeniem machnął ręką, uchylając się od wszelkich pytań, zapuścił wąsy i bródkę doprowadził do porządku, nie była wprawdzie podobna do hiszpańskiej, ale przypominała kozią bródkę Kalinina. Rano oszpecił się jednak nożyczkami i brzytwą, poradził też Iwanowi: czas zmienić wygląd, czas, i to jak najszybciej! Rzecz w tym, że bał się nawet wejść na cmentarz w Mińsku, od zaufanego towarzysza dowiedział się - grób rodziców Iwana jest pod obserwacją, upadają więc wszystkie plany: Nikitin miał zamiar przenieść się do Mińska, doczekać tam śmierci i być pochowanym w pobliżu tych, których kochał i kocha przez te wszystkie lata. Przeklęte sowieckie życie i po trzykroć przeklęte bolszewickie prawa, zabraniające chowania nieboszczyków niezgodnie z miejscem zameldowania - on, leningradczyk nie może leżeć w mińskiej ziemi, człowiek nie ma prawa decydować o swoim losie, rozporządzać swoim życiem, ani, co jeszcze bardziej oburzające, nawet śmiercią! - wściekał się Nikitin. Iwanowi przypomniał się Kaszpariawiczus - przewóz nieboszczyków i potajemne ich grzebanie, dopiero teraz się domyślił: - rozkopywali stare groby i kładli tam świeżo zmarłych, życie pozagrobowe miało płynąć według ziemskich praw, i cała ta kotłowanina z trumnami i nieboszczykami, a na dodatek ich podmiana - to załamane odbicie tego, co działo się z Klimem, z Iwanem, a także z Nikitinem. Przyjaciel rodziny z uwagą wysłuchał zamysłu fikcyjnego małżeństwa z Mamuszką, przedstawicielką moskiewskiego świata przestępczego i odparł gderli

wie, że nie może przyjąć tej propozycji, tam, w królestwie pozagrobowym rodzice Iwana popatrzyliby na niego z dezaprobatą nie ma wątpliwości, że babaoprych przekupi milicję i wszystko załatwi: Nikitin stanie się mieszkańcem Mińska, ale przez nią może trafić do obozu, wcale niewykluczone, że tam umrze i będzie pochowany daleko od Mińska. Odmowa była rozsądna, Iwan nie próbował się spierać, zaczął mówić o tym, co najważniejsze - o tym, co dojrzywał tutaj, pod białym niebem Leningradu, na jego nabrzeżach, w salach Ermitażu. Opowiedział o Meislu, o Klimie i o sobie, o tym, że dokonali skoku przez otchłań niewiedzy; wyjaśniła się sprawa dziedziczności, nowa teoria wchłonęła w siebie Lamarcka, Darwina, Mendla, Morgana, a nawet Łysenkę, została odkryta zasada, według której materia grupuje jednostki dziedziczenia w określonej kolejności, okazało się, że wszystkie komórki - to tylko topologiczne kaleki zrodzone w mękach ewolucji... (Nikitin słuchał z otwartymi ustami, z bólem w zwilgotniałych oczach i ostrzegawczo uniesionym wskazującym palcem). No i teraz pojawia się pytanie, co zrobić z tą kolekcją diamentów, w jakim muzeum je wystawić? On osobiście, zbieg, który uciekł podczas śledztwa, gwizdże na tę idiotyczną



władzę, odszczepieniec Klim Paszutin pisał swoje genialne prace nie po to, oczywiście cie, by przyczynić tej władzy sławy, miał w nosie władzę, rząd, partię, całą ludzkość, marzył o jednym, pragnął, by on, już nieżyjący, uzyskał zaświadczenie, przepustkę, dającą mu prawo do obcowania z bezcielesnymi, lecz sławnymi duchami. Iwan spędził kilka godzin przed obrazami Rembrandta, nie podobają mu się te przymilne, świątobliwe gęby, wydawałoby się, że ludzie wiele by nie stracili, gdyby nigdy ich nie widzieli, ale bez wszystkich płócien genialnego

Flamanda ludzkość poniosłaby niepowetowaną stratę, pojawiłyby się inne mutacje: mężczyźni byłiby gorsi, kobiety lichsze, nie narodziłoby się to чудо, które Iwan pokochał - żalosna, głupia, lubieżna, paskudna kłamczucha, puszczalska, złodziejka i bandytka, co zginęła razem z Klimem; odnalazła siebie w miłości, przeobraziła się dzięki mężczyźnie - jemu po raz pierwszy oddała się z całą siłą namiętności wszechobecnego instynktu, który jest i w Newie, i w grobie na mińskim cmentarzu, i w puchu topolowym na dworze - oto dlaczego Iwan prosi o pomoc, by Nikitin przyczynił się do publikacji artykułów, doprowadził je do stanu nie wzbudzającego podejrzeń, leningradzcy biolodzy - a Nikitin ich zna - nie są tak konserwatywni jak moskiewscy, na tutejszym uniwersytecie samilujące wolność głowy, można przecież zrobić tak, że publikacja prześliznie się z głupia frant, nauka by się wzbogaciła... „Ależ nie będzie żadnej twojej nauki!”... - wrzasnął Nikitin i zaczął biegać po pokoju. Dyszał ciężko, jakby go ktoś gonił. Jego ostre paznokcie wczepiły się w koszulę Iwana, spoglądał na niego ze łzami współczucia. „Nie będzie jej...” - wyszeptał i zamknął oczy, opuścił głowę. Ocknął się i zaczął mówić zdławionym głosem, z hamowaną pasją: z biologią molekularną - koniec, kropka - jej dni są policzone, jeszcze dwa, trzy miesiące i ta gałąź nauki zostanie zgnieciona jak dokuczliwa mucha. O ile mu wiadomo, pojawił się teraz pewne ożywienie i ruch w kręgach tak zwanych mendelistówmorganistów, te kręgi są na tyle głupie, że oczekują na ukazanie się dokumentu, nadającego tej nauce prawo obywatelstwa, lecz ci naiwni mendeliścimorganiści - otrzymają zupełnie co innego: orzeczenie winy wojskowomiczurinowskiego sądu, ponieważ genetyka i ideologia partyjna nie dadzą się pogodzić!

Genetyka - to śmierć komunizmu! Począwszy od pierwszych utopistów aż po dzisiejszych, obowiązuje idea nowego człowieka, istoty bez dziedzictwa, bez pamięci, bez cech wcześniejszych pokoleń - bez przeżytków kapitalizmu - jak to się teraz nazywa, a stworzenie takiego człowieka jest niemożliwe, do takich wniosków prowadzi pośrednio mikrobiologia i dlatego zostanie w najbliższych miesiącach zniszczona. Cała kremłowska banda opiera swe istnienie na wierze w dziedziczenie cech nabytych, co jest absolutną bzdurą: ci utopiści z siekierą sądzą, że całą różnorodność ludzkich natur można sprowadzić do umiejętności podporządkowania się, posłuszeństwa; jeszcze nikczemniejsze jest przekonanie o przeradzaniu się jednych gatunków w inne pod wpływem środowiska zewnętrznego: jeśli przy właściwym odżywianiu wróbel może się stać sikorką, to nic dziwnego, że jest tak wielu wrogów ludu i są obozy. Ale najgorsza chyba (Nikitin już bryzgał śliną) jest, o dziwo, wrażliwość sumienia komunistów, albowiem podświadomie, w głębi swoich obrzydliwych, podłych dusz, zdają sobie doskonale sprawę, kim są, jak potworne i bezsensowne są ich marzenia, boją się więc popatrzeć na siebie z dystansu, lub spojrzeć na siebie cudzymi oczami, dlatego odgradzili się do całej ludzkości,

zatkali usta wszystkim mówiącym prawdę, rozbijają lustra, w których mogliby się odbić w całej swej jaskiniowej nagości i dlatego też genetyków rozszarpia, porozpędzają, zetną na proch; najbardziej tchórzliwych zmuszą do wyrzeczenia się swoich poglądów, a krnąbrnych wyklną; w takiej sytuacji przemycanie przez redakcyjne zapory potrzebnych Iwanowi tekstów - to samobójstwo, otwarte przyznanie się do winy, ręce proszące o kajdany, „Opamiętajże się, oszczędź siebie, jeśli ci jeszcze życie i wolność miłe!”

#### Rozdział piąty

Nagadał mu takich okropności, że Iwan wyjechał do Moskwy przez Smoleńsk, w Możajsku wysiadł z pociągu, w Zwienigorodzie wyjaśnił gospodyni, że żona jest pod opieką poradni „K” i na razie nie może opuścić stolicy. Tego roku jabłka pięknie obrodziły, gospodarze pochwalili się pięknymi antonówkami, pokazali mu malusienkie owoce chińskiej kandyli - a Iwanowi przypomniał się ogród botaniczny w Gorkim, Klim. Któregoś dnia parsknęła na dworze kobyła, uderzając ogonem po kłębach, wiatr przyniósł woń nawozu i wtedy Iwan zdał sobie sprawę z tego, co mu powiedział Nikitin, zrozumiał całą filozofię sowieckiej władzy: za protoplastę wszystkich klaczy i źrebaków nie należy uważać konia Przewalskiego, lecz straszdyło z kopytami, dzieło malarza „Marszałek Woroszyłow na koniu”. Dawny zamysł, by na Rauszkiej urządzać przy herbacie dyskusje uczonych, trącił głupotą. Nieprzydatną wydawała się idea, która przyszła mu do głowy tutaj, pod Zwienigorodem, ale im bardziej bezsensowne stawały się jego plany, tym wydawały mu się mądrzejsze; trzeba było podjąć decyzję - podrzucane klucze od mieszkania spadały na dłoń, która się na nich zaciskała. Wreszcie Iwan przyszedł na Rauszką i nogi się pod nim ugięły ze strachu, przeżył chwilę, kiedy z ramienia na ramię przekładał już

znacznie cięższą Helenę. Narzucił na lustro obrus, przejechał szmatką po meblach i zamknął ten pokój na zawsze, to znaczy do czasu, gdy wpadnie tu sfora z ubiankowskiej psiarni. „Obcym wstęp wzbroniony”

zamówił taką tabliczkę w warsztacie i powiesił ją na tych drzwiach. Cały miesiąc trwał remont mieszkania, wszystko robił własnymi rękami, nowe meble przywoził pojedynczo, nie było zresztą w sprzedaży odpowiednich kompletów do urządzenia służbowego gabinetu, typowego dla domu na placu Dzierżyńskiego. Przedpokój nabrał pospolitości, jelenie rogi zostały schowane w komórcę, na wieszaku szary gabardynowy płaszcz z naramiennikami podpułkownika (dla spotęgowania tajemniczości - wojsk inżynierijnotechnicznych), oficerska czapka; na ścianie - dworcowy rozkład pociągów pasażerskich, spojrzenie na ścianę mimo woli podsuwało domysł: to właśnie stąd rozpełzły się po całym kraju widzące macki. Jeszcze większe wrażenie wywierał gabinet: długi, przykryty zielonym suknem stół konferencyjny, szeregi krzeseł u szczytu wyrastające z parkietu ciężkie biurko na czterech kolumnach, nieco wyższe od stołu, przywołujące w pamięci słowa „tron” i „stołeczny”. Tapczan, jako zupełnie zbyteczny, został oczywiście usunięty, na ścianach

portrety Lenina, Dzierżyńskiego i Stalina, ciężkie zasłony, chroniące to, co się tu działo, przed wzrokiem niepowołanych, tych, którzy w żadnym wypadku nie mogą być dopuszczeni do tajemnicy zgromadzeń o światowym, historycznym znaczeniu. Oszklona szafa biblioteczna przekonująca o wszechwładzy i wierności jedynie słusznej nauce, prace patriarchów ustawione z uroczystą

majestatycznością. W sejfie - operatywne opracowania, służące potwierdzeniu i uwiecznieniu nieśmiertelnych idei, pod nogami - miękki

dywan, na owalnym stoliku najlepsze gatunki papierosów: „Hercegowina Flor”, „Siewiernaja Palmira”, „Kazbeki”, te ostatnie w pudełkach i paczkach po sto sztuk - na bazarach tak pakowane papierosy nazywano „poselskimi”. W gabinecie, przy tym długim stole zasiądą specjalnie dobrani mikrobiolodzy i usłyszą przemówienie o takiej mniej więcej treści: „Towarzysze! Wszyscy przeczytaliście już uważnie uchwałę KC WKP(b) o sytuacji w nauce biologii, wiecie więc wszyscy o wielkim zwycięstwie marksizm-leninizmu nad weismannistami i morganistami, nad nikczemnymi wyrzutekami, którzy brzęczeniem muszek drozofili zagłuszali swoje moralne, filozoficzne, polityczne i inne ubóstwo. Tak, formalna genetyka została skazana na haniebną koniec. Domyślę się, że wielu z was, zwłaszcza tym, którzy ponad wszystko szanują w nauce prawdę i eksperyment, ta uchwała się nie podoba, myślę, że wszyscy nadal wierzą w chromosomową teorię dziedziczności... (Siedzących przy stole obrzucić zagadkowym spojrzeniem). Zebraliście się tu po to, by poznać rzeczywisty sens tego, co się stało. Jestem przekonany, że wielu z prawdziwych uczonych - a do nich także was zaliczam - zadaje sobie teraz pytanie: jak mógł nasz Wódz i Nauczyciel (podkreślić intonacją: z dużej litery!), najgenialniejszy uczony wszechczasów i ludów, potwierdzić swoim autorytetem całkowicie fałszywe twierdzenia akademika Łysenki i innych obskurantów, jak mógł dopuścić do zniszczenia przodującej nauki? (Osłupienie przy stole, tym należy się nacieszyć). Wyjaśniam: towarzysz Stalin, wierny uczeń i kontynuator dzieła Lenina, uczynił to dlatego, że postawił sobie ogromne zadanie o strategicznym znaczeniu i właśnie wy będziecie musieli je wykonać! Jest tajna uchwała KC (palce powinny dotknąć teczek),

w której wyjaśnia się genialny manewr towarzysza Stalina. Nie muszę wam chyba tłumaczyć, że genetyka ma wielką przyszłość, ale obecnie, to znaczy... już wkrótce, genetyczne mutacje powinny stać się przedmiotem wnikliwych badań, albowiem wybuch bomby atomowej w Hiroszynie i Nagasaki ujawnił zjawisko, którego nie można nawet nazwać ubocznym, jest bowiem potężniejsze od działania uderzeniowego i cieplnego wybuchu atomowego. Wiecie już zapewne, co mam na myśli... Zmiany struktur genowych i wszystkie procesy transmutacji, ich niszczące działanie... (Zrobić wymowną pauzę). Jak się domyślacie, w przyszłej wojnie zwycięży ten, kto opracuje najlepsze metody walki ze skutkami promieniowania radioaktywnego, sowieckiej genetyce przypadnie tu kolosalna rola. (Nie wiadomo dlaczego przypomniały mi się słowa wypisane kredą na wychodku: „Kałosalny przybytek”). Tak, towarzysz Stalin jest myślą i sercem po stronie genetyków, ale oficjalne poparcie ich teraz oznaczałoby: po pierwsze, ujawnienie tajemnicy przyszłych badań i, po wtóre, inspirowanie skoku w rozwoju zachodniej, imperialistycznej nauki. Znane są przecież nikczemne chwytki zagranicznych wywiadów, ich agenci ulokowali się w wielu instytucjach, każdy wielki uczony sowiecki ma zabzone haniebne dossier, dlatego towarzysz Stalin rozkazał wszystkie prace w dziedzinie genetyki powierzyć specjalnie wybranym młodym uczonym, nikomu tymczasem jeszcze nie znanym, prawdziwy rozgłos zyskają później...”

To przemówienie zostało obmyślane i wygłoszone w duchu, oszczędna gestykulacja

wypróbowana, trzy połamane telefony wyposażyły biurko w bezpośrednią łączność z nadrzędnymi instytucjami, teraz trzeba było znaleźć wykonawców - „słuchaczy”. Je

szcze w Zwienigorodzie Iwan, szperając w papierach Klima, znalazł wyrwane z czasopisma kartki - artykuł W. N. Galcewa pod tradycyjnym tytułem „O niektórych problemach autogenezy”. Na marginesie ręką Klima odnotowane rozszyfrowane inicjały (Władimir Nikołajewicz) i telefon (K41518), na pewno domowy, w centrum Moskwy nie należał do żadnych instytucji związanych z biologią. Iwan zadzwonił z automatu, z rozmowy z kobietą, która podniosła słuchawkę, wynikało, że Klim nie mógł się skontaktować z Galcewem, ponieważ ten był w tym czasie w delegacji nad Amurem w doświadczalnym ośrodku rolnym, obecnie zaś jest na urlopie, w domu bywa w południe i wieczorem. Widocznie Klima zainteresował artykuł i zadzwonił do redakcji czasopisma, wypytywał o autora, Iwan zrobił to samo, uzyskał pewne dodatkowe informacje, jeszcze raz przeczytał artykuł; Galcew niewątpliwie wiedział więcej, niż napisał. Jeszcze jeden ważny fakt, sympatyczny i budzący niezbyt uzasadnione zaufanie: biolog Wołodia Galcew skończył przed wojną uniwersytet w Leningradzie, przeżył blokadę, był ranny, potem nastąpiła demobilizacja, małżeństwo z moskwianką i przeprowadzka do stolicy, początkowo asystentura w katedrze w Timiriazowce, skąd odszedł po jakiejś awanturze i znalazł pracę w Instytucie Biologii Eksperymentalnej. Ostatnio rozwiódł się, mieszkał u jakiejś dalekiej krewnej, często nie nocował w domu. Przez tydzień Iwan prowadził rozpoznanie, obserwował Galcewa, udało mu się nawet znaleźć jego dawną publikację w czasopiśmie „Biologia”. Dwukrotnie odwiedził rajkom partii, zawarł znajomość z obsługą tego przydatku Łubianki - z szacownymi matronami i wcale by się nie zdziwił, gdyby zobaczył wśród nich Mamuszkę. Mimo wszystko jednak zrezygnował z za

proszenia tutaj Galcewa - był zbyt mądry i doświadczony, przetrwał wojnę, wytrzymał blokadę, nie zgodził się na ewakuację do Omska i, rzecz jasna, napatrzył się na czekistów. Rajkom cuchnął paskudnym, bezczelnym fałszem, przypominał mu jakoś Sadofjewa, jego namowy, gesty, słówka; Iwan splunął, uświadomiwszy sobie, co w Sadofjewie i w całej rajkomowskiej hołocie wzbudza w nim takie obrzydzenie. Otóż nienaturalność w całym sposobie bycia pułkownika: on, mężczyzna, zdawał się proponować Iwanowi - też mężczyźnie, by pokochał go po kobiecemu, z pocałunkami, przytulaniem i pieszczotami; jak tylko nasunęł mu się to porównanie, Iwan doszedł do wniosku, że w żadnym wypadku nie wolno wciągać Galcewa w tę szopę! Od razu wyczuje oszustwo i odmówi. Należy go wprowadzić do gry później, pomijając stadium werbunku, po prostu trzeba go wziąć za rękę, przyprowadzić na Rauszką i przedstawić coś przekonującego, budzącego pełne zaufanie.

W toku moskiewskich poszukiwań znalazło się jeszcze dwóch biologów, w jakiś sposób podobnych do Galcewa, wymagających specjalnego podejścia. Nie warto się było jednak cackać z drobnymi płótkami, w połowie lipca oficjalne wezwanie do rajkomu otrzymał asystent na Uniwersytecie Moskiewskim, Nikołaj Gawriłowicz Bestużew: dwadzieścia osiem lat, mrówcza pracowitość, zadufanie, a jednocześnie dociekliwość. Iwan przywitał go na korytarzu życzliwie, lecz rzeczowo; zwerbowanie tego Bestużewa zakładało ewentualną zmianę dekoracji, przywiezienie go na Rauszką, sięgnięcie do sejfu, gdzie miało leżeć coś dotyczącego biologa, rozmowę telefoniczną z

niewidoczną rozmówcą, przeznaczoną dla bystrych uszu asystenta, dużą sumę pieniędzy wypłaconą bez pokwitowania.

Ale ten złamał się od razu tam, na korytarzu, złożył ustne zobowiązanie, że wykona wszystkie polecenia służb bezpieczeństwa. To spotkanie pozostawiło obrzydzenie, jakby patrzył na wiosenną ulicę przez popstrzoną przez muchy szybę, chciało się chlusnąć na nią wodą, umyć, oczyścić, przetrzeć szkło - obrzydliwe uczucie. Nie opuszczało Iwana przez cały tydzień, potem jednak przyszła kolej na jasne, czyste doznania, Iwan przeglądał gazety z lata i natknął się na znajome z przedwojennych opowiadań Nikitina nazwisko: Szpolanskij! Dawny kierownik działu w Instytucie Hodowli Roślin, obecnie profesor Uniwersytetu Leningradzkiego, zbliżało się jego sześćdziesięciolecie, ten biolog był szeroko znany, Galcew go szanował. Jeśli uda się nakłonić Nikitina, jeśli Szpolanskij da się namówić, to jego pojawienie się w mieszkaniu na Rauszkiej wywoła pożądaną efekt, profesor, sam tego nie podejrzewając, odegra rolę starosty weselnego, pobłogosławi przyszłe laboratorium zarówno konspiracyjne jak legalne. Nie chodzi, broń Boże, o żadne pouczające zaklęcia, profesor wejdzie do „gabinetu”, uściśnie rękę Iwanowi, błogosławiącym spojrzeniem obrzuci siedzących przy stole geniuszy - to zupełnie wystarczy. Nikitin może stanąć dęba, ale czy nie odegra tu roli nimb wokół osoby zmarłego Surkowa? Czy Surkow i Szpolanskij nie zetknęli się kiedyś? Iwan przetrząsnął papiery geologa i znów je złożył; niestety, drogi życiowe tych sławnych uczonych nigdy się nie przecięły. Czas uciekał, miesiąc dobiegał końca, wiszący nad genetyką topór mógł w każdej chwili spaść, a wówczas Galcew, porywczy i odważny, nie zgodzi się na żadne kontakty. Iwan pojechał do Nikitina, wioząc teczkę z materiałami na Szpolanskiego. Złe spał, w przedziale gorąco, wagon skrzypiał, przez całą noc

zwidrywała mu się piegowata fizjonomia Bestużewa, jego oczy, które w jakiejś chwili rozmowy zabłysły radością. Leningrad powitał go słońcem po niedzielnym deszczu; za wczesnie było jechać do piwiarni, otwieranej dopiero o jedenastej; pociąg okrążył miasto od wschodu i zatrzymał się na peronie Dworca Fińskiego, tuż obok ukochanego prospektu, miał ochotę zobaczyć studentkę. Zjadł śniadanie w bufecie i wolnym krokiem ruszył w stronę Wojskowej Akademii Medycznej, kupił kwiaty, miał nadzieję, że wejdzie na schody, położy je przed drzwiami swego mieszkania, przeszedł pod oknami, postął przy wózku z wodą sodową, zerkając ukradkiem na zegarek: o tej porze matka studentki wychodziła zwykle po pieczywo. Wypił szklankę wody z sokiem wiśniowym, popatrzył na afisze i zamierzał jeszcze raz przespacerować się w pobliżu domu, ale to, co nagle usłyszał, sprawiło, że rzucił się do ucieczki. „Szukają pana! Proszę uważać!” - oto, co idąc za nim, powiedziała matka studentki i Iwan przez znajome przechodnie podwórze wydostał się do linii tramwajowej, dwukrotnie zmieniał trasę, taksówką przeskoczył Nową, zniknął w tłumie przy hali targowej i wypłynął na Wyspie Wasilewskiej. W południe był na Rasstannej, nie wszedł jednak do piwiarni: lęk o Nikitina spętał nogi, rozboleły go stawy, strach przebiegł mrowieniem po całym ciele. W toalecie obok rynku podarł na drobne kawałki papiery na Szpolanskiego, kwiaty wyrzucił już wcześniej, teczka ześliznęła się do kloacznego dołu i utonęła bez bulgotu. O pociągu lepiej nie myśleć, trzeba wyrwać z Leningradu i to natychmiast, w jakąkolwiek stronę, byle nie na północ: fińskiej granicy tak od razu nie

da się pokonać, zresztą nie ma sensu tam uciekać, wydadzą, trzeba szukać innej drogi, rozmyślenia na Wielkiej Alei podsunęły zna

komite wyjście. Iwan dojechał do Ogrodu Zoologicznego i poszedł do Twierdzy Pietropawłowskiej. Trzy autobusy czekały na wycieczkowiczów, z czwartego, z Wołogdy, wysypywali się pionierzy, podjeżdżał piąty ze stateczniejszymi pasażerami - tego mu właśnie było trzeba. Wmiesza się w tę gromadkę, wejdzie do Twierdzy, tam znajdzie odpowiednią grupę, dołączy do niej i razem z nią opuści niebezpieczne miasto. Sobór nie mógł zmieścić wszystkich zwiedzających, ci, co chcieli obejrzeć krypty, grzali się na słońcu, odpoczywali; Iwan też czekał, rozglądał się, przysłuchiwał, szukał. Ktoś pociągnął go za łokieć, otrząsnął się, jeszcze raz poczuł dotknięcie - zrećnie pochwycił niedoświadczoną rękę kieszonkowca, wykręcił ją, spojrzął przez ramię i zdębiał: Sadofjew!

Pułkownik był w cywilu, z zadartą przechyloną na bok głową przeprasząco i radośnie wpatrywał się w twarz Iwana. W jego spojrzeniu widniało rozradowanie ojca, który po długiej rozłące spogląda na syna - już dorosłego, silnego, który wyszedł cało z życiowych bojów, pokonał wrogów, choć rozpowszechniano wieści szkalujące dobre imię zwycięzcy. „Jakże się cieszę! Bardzo się cieszę!” - wyszeptał pułkownik, znajdując palce Iwana i ściskając je w przyływie wdzięczności. Odsunął się na krok, jakby zaznaczając długi okres, jaki upłynął od dnia ich ostatniego spotkania i z tego chwilowego oddalenia jeszcze raz spojrzął na Iwana, jakby własnymi oczami chciał się upewnić, że się nie omylił i ma przed sobą tego Iwana Leonidowicza Barinowa, który zbiegł podczas śledztwa, ciężko okaleczył lejtnanta Aleksandrowa i zabił kapitana Diwaniowa. Krótkie rączki pułkownika uniosły się w skrzydlatym geście współczucia, z naganą pokręcił głową, dziwił go brak rozsądku aresztanta, przebi

jającego głową wielometrowy, gruby mur. „Ależ spokojniej, spokojniej trzeba” - zganiał i łagodnie powiedział, że nie należy powtarzać starych błędów, nie ma sensu uciekać, ponieważ nikt go nie zatrzymuje i nie zatrzyma, Iwan Leonidowicz Barinow nie jest więźniem ani zbiegiem, jest wolnym obywatelem i takim pozostanie. To prawda, on - pułkownik Sadofjew interesował się tym, gdzie przebywa obecnie starszy lejtnant Barinow i nawet wydał odpowiednie polecenia, ale w prywatnym, można rzec, trybie; a co się tyczy przykrego zdarzenia w Mińsku, to ta historia poszła w niepamięć, Aleksandrów wypełnia papierki w Narjan Marze, a Diwaniow jest skreślony, można powiedzieć, protokolarnie spisany, tak więc Barinowowi nic nie grozi, chyba tylko on sam, a tamte protokoły - tfu! - nie ma ich, czyli - można żyć, cieszyć się, rozkoszować się jego szybko płynącym nurtem... „No i co, pogodzimy się?” - zaproponował Sadofjew i wyciągnął rękę do uścisku, ręce spotkały się, Iwan przypomniał sobie imię i imię ojca pułkownika: Georgij Apolloniewicz, wypowiedział je i pułkownik uśmiechnął się filuternie, chytrze pogroził palcem Iwanowi, niby jakiemuś swawolnikowi. „A jak się pan teraz nazywa?” I znów zaszemrał jego serdeczny głosik: ach, młodość, młodość, wy, młodzi, nie macie pojęcia jak przewidująca jest starość, jak mądra w swoim naprzykrzaniu się. Iwan nie może sobie wyobrazić, jak bardzo on, stary czbwiek, martwił się utratą takiego partnera i rozmówcy, sprawa przecież utknęła, ważna sprawa, którą trzeba się zająć, dlatego po raz kolejny ogląda wewnętrzny spacerownik dla zbrodniarzy stanu, więzionych w twierdzy, wyrwanych z życia, ukaranych

odosobnieniem od innych ludzi: podwórko nie jest małe, mogłoby tu spacerować z dziesięciu ludzi, ale korzystał tu ze

świeżego powietrza jeden tylko więzień, zaledwie jeden i, co najważniejsze, w zupełnej, absolutnej ciszy - żadnego dźwięku z zewnątrz, za czasów Mikołaja nie było gwizdków lokomotyw, syren fabrycznych, nie dzwoniły tramwaje, nie warczały samochody! Oto na czym polegał błąd imperatora: na oderwaniu wroga od barwnego i głośniejszego życia na wolności, a trzeba działać kontrastem, zderzeniem wolności z niewolą, żeby ten zakuty w kajdany czuł - życie płynie, trwa nadal, jest wieczne i uprawnione, choćby dlatego, że jest i się toczy, a ty, siedzący tutaj za ciężkie zbrodnie przeciw ojczyźnie i tronowi, byłeś tylko chwilowym faworytem losu, wybrykiem, robakiem, który targnął się na wszechświat...

Georgij Apołoniewicz umilkł ledwie na trzy - cztery minuty, kiedy przejeżdżali tramwajem przez Nową, na Polu Marsowym znów zaczął mówić o ciszy, wychwalał ją teraz, choć dopiero co potępiał. Od razu, w pierwszym dniu pracy w Leningradzie, poszedł na Plac Senacki, popatrzeć na arenę działań i nie mógł uwierzyć własnym oczom: jak mogło największe wydarzenie w historii Rosji dokonać się na tak małym skrawku ziemi; gdzież rozmach kawaleryjskich bitew pod Połtawą, gdzież przestwór duszy rosyjskiej - ależ nie, nie, nic nie mogło się stać na bruku przed Senatem, a jednak się dokonało! I huk niósł się nad Nową, nad całym Piotrogradem - taka była akustyka, taka cisza panowała wokół, że uszy chwytały każdy szmer. A plac przed Dworcem Fińskim? Teraz można tam wrzeszczeć wniebogłosy i tuż obok nie będzie słychać, ale grasejący tenorek Włodzimierza Iljicza z samochodu pancernego grzmiał nad całym Piotrogradem. Tak, wszystko co wielkie dokonuje się w ciszy, tylko w niej i dlatego on - Georgij Apołoniewicz Sadofjew

III ii II II ..

porzucił gwar audytoriów i zagłębił się w ciszę pracy czekistów, pracy niedostrzegalnej i bezgłośnej, ale tak bardzo pożytecznej, zwłaszcza tu, w Leningradzie; na kilka miesięcy Urząd na Litiejnym stał się jego domem i gabinetem pracy...

Szli już ulicą Pestela i wyczuwało się bliskość Wielkiego Domu na Litiejnym, coraz częściej napotykało się gęby mężczyzn, którym wszystko jedno, czy rozgniotą wesz czy zdepczą człowieka. Oczy Iwana biegały po fasadach domów, po ich węglach, wypatrywały bramy, do której mógłby wpełznąć Sadofjew i jednym uderzeniem kolana w szczękę rozerwać kręgi szyjne kapłana czekistowskich muz.

Sadofjew zatrzymał się raptem, jego głos dźwięczał prosząco: on, pułkownik służb bezpieczeństwa, jest całkowicie w rękach idącego obok Barinowa, albowiem jeśli ten zostanie aresztowany i zacznie mówić o Diwaniowie, to natychmiast wyjdzie na jaw kompromitujący Sadofjewa fakt - zniszczenie protokołów i, tak się złożyło, sprzyjający ucieczce. Może więc wstąpią do Urzędu, tam pułkownik wręczy Iwanowi Barinowowi dokument, który uchroni go przed zatrzymaniami i przesłuchiwaniami, posłuży, jeśli nawet nie za prawo pobytu, to na pewno za świadectwo absolutnej prawomyślności. No więc jak? „Dobra” - kiwnął głową Iwan i całkiem stracił rezon - ogarnęła go słabość i zakłopotanie, ledwo powłóczył nogami. Sadofjew skierował się już do

okienka w bramie przepustek, ale się rozmyślił, chwilę ociągał się niezdecydowany, po czym powiedział cicho, że nie wypada, by Iwan pokazywał podrobione papiery i popchnął go w stronę wartownika, który nie po raz pierwszy wpuszczał tak do Urzędu szczególnie zaufanych ludzi. Szerokimi schodami weszli na pierwsze piętro, Sado

fjew zatrzymał się przed drzwiami na końcu korytarza, chwilę nasłuchiwał, wyciągnął klucze. Okna gabinetu wychodziły na podwórze, było tu ciemnowo, ale pułkownik nie zapalił światła, kwaśno („Ech, jakież nieufny!”) poprosił Iwana, by usiadł, a sam sięgnął do sejfu - po kluczyk od szafki, z której wyjął papierosy, butelkę koniaku, narzan, po czym przyznał się uczciwie, że posłał człowieka do rodzinnego domu Iwana przy prospekcie Karola Marksa i ten przyniósł pokrzepiające na duchu wiadomości: Barinow i Paszutin spotkali się jednak i połączyli we wspólnych poszukiwaniach naukowych, nie mieli innego wyjścia, cała bieda w tym, że Paszutin zniknął, ostatni raz widziano go na stacji autobusowej w Pieriejesławlu, a Paszutin jest potrzebny, oj, jak potrzebny, ale jak go znaleźć? Oficjalne poszukiwania nie wchodzi w rachubę, ich podstawą musiałyby być dowody powiązań Paszutina z Niemcami, a te powiązania należy przemilczeć. Paszutin i dobrze znany Iwanowi Meisel przeprowadzali ważne doświadczenia, które nie znalazły odbicia w prasie naukowej, dlatego Meisla można pominąć i wszystko, co zostało zrobione pod Berlinem, przypisać Paszutinowi; należy mu doradzić: ze dwie - trzy prace z biologii molekularnej, niech je tylko napi sze, a o publikację zatroszczy się już on, Sado fjew, prace wywołają ożywienie i pobudzą tych genetyków, którzy są trochę przestraszeni. Nawiasem mówiąc (Georgij Apolloniewicz z przyjemnością pociągnął łyk koniaku) są powody do przygnębienia, z jego obserwacji, ludzie nauki przypominają mieszkańców dżungli, których ogarnia niepokój dużo wcześniej przed burzą, lub suszą; oznaki paniki dają się już zauważyć - chodzi o to, że wkrótce zbierze się sesja Wszechzwiązkowej Akademii Rolniczej imienia Lenina, z druzgocącym refe

ratem wystąpi zaciekły przeciwnik genetyki Łysenko, obecnie referat otrzymał do wglądu towarzysz Stalin, z czego wynika, że zostaną wysunięte polityczne oskarżenia, co skłoni genetyków do wyrzeczenia się swoich poglądów, oczywiście nie wszystkich, niektórzy będą woleli zesłanie, pozbawienie pracy, zapomnienie zasług, ale tak czy inaczej mendeliścimorganisci zostaną starci w proch, częściowo jednak rozproszeni, jak niewycięte ropnie pozostaną w ciele sowieckiej nauki. A czas nagli, perorował pułkownik, czas nie czeka, zbliża się nader niebezpieczna chwila w historii socjalizmu, przodujący ustrój społeczny może się rozwijać i doskonalić tylko wtedy, gdy całkowicie odrzuca burżuazyjną cywilizację, a w odniesieniu do nauki będzie to oznaczało, że genetyka wraz z wieloma innymi teoriami powinna być gruntownie wykarczowana, dlatego rozproszone siły ocalałych mendelistówmorganistów należy skoncentrować w jakimś jednym określonym miejscu, a wokół Paszutina genetycy się skupią, jak Sado fjewowi wiadomo, dokonał wielkich odkryć, o czym poinformował służby pewien zraniony zawiś cią towarzysz z peryferii. Nie, Paszutinowi nic nie grozi, czeka go światowa sława, w jej promieniach będzie się grzał do końca życia, zadanie Iwana i jego najbliższego przyjaciela i brata - to przyciągnąć do tego płomyka entuzjastów genetyki, Iwan otrzyma wszechstronną pomoc, dotyczy to także pozyskiwania kadr, ich niezawodność będzie zapewniona, w



otoczeniu Paszutina znajdą się właściwi ludzie, nie tacy, jakich już zaczyna dobierać Iwan, to o nich zapewne informują niektóre źródła. W próbach nielegalnej twórczości amatorskiej są bez wątpienia elementy romantyzmu, ale tu chodzi o sprawę przetrwania socjalizmu na planecie, o sprawę niezwyklej wagi, dlatego Iwan

Barinow powinien dla dobra Paszutina, w imię nauki, oprzeć się na całym aparacie władzy sowieckiej i wyraźnie określić swoje należne mu miejsce w tym aparacie. Major Iwan Leonidowicz Barinow - tak będzie chyba sprawiedliwie? I jakież wspaniałe perspektywy! Czas łamania kości mija, to przecież nauka, a do nauki potrzebne jest naukowe podejście, upłyną lata i świat zrozumie, jak wiele znaczył socjalizm dla ogólnoludzkiej cywilizacji, że właśnie jemu całe pokolenia zawdzięczają wzlot myśli i postęp.

Słuchając znanych z Mińska ideek, Iwan oglądał urządzenie gabinetu, ocenił należycie papierosy. W miejscowym Urzędzie CzeKa pułkownik funkcjonował na prawach ważnego gościa, nic więcej: nieprzewidywało się tu liczniejszych zebrań - dostawiony stół tylko na cztery osoby, aparat telefoniczny nie wzbudzał zaufania, ściany obciążał majestatyczny portret J.W. Stalina, nie znalazło się miejsce dla pocziwca Dzierżyńskiego, stały za to trzy szafy, książek nie było, w uchylonym sejfie - pistolet i czapka, na prawo od drzwi, na wieszaku szynel, naramie niki niepułkownikowskie - a więc cudzy gabinet, Sadofjew dzielił go z kimś jeszcze, a w ogóle po co szynel w lipcowe upały? Po co te pokrętne teoryjki gorliwego filozofa, komu są potrzebne? „Kat torturuje kata!” Co za idioci grzęznący w wszechwiązkowym idiotyzmie! Wyprane, wywrócone mózgownice, wciśnięte odwrotnie do czaszki! I ta maniakalna potrzeba, by szkodzić sobie wszelkimi dostępnymi metodami, kopać grób całemu krajowi, przez cały kraj, nieustanne poszukiwanie wrogów, bez których nie ma życia, są niczym przeciwległa spirala i to jest zrozumiałe, możliwe do wyjaśnienia, na tym polega istota procesów komórkowych, ale pułkownikowi nie przychodzi nawet do głowy, że

tu absolutyzacja jest zgubna i po to, by zniszczyć władzę w krótkim czasie, nie przeciągając jej istnienia na dziesięciolecia, należałoby przyjąć propozycję Sadofjewa. Zgodzić się! Zostać majorem, czy nawet - można się potargować - podpułkownikiem. Wystarczy pół roku i to, co najlepsze w nauce, będzie machało kilofami w kopalniach rudy, następnie pojedą na Sybir matematycy, fizycy, chemicy, jednego nie można odmówić temu fanatycznemu systemowi - jest wszechogarniający i nie uznaje przeszkód, jego bezeceństwa rosną w zastraszającym tempie. Wszystkie prace na temat komórki zostaną przerwane, wyselekcjonowane gatunki pszenicy zmieszane z chwastami, pod nóż pójda stada zarodowe, upadną wreszcie kołchozy i sowchozy, mleko i zboże trzeba będzie kupować u kapitalistów, nastąpią nowe aresztowania i nowe zsyki, a winowajców, to znaczy wrogów, trzeba będzie wciąż szukać i szukać, znajdą się, oczywiście, i taki strach ogarnie uczonych, całą naukę, że bolszewicy pójda z torbami. I to wszystko może sprawić on - Iwan Barinow. Los ofiarowuje mu wyjątkową szansę zemsty za wszystkich zabitych, także za Klima, a początkiem zemsty będzie zniszczenie wszystkich biologów, poczynając od Galcewa, wymazanie z podręczników znieawidzonych nazwisk różnych Mendlów i Morganów, cała aparatura krajowa i ta wywieziona z Niemiec - pójdzie pod prasę, zostanie zgnieciona na płacek, skreśli się zabronione słowo „gen” - i

będzie mógł rozkoszować się, zagłuszyć ból upojeniem, zwycięstwem - o, jakże słodkie jest uczucie zemsty i bezkarnej wolności i jakież obrzydliwy ten Sadofjew, który zapytał nagle przymilnie, czy Iwan nie chciałby wrócić do swego dawnego mieszkania przy prospekcie Karola Marksa, jest tam zameldowana tylko jedna rodzin

ka, dwie osoby, można je wysiedlić, lepiej byłoby jednak załatwić to inaczej: jedna z lokatorek, studentka, bardzo ładna dziewczyna, dokładnie spraw dziona przez służby, świetnie nadawałaby się na żonę dla czekisty - czyż to nie oczywista myśl? Iwan odrzucił propozycję, ale podziękował za troskliwość. Sadofjew wycisnął wreszcie pieczęć na zaświadczeniu i uroczyście wręczył je Iwanowi, a ten, nie czytając, wsunął je do kieszeni, zdążył jednak zauważyć po ruchu wiecznego pióra pułkownika, że papier przywracał mu prawdziwe imię i nazwisko. Umówili się na spotkanie w Moskwie: kiedy i gdzie, do jakiego wejścia do ministerstwa trzeba podejść i jaki jest wewnętrzny numer telefonu wydziału kierowanego przez Georgija Apołloniewicza Sadofjewa; nie było wprawdzie powiedziane wprost, że tym wydziałem będzie wkrótce kierował major lub podpułkownik Barinow, ale Sadofjew przewidywał, że coś takiego nastąpi, dlatego na pożegnanie czołobitnie wyciągnął swoją miękką, drobną dłoń, niemal czule spoglądając na Iwana. Gdyby okna wychodziły na ulicę - pewnie pomachałby mu jeszcze na pożegnanie, ale Iwan nie zauważyłby pewnie tego błogosławiącego gestu, szybkim krokiem oddalał się od tego werbującego urzędu w stronę mostu Litiejnego, w kierunku prospektu, wystarczająco znanego służbom. Nie wszedł jednak na most, skręcił na nabrzeże Kutuzowa, dotarł do zamku Michajłowskiego, a stąd do Ogrodu Letniego. W Ogrodzie znalazł rzeźbę, posąg kobiety - jako uczeń dotykał, badał jej piersi - malca dręczyła wówczas idea powszechnej kulistości. Postał przed kamiennym posągiem, spoglądającym na niego z tępą obojętnością, zapomniała o nim. I on też o niej od razu zapomniał coś łykał, żuł, pił w kawiarni obok kina „Barykady”, plótł jakieś bzdury

sąsiadce w przedziale, po czym nagle przerwał rozmowę, wlaźł na górną półkę i usnął, obudził się niesłychanie zdziwiony: przyśniła mu się gestapowska piwnica z narzędziami tortur, dwaj Niemcy w fartuchach pijący wódkę na pryczy i on sam, dygoczący w oczekiwaniu na rychłe cierpienie, raptem usłyszał: „Ej, Rusek, chodź, napij się z nami!...” Na pewno krzyczał we śnie, sąsiadka potrząsała nim, płacząc; dopiero teraz w przedziale „Strieli” zdał sobie sprawę z nienormalności wczorajszej przygody, w głowie coś zgrzytało, pękało, skowyczało; Iwan zeskoczył z półki, w toalecie podarł wydany przez Sadofjewa glejt. Metro zabrało go z dworca, dwie przesiadki zlikwidowały chyba pogoń, jeśli taka była. Wysiadł na „Majakowskiej” i zginął w tłumie, by wynurzyć się z niego i wypłynąć pod łukiem bramy na podwórzu domu, gdzie mieszkał Bestużew, zajął wygodną pozycję, by go schwytać i dokonać egzekucji, stanowczo nie obywatelskiej, gdzie i jak to nastąpi, nie myślał jeszcze, nie zastanawiał się, wszystko się samo ułoży. Nie czekał długo, z klatki schodowej żwawo jak chłopaczek wyskoczył Bestużew; w bramie Iwan wcisnął mu palec w zębra, jak chłodną lufę pistoletu, nad uchem donosiciela zaszeleściła cicha groźba, ręce Bestużewa, które uniosły się w górę, opadły, nogi odmówiły posłuszeństwa; kopnięcie w kostkę wprawiło w ruch dolne kończyny. Iwan szedł z lewej strony Bestużewa, nieco z tyłu, uniemożliwiając mu wszelkie próby ucieczki do przodu,

lub skręcenia w bok, to wciskał mu palec w żebra, to poklepywał po plecach ciężką, żylastą dłonią. Kiedy SadowaKarietna przeszła w SadowąSamotieczną, Bestużew zwolnił nieco i pytająco poruszył ramieniem, wskazując na wózek z wodą sodową - ostatnie życzenie skazańca zostało spełnione. Sprowokowane przez

Sadofjewa postanowienie nie ułożyło się jeszcze dokładnie we współrzędnych czasu i przestrzeni, sama idea, co robić i jak, nie rozwinęła się w pełni, niczym zwinięty listek na budzą cym się drzewku, ale Iwan rozumiał, że nie ma sensu ciągnąć Bestużewa do Pierowa, by ukatrupić kapusia tam, gdzie zginął Klim - to byłoby prawie niemożliwe, a załatwić go w drewnianej szopie, dokąd Iwan chodził sprawdzać schowane tam pieniądze i w tym samym celu zaglądała Mamuśka, też niebezpiecznie, rozpacz popychała już skazańca, czuł zbliżający się szafot, owiewany ostatnim w jego życiu wiatrem i Iwan, spojrzawszy na wąski tył głowy denuncjanta, którego nie zdążył rozszyfrować, postanowił: niech się to stanie w piwnicy, gdzie Klim przezył dźwięki płynącego nad Dunajem walca Straussa, tam zostanie zabity Bestużew, to tuż obok, teraz już na SadowejSucharzewskiej, trzeba tylko przejść na drugą stronę ulicy. Kierujący ruchem w białym hełmie zatrzymał pieszych, otwierając drogę samochodom i trolejbusom, pojazdy ruszyły powoli nabierając szybkości i nagle stojący dotąd posłusznie Bestużew przykucnął i rzucił się do przodu, jak do wody, pod wielką krytą brezentem ciężarówkę, tłum jęknął. Przerażliwie gwizdnął kierujący ruchem, zapiszczały hamulce, trolejbus zatrzymał się tak gwałtownie, że kabłąk spadł z przewodu i sterczał w niebo, ktoś zachichotał: „Miał chłopak szczęście, doczołga się do Skliforowskiego...” Przyjechało pogotowie, białe fartuchy pochyliły się nad Bestużewem, przepływającym właśnie rzekę - na jej przeciwległym brzegu - wieczność: lewa ręka pod tułowiem, prawa wzniesiona jak przy pływaniu kraulem. Nie żyje - stwierdził Iwan i bez pośpiechu doszedł do bulwaru Cwietnego. Potrzebny był mu Kaszpariawiczius, Litwin mieszkał w pobliżu, wynajmo

wał tu mieszkanie, ale wolno było tam wpadać tylko w razie nadzwyczajnej konieczności. Dotknęła ona, widać, także Kaszpariawicziusa, Iwan po raz pierwszy widział go tak zmartwionym i pełnym poczucia winy. „Nieszczęście, przyjacielu, nieszczęście!” Miał w domu gości. Trzej młodzi Litwini, barczyści, silni, mocni w gębie, zgłodniaли - na stole wódka i szynka litewska, długi nóż odcinał od szynki plastry słoniny z krwawym żyłkowaniem. Na Iwana żaden nie spojrzał, rozleli wódkę do szklanek, jemu chlusnęli resztkę, ledwie na dno, trącili się, nie tykając rosyjskiej szklanki. Kaszpariawiczius otworzył drugą butelkę, dolał Iwanowi, okazując swoją z nim solidarność, a ten pomyślał sobie, że przydałby się teraz granat w kieszeni, napięcie przy stole rosło, jeszcze trochę, a dźgną go nożem. Z rozmowy udało mu się zrozumieć, że aresztowano Danutę Kazisimirowną, o donos podejrzewano Rosjanina, który niejednym raz był na chutorze, człowieka o niewiadomej przeszłości. „Świnie jesteście - powiedział Iwan, oddając Kaszpariawicziusowi paszport, którym się posługiwał, z którym był w Urzędzie Stanu Cywilnego. - Wieprze! Knury! Może lepiej nigdy nie wyłaźcie z lasu, dopóki się nawzajem nie powyżynacie...” Zaprowadził gospodarza do kuchni i ostrzegł: zerwij wszelką łączność ze mną, jestem spalony, uważaj na siebie. Tamten kiwał głową, zgadzał się, wzdychał, objął Iwana, wsunął mu coś do kieszeni, przyda się, powiedział. Ostatnie

spojrzenie na niego, na pijących i żrących przy stole - i drzwi się zamknęły, ale zaraz otwały się na oścież, Kaszpariawiczus objął go porywczo, odsunął się, w jego oczach ćmiło wciąż to samo pytanie: („Gdzie ja spotkałem się z tobą, draniu?”), Iwan mógłby teraz na nie odpowiedzieć: kiedy rzucił ostatnie spojrzenie na to obce mu

litewskie bractwo, przypomniał sobie nagle chałupę, siebie leżącego pod piecem i pięciu Niemców przy stole, trzech w mundurach, a cywil, siedzący do niego plecami - to Kaszpariawiczus. Tak to było, czy nie tak, nie miał już sił spoglądać w przeszłość i ustalać, kto był wrogiem, a kto przyjacielem, kto przeciw niemu świadczył, a kto nie. Nie ma już wrogów, ani przyjaciół, o przeszłości trzeba zapomnieć, a przyszłości nie będzie. W Zwieniogorodzie wrzucił do cuchnącej dziury sedesu klucze od Rauszkiej. Wszystko skończone, zostało mu kilka dni - spędzi je tutaj, nikomu jak dotąd nie znany. Do kryjówki dotarł już po ciemku, wlał w siebie wódkę i usnął. Nad ranem za ścianą słychać było rozmowę, po przebudzeniu uświadomił sobie: to gospodarze szli do lasu na grzyby. Cisza. W tej ciszy coś popiskiwało, skrzypiało, jak zwykle w domu, który chwilowo opuścili ludzie. Iwan leżał, prawie nie oddychając, ze wzrokiem wbitym w sufit. To ostatnie miejsce, gdzie mógł się schronić, najbezpieczniejsze i chyba pewne. Tu przychodził jak na spotkania konspiracyjne, wymknąwszy się wcześniej pogoni. W tydzień po sesji Wszechzwiażkowej Akademii Nauk Rolniczych imienia Lenina, nie doczekawszy się jego przyjścia, Sadofjew podniesie alarm. Trzeba uciekać, nie pozostawiając śladów, zniknąć, przepaść jak kamień w wodę. Ścienny zegar z wagami wskazywał jeszcze ranek, Iwan otworzył szyber, spalił w piecu papiery, w popiół i dym obróciły się prace Klima, poleciało w ogień wszystko, co zbędne, kompromitujące; jakie to szczęście, że na Rauszkiej nie przechowywał ani jednej linijki, napisanej przez niego lub brata; tak się przejął swoją domową Łubianką, że bał się jej cokolwiek powierzyć. Szperająca po kieszeniach dłoń natrafiła na paczuszkę od Kaszpariawiczusa: pieniądze,

paszport, książeczka pracy. Przeczytał i zaparło mu dech z radości: Ogorodnikow Sergiej Kiryłowicz, urodzony 14 maja 1922 roku, we wsi NikitoIwdel, w obwodzie Swierdłowski - tak, ten paszport był jego pierwszą osłoną w Moskwie! Tak, to ten sam dokument, Kaszpariawiczus uzupełnił go o istotne dodatki: wieś stała się już miastem Iwdel. Książeczka pracy i kupa zaświadczeń dawały pole do popisu wyobraźni, stwarzały zarys legendy - można żyć, jeszcze jak można żyć, za każdym razem powracając do punktu wyjścia: teraz - to jeszcze nie sierpień 1948 roku, lecz wrzesień 1945 - stóg siana w białoruskim lesie, nieszczęśnik, który w nim zamarzał i paszport w pudełku po landrynkach. Teraz wszystko zacznie krążyć po nowej orbicie, nie ma co tu siedzieć, czas ucieka, śmierć zawsze deptała po piętach tym, którzy zaglądali Naturze pod spódnicę, ale jest już za późno, za późno na zemstę, wszystkie odsłonięte tajemnice spłonęły w piecu. Zachwycony własną śmiałością Iwan pogroził Naturze pięścią, wyzwiał ją od prostytutek, które podwyższają swoją cenę w chwili, gdy klient sięga już po portfel. Na piecyku naftowym zagotowała się woda w czajniku, Iwan zaczął się golić. Ulitował się nad Naturą, zostawił ją w spokoju, gniew skierował na muchę na lusterku, wlatywała w górę, krążyła przed oczami, po czym wylądowała na ręce, którą się golił i tak go ucięła, że na przeciętym naskórku wystąpiła krew. Iwan zaklął i mucha, jakby się zawstydzila, siadła na

brzegu stołu i zajęła się okruszem chleba. Zmoczonym ś liną strzępkami gazety zalepił ranę, twarz oplukana wodą z wiadra wydała się Iwanowi obca, co go ucieszyło, przed nim przecież nowe życie - świeże dokumenty i nie swoja twarz. Szklanka wódki pobudziła apetyt, otworzone pudełko szprotek pachniało korzennie, pa

pieros przyniósł uspokojenie, tykanie zegara przypominało o czekającej wkrótce drodze w niezbadane strony. Iwan otworzył książeczkę pracy Ogorodnikowa Sergieja Kiryłowicza, żeby się z nią zapoznać - i zadrżał: ktoś patrzył na niego z szyderczym uśmieszkiem. Jakby niczego nie zauważył, leniwie omiół wzrokiem pokój, strzelił okiem w bok i na ułamek sekundy napotkał badawcze spojrzenie muchy, która natychmiast udała ślepą. Siedziała prawie tuż obok, na ręczniku rzuconym na oparcie krzesła i zdawała się drzemać. Iwan widział ją tak wyraźnie, jak przez szklę podwójnej lupy. Z początku wydawało mu się, że nie różni się niczym od przedstawicielek swego gatunku, ale gdy przyjrzał jej się uważniej, odkrył osobliwą cechę: szaroniebiesko brązowy odcień brzuszka i piersi charakterystyczny dla gżów, do których na pewno nie należała - była mniejsza i skrzydełka miała inne. Ta mucha to nie żadna wulgarna domowa dziadówka, żywiąca się resztkami, smakująca wydzieliny gruczołów, pot i ślinę, to wysłannik zastępów, które polują na Iwana, przysłały do niego niepozorną muszkę, by zebrała o nim informacje: Iwan rozszyfrował taktykę wroga, po wymyślnej krzywej obszedł pokój i niby przypadkiem zamknął okno, opuścił haczyk na drzwiach. Mucha znalazła się w pułapce, nie mogła stąd wylecieć, teraz zginie. Ledwo ta myśl przyszła mu do głowy, drzemiąca na ręczniku mucha ożyła, odlepiła się od chłodnej, wilgotnej tkaniny, wyprostowała łapki, z pogardliwym zdziwieniem złożyła skrzydełka, po czym wleciała w powietrze i siadła na lustrze między oknami, odbijając się w nim jakby sama na siebie wzięła. Iwan okręcił pięść ręcznikiem i obmyślił plan ataku oparty na tym, że siedząca na lustrze mucha będzie zdezorientowana i atak z prawej przyjmie za uderzenie

nie z lewej strony, ale nim zamachnął się ręcznikiem, zrozumiał, że mucha postąpi umiejętnie, nie polecą ani w prawo, ani w lewo, lecz opadnie w dół, w niedostępną przestrzeń między ścianą a kufrem. „Śśścierwo!” - zaklął głośno, w odpowiedzi mucha wyszczerzyła się w uśmiechu i mrugnęła, nie budziła w niej żadnego niepokoju okoliczność, że nie miała wyjścia, to znaczy możliwości wylotu na zewnątrz, że znalazła się na łasce tego, kto był znacznie lepiej uzbrojony; na pistolet w ręku przeciwnika patrzyła jak na dziecinną zabawkę, w głębokim przekonaniu, że człowiek nie ośmieli się użyć broni. Najprawdopodobniej, domyślił się Iwan, nie była szeregowym szpiclem, tajniakiem, prowokatorem, w muszej Łubiance zajmowała niewątpliwie stanowisko oficera śledczego i przybyła tu na wstępne przesłuchanie. Kątem oka zobaczył, jak wyciągnęła tułów, przenosząc środek ciężkości do przodu, tylną parą łapek wygładziła skrzydełka, co przypomniało Iwanowi chudego oprawcę w Gestapo, jak wycierał ręce o uda. Nie wprowadzając naboju do lufy, z głośnym trzaskiem odciągnął kurek, uniósł pistolet i wycelował. Mucha zaniepokoiła się, na przesłuchaniach nikt jeszcze nie zachowywał się tak bezczelnie; mierzył w nią matowoczarny otwór lufy, a kiedy Iwan nacisnął spust i szcęk metalu rozdarł ciszę, rzuciła się na oślep w stronę parapetu, gdzie dosięgną ją ręcznik. Zwycięski Iwan pochylił się nad ciałem pokonanego wroga i rozdeptał go podeszwą. Droga była

wolna, mógł uciekać i po kilku godzinach znajdował się już poza granicami obwodu moskiewskiego. Zszedł głęboko, na samo dno Rosji i wynurzył się w Iwdelu, by uściślić szczegóły swojej legendy.

W pociągu pędzącym na wschód dowiedział się o sesji Akademii Nauk Rolniczych im. Lenina

i o karze, jaka dosięgła naukę. Nie doznał radości, ani smutku, każdy przemykający kilometr oddzielał go od Moskwy, Mińska, Leningradu, od Klimy, Nikitina i Heleny, dawne emocje wydawały się śmiesznym dziwactwem.

Ostatnie tratwy spłynęły Jenisejem na północ do Dudinki, na przystani rzecznej w Krasnojarsku gromadzili się bezdomni wędrowcy, wszędzie były potrzebne ręce do piły i siekiery, Iwan dotarł do Boguczana i najął się do pracy przy załadunku desek, przetaczaniu bierwion. Tu wypatrzył go bystry, obrotny chłopak, co nie bał się żadnej roboty, zaprosił go do swojej brygady: zgłoszą się do sąsiedniego leśnictwa, przydzielą im działkę do wyrębu, las tam piękny: jodły i sosny, normy uczciwe. Iwan niby się zastanawiał, ale zaraz się zgodził, miał swoje plany. Zima się spóźniała, do białych much (do śniegu) brakowało jeszcze ze trzy tygodnie, prawdziwe mrozy nastaną dopiero w listopadzie, wtedy uda się to, co sobie zamyślił. Sześciu ludzi utworzyło brygadę, las przydzielono im wspaniały, niezbyt daleko od osady, norma (czterdzieści metrów sześciennych) wprawdzie nie miała, ale wywozem drewna zajmowała się druga brygada, we wspólnym baraku mieszkało się możliwie, potracenia za wyżywienie nie były złodziejskie, miejscowi ludzie: Adigejowie i Szorcowie cakiem nieźli; z Litwy przywieziono niedawno grupę zesłańców. Naprawą pił zajął się wysoki, siwy starzec w esesmańskich bryczesach, miał dwoje dzieci i młodziutką żonę, dlatego nikogo nie wpuszczał do domu, ale Iwan zagadnął go po litewsku, spytał czy nie słyszał przypadkiem o Danucie Kazisimirowej. W baraku nie wiało, pili umiarkowanie, o sobie woleli nie opowiadać, kierownik obszaru leśnego szanował prawa tego kraju zbiegów i zesłańców, nie

chciał znać niczyich nazwisk. Mijały dni, Angara dymiała w oczekiwaniu mrozu, który ją skuje lodem. Tego samego pragnął Iwan. Pracował źle, niepotrzebne mu były pieniądze, ani odzież. Rano, kiedy pieszo pokonywali pięć kilometrów, spoglądał w niebo i liczył dni, jakie mu jeszcze pozostały do życia. Pracowali bez wolnych dni, ale 7 listopada popili sobie, i to tak mocno, że i dziewiątego zrezygnowali z pójścia do lasu, dwa dni chleli bez przerwy. Nikt już nawet nie pamiętał, kiedy do baraku wkręcił się konus w hełmie czołgisty, o zabawnej gębie, na której pewnie od dzieciństwa wycisnęła swój ślad chęć, żeby podszczypywać baby i razem z nimi piszczeć. Przyniósł ze sobą cztery butelki spirytusu i spoił brygadę w sztok; rano, dziewiątego, znów pognął do sklepu; Iwan został, już dawno miał ochotę побыć w samotności. Leżał z zamkniętymi oczami. Otworzył je, kiedy pociągnął go za nogę konus, który spławił wszystkich do sklepu. Siadł na sąsiednim łóżku - w głosie lękliwa żalność i udręka: „Nazywasz się Ogorodnikow, tak? Sergiej, tak?... Kiryłowicz, tak?... Jesteś z Iwdela, co?” Iwan zrozumiał, kogo ma przed sobą i nie próbował się wypierać, zagrała zresztą ciekawość: psy gończe z Łubianki, wiadomo, mają myśliwski węch i zapal, a co wiodło Mikołaja Ogorodnikowa, młodszego brata Sergieja, zwierzęcy instynkt, czy jak? Mały szedł przecież po śladach Iwana od końca sierpnia, naprowadził go na siebie sam Iwan, zaznaczając swoją obecność w Iwdelu i zrobił to specjalnie, niczego nie przeoczył, po prostu wybrał taktykę zwiadu - poszedł do

miejskiej biblioteki, okazał paszport, zapisał się, musiał niezwłocznie przeczytać to i owo, zorientować się, co, według książeczki pracy, umiał robić Sergiej Ogorodnikow. A młodszy Ogorodnikow jak na złość okazał się zapalonym miłoś

nikiem książek, czytał różne gówna - od „historycznych”, po te „o wojnie”. Bibliotekarka pokazała mu kartę imiennika o tym samym nazwisku i Mikołaj rzucił się za nim w ślad, tu już zapewne podziałał instykt, choć zanim trafił do Boguczana, w trzech przedsiębiorstwach przemysłu leśnego dopytywał się o Sergieja. Kiedy Iwan opowiedział mu o stogu siana, wyglądało na to, że uwierzył, przekonało go chyba to, że brat schował się w stogu z kobietą, nie był sam. Serioza nie ruszał się na krok bez baby pod bokiem, nawet do łaźni potrafił je zabierać, pod tym względem był męczennikiem. Wspominając brata, Mikołaj cicho płakał, ocierając rękawem łzy. Matka umarła przed wojną, tatę wzięli do wojska jesienią czterdziestego czwartego, zginął pod Budapesztem, zostali krewni - na Ukrainie, na Krymie, na Dalekim Wschodzie, ale wszyscy gdzieś poznikali, a jego tak ciągnęło do bliskich, tak ciągnęło! Co się przytrafiło Iwanowi, dlaczego posługuje się cudzymi papierami, przed kim się ukrywa - Mikołaj o nic takiego nie pytał i nawet nie przyszb mu do głowy, żeby go sypnąć. Powiedział rzeczowo: „To teraz już razem pomaszerujemy po tej Syberii, jesteś my jednak braćmi...”

Chętnie przyjęto go do brygady, przyleciały już białe muchy, śnieg wkrótce zasypie tajgę, a drzewa trzeba ścinać przy korzeniu, najwyżej trzydzieści centymetrów nad ziemią, potrzebny był człowiek do odgarniania śniegu wokół pni, tak więc niech niziutki Mikołaj dziurawi zaspy sobą i łopata. Szybko się zadowił na nowym miejscu, uznano jego pokrewieństwo z Iwanem, zabawiał bractwo błatnymi pieśniami, a znajomość z babami zaczynał od tego, że zakasywał rękawy i pakował się pod spódnicę. Angara wciąż jeszcze nie skryła się pod lodem, w dzień kruszyła nara

stającą w nocy skorupę, ale mrozy już się przedzierały: minus dziesięć, minus piętnaście. Wreszcie rąbnęło: blisko czterdzieści, bezwietrznie, białe słupy dymu z kominów podpierały niebo. Rano Iwan poszedł do Litwina naprawić piły, ten spojrzął na jego walonki i powiedział, że za ich podszycie nie weźmie drogo. Iwan skinął głową, zgoda, wpadnie wieczorem. Rzeczywiście nogi mu marzły i to go cieszyło. Brygada pohałasowała przed kancelarią, ale kierownik nie chciał spisywać dnia, wskazał na termometr: zaledwie trzydzieści osiem stopni. Nie upierali się, dojechali saniami do miejsca wczorajszego wyrębu, wyprzęgli konia, przygotowali go do zrywki pni. Skoń czyli pracę wcześniej niż zwykle, mróz ścisnął poniżej czterdziestu, srożył się wiatr, kilometr przed osadą Iwan zeskoczył z sań, wszystko miał przygotowane do tego, co sobie zamyślił. „Ty jedź, ja wkrótce wrócę, tylko sidła na zajęcia zastawię - powiedział do Mikołaja, który także zeskoczył, i wiedząc, że to ostatni człowiek, który go widzi przy życiu, dodał: - Nie martw się, wszystko będzie dobrze”.

Zaskrzypiały płozy sań - wichur poderwał śnieg w zawrotnym wirze. Była wyjeżdżona droga i znikła, biała, kłębiąca się mgła otuliła Iwana, napór śniegu i wichury obrócił go i pogonił w swoim kierunku. Padając, grzęznąc w śniegu, podnosząc się, zdzierając z twarzy lodową skorupę, dotarł w końcu do przypominających namioty wypukłości o czerniejących, nastroszonych przez wiatr czubach. To były stogi siana. Iwan obrócił się twarzą do wiatru, rozejrzał się, ale oprócz śniegu i wiatru, tak

stężonego, że niemal namacalnego, nic nie zobaczył. Nie czuł już rąk, ale oczy rozróżniały jeszcze światło i ciemność. Zakopał się w sianie, które podaruje mu zakończenie całe

go życia, jego poszczególnych części i uczuć, dopiero tu spełnią się jego dziecięce marzenia o doskonałości koła, powtarzającego w sobie siebie i wszystko, koniec i początek zbliżające się, ale wciąż jeszcze nie złączone, zespoli się wreszcie w wieczność. Ustępowały bóle, uśmierzone radością, wiatr już nie dmuchał, ani nie gwizdał, ktoś zaczynał nim dyrygować, zadźwięczały bezładnie instrumenty niebiańskiej orkiestry, Iwan uniósł się nieco, porwany melodią, zabrzmiał walc i urzekający zapach perfum zagłuszył muzykę, orkiestra zachłysnęła się, by zagrać wonnie, ukazała się piwnica i Klim obdarowany uściskiem dłoni złotowłosej Heleny, pojawiła się łąka i mała Helena zrywająca kwiatki, kusła Klima w ogrodzie botanicznym; Newa już nie płynęła, lecz spoczywała jak czarne zwierciadło; odbijał się w nim tapczan, na którym Pantelej tłukł Iwana. Dźwięki muzyki przebiły dziurę w kręgach niebieskich, by Iwan mógł się przez nią wzbić do gwiazd; jak żółte okna pociągu lecieli mu na spotkanie radośnie uśmiechnięci ludzie, o których dawno zapomniał; ogarnęła go błogość - oto jak tryumfator wstępował we Wszechświat, którego tajemnice odgadł o dwa lub trzy dni wcześniej przed swoim bratem Klimem, lecz dla niego w imię Wielkiego Spokoju gotów jest rozstać się z tajemnicami, zapomnieć o nich, niech je diabli...

Raptem zaczęły do niego docierać głuche dźwięki, stopniowo zmieniające się w uderzenia, twarz odzyskała czucie, zobaczył ją nawet jakby z boku, ujrzał wreszcie siebie, leżącego na śniegu, ktoś bił go, lecz on nie odczuwał bólu. Wszystko wokół było czerwone, a kiedy oczy odnalazły światło nad sobą, pojawiły się także dźwięki: „To ty, draniu, zabiłeś Seriożę, ty! A teraz chowasz się przed karą Ludzkiego są

du się boisz!” - krzyczał Mikołaj, wyjący wiatr porywał jego słowa. Długie igły z haczykami kłuły ręce i nogi, pojękiwały żebra, zarżał koń, zaczęło trząść, zabulgotało, Iwan zachłysnął się wlewany w niego spirytusem. Leżał przy piecu. „Zajęca mu się zachciało...” - z druzgocącą pogardą powiedział brygadzysta, pochlipujący Mikołaj głaskał Iwana po głowie, gdzieś w pobliżu były esesmańskie brzyczesy. Powracał ból, gasząc radość, jaką sprawiało bicie. Mikołaj przeproszał: „To nie ty zabiłeś, nie ty, zrozumiałem...” Przysunął swoje łóżko do Iwana i do rana opowiadał mu o sobie i o bracie. Jak będą żyć dalej - nie mówili, ale i tak wiedzieli: razem, ale nie tutaj.

Brygada pojechała do Motygina, a Iwan i Mikołaj znaleźli zatrudnienie na rynku drzewnym. Dobrze płacono za cięcie dłuźyc, Iwan popracował tam trzy dni, mógłby i dłużej, ale Mikołaj mu nie dał, przyczepił się: nie puszczę. Powstrzymał Iwana, ten zresztą sam rozumiał, że w głowie ma galimatias, oczy jak urzeczzone patrzyły na błyszczące koło piły tarczowej, nogi potykały się ni stąd ni zowąd, zdarzało się, że na równej drodze przewracał się nagle. Znaleźli sobie pracę przy układaniu podkładów kolejowych, podawanych na transporterze, płacono nie tak znów mało i robota była prawdziwie bezpieczna, jeśli nie odczytywać po pijaku liczb wypisanych przez sortowaczy na czołach podkładów, nie łamało się rąk ani nóg. Podkłady z różnego drewna, o różnych wymiarach taśma niosła wzdłuż sągów, należało w porę wypatrzeć, gdzie jaki podkład zrzucić, chwytając go od tyłu, nigdy z przodu, bo wtedy belka wbiłaby się w człowieka i zgmiotła go o sagi. We dwójkę z łatwością



dawali sobie radę. Zrzucali podkłady i nim nadeszła następna partia, zdążyli je ułożyć, zostawało jeszcze z dziesięć minut na

HK;

papierosa. Wynieśli się z baraku, za dużo tam pili, wynajęli pokój u felczera. Mikołaj kładł się spać przy drzwiach, czuwał nad snem Iwana, strzegł go, oszczędzał, nie dopuszczał do zwierzchności, sam chodził wyklócać się o wyceny i taryfę. Rano wstawał o godzinę wcześniej od Iwana, rozpalał ogień w piecu, robił śniadanie. Naznosił z biblioteki książek i czytał je bez opamiętania: o Wojnie Ojczyźnianej 1812 roku, o Garibaldi, o dekabrystach, dziewczyny nazywał to mamzelami, to senioritami, to panienkami. Jak piesek biegł przed Iwanem, gdy szli do pracy, lub do sklepu. Któregoś dnia przyprowadził Iwanowi świeżutkie dziewczę, wyższe o głowę; garbiła się, speszona tym, że jest tak wysoka. Zatrzymała się w drzwiach, wpatrując się w Iwana, sprawiało to wrażenie jakby stała na lodzie, a nie na podłodze, i nie mogła się na nim utrzymać; spragnione życia i ruchu ręce chwytaly się czegoś niewidocznego, nogi się rozjeżdżały, sobolowe brwi, płonące policzki, od dziewczęcia buchał żar jak od pieca. Iwan spojrzał w lustro i zrobiło mu się wstyd: tak się postarzał, tak się zmienił!

Pod koniec marca kończyli szturmem kwartalny plan. Pracowali dwie zmiany pod rząd, Iwan był zmęczony, ładowacze nie nadążali podwozić sągów, przejście było zawałone podkładami i jakoś tak się złożyło, że Iwan, stojąc twarzą do sunącego przenośnika, postanowił zrzucić jadący na taśmie modrzewiowy podkład, nie chciał mu się niepotrzebnie dźwigać go dziesięć metrów: modrzew to najtwardsze i najcięższe drewno, tonie w rzece, no i szciodrze się za nie płaci. Złapał za koniec kłosa i szarpnął, ale nie zdołał go ściągnąć, podkład przycisnął go i zaczął popychać; Iwan cofał się krok po kroku, aż dotknął plecami sągu; podkład napierał, klatka piersiowa zaczęła trzeszczeć... Nadbiegł

skądś Mikołaj, podbił ramieniem podkład i padł na Iwana, szlochając głośno, po babsku: „Co ty ze mną wyprawiasz, braciszku? Nie mogę przecież żyć bez ciebie!...” Iwan wypluł czerwone skrzepy, padł na kolana przed Mikołajem, błagając, by nie miał do niego żalu, ponieważ on wcale nie chciał być zmiądzony, nie szukał śmierci, on będzie żyć, żyć! Ułożyli jakoś podkłady, przyszli do domu, felczer obmacał pierś Iwana i powiedział, że nic złego się nie stało.

W kwietniu skończyli piłować, zwieziono na zimę drewno, ludzie pracujący na rynku drzewnym przenieśli się do zarządu spławu, a Mikołaj dostał w Bogucznanach list, który go rozczulił: odnalazł się stryjeczny wujek, mieszka ze swoją babą nie tak daleko, w obwodzie nowosybirskim, jest z nimi wnuczka - nie ma ojca ani matki, opiekuje się starymi, ale już brak jej sił. Wujka, jak pamiętał Mikołaj, rozkuiaczono w trzydziestym roku i zesłano razem z dziećmi, pięcioro ich było, wszystkie płci męskiej, z listów i ze słuchów wiadomo - kto zmarł, kto siedzi, kto zginął, warto by może wybrać się tam na krótko, to jednak krewniacy, a potem już pojedą na Białoruś, pochowają Serioęgę.

Stóg siana i wstąpienie w bramę niebios pozostały w pamięci, nie udało się ze śmiercią, bo nie wszystko, co przeżyte, zostało odwzorowane; Iwan zgodził się więc, zdobył już zapasowy paszport, a co ich czeka u krewnych - o tym nie myślał, nie zastanawiał się, znów przeszłość znajdzie odbicie w przyszłości, spiralnie płynący strumień życia zrodzi jeszcze jeden łańcuch zdarzeń. Kutrem przez

Jenisej, autobusem, pociągiem, przygodnym samochodem - dopiero w maju zobaczyli krewniaków, umierających z głodu, ogień w piecu, na którym zdychało kułactwo, utrzymywał ich jeszcze przy życiu, w chałupie - ani ziarenka zbo

ża, ani ziemniaka, z żywych stworzeń tylko wnuczka, rumiana, gorętsza od pieca, ręka Mikołaja od razu dała nura pod spódnicę, poszybowwała do wycięcia w bluzce. „Ależ oni wystraszeni, wystraszeni!” - trąkotała, kiedy stary i starucha nie chcieli się przyznać do pokrewieństwa z Mikołajem, mamrocząc: „Żadnych Ogorodnikowów nie znamy i znać nie chcemy!” Zdjęli starych z pieca, usadowili na ławach, rozpakowali sybirskie gościńce, włali miód w czarną, bezzębną paszczę wuja, ciotka poczuła jedzenie, otworzyła oczy, „Ech, tytoniu by...” Iwan palił zgębiony, ciało swędziło jak w partyzantce, miał ochotę się drapać; nędza tu gorsza niż na Białorusi, starych skreślili z kołchozu, bo nie wyrabiali dniówek obrachunkowych, wnuczka, sekretarka rady gromadzkiej, która odpowiedziała na list, dostawała na przydział dwa kilogramy mąki jęczmiennej miesięcznie, ale we wsi byli też bogacze, wyprawili do nich wnuczkę, dali pieniądze, przyniosła samogon i mleko, napalili w łaźni, wyszorowali starych, wypłoszyli karaluchy i pluskwy. Wnuczka zdążyła rozkwasić nos Mikołajowi, ale ten nie ustępował, dopytywał się, czy jest dziewicą, czy już „naruszona”. „Przez kogo?” - jęknęła wnuczka, roniąc gorzką dziewiczą łzę: żaden chłopak nie wrócił z wojny do wsi, w mieście wszyscy żonaci; jeńcy niemieccy budowali tam cegielnię, zaprowadziła jednego takiego w krzaki, rozebrała się, „weź mnie” - powiedziała, a ten pokręcił głową, zapłakał i odparł „Nein”. „Faszysta!” - rąbnął Mikołaj i nazwał wnuczkę wujka „mamzelą”, kim była dla niego, nie mógł się dowiedzieć, starzy uparcie nie chcieli go uznać za stryjecznego bratanka, chociaż nie odrzekali się od imion swoich synów; siódma woda po kisielu - to Mikołaja nie zadowalało, zaproponował więc następujące wyjście:

skoro wnuczka jest tutejszą władzą, to ma przecież prawo zarejestrować siebie jako żonę - albo jego, albo (tu skinął w stronę Iwana) Serioży! Dziewczyna po namyśle zgodziła się, ale z kim miałyby się zarejestrować, niech już oni sami zdecydują, jej potrzebny jest chłop z dobrą charakterystyką. Mikołaj zamachał nogami i padając na podłogę chichotał i spluwał: „Już my ci pokażemy teraz swoje charakterystyki, ale pamiętaj, jak nie jesteś dziewicą, wygonimy z domu!” Pogwarzyli jeszcze trochę i poszli spać; po sterlecie, słoninie i miodzie wnuczce dokuczał brzuch; rano wyprawili ją do miasta, na wesele trzeba było kupić dla niej przynajmniej jakieś paletko, prawdziwą wódkę, konserwy; nim ruszyła w daleką drogę, zaprowadziła Iwana do rady gromadzkiej, posadziła przy telefonie: cztery dzwonki, objaśniła, to Wielkie Czerdańce, trzy - Bałujkino, a dwa - to my. Wyciągnęła czysty arkusz papieru, zażądała: napisz pozytywną charakterystykę, a ona zabierze Mikołaja z sobą do miasta, żeby mu nie przeszkadzał, od dziadka niech się trzyma jak najdalej - jest przebiegły. Na czerwonym słupku popiersie Józefa, duszno w tej radzie gromadzkiej, choć to maj, palą jak w grudniu. Iwan cieszył się deszczem, chmurami zasnuwającymi niebo. Zabrzęczał telefon, rejon obdzwaniał wsie, kołchozy składały meldunki, Iwan po każdym sygnale podnosił słuchawkę i, żeby się nie zbłąźnić, zagłębiał się w przebieg kampanii siewnej, rozpoczynającej się już na południu obwodu. Potem odnalazł przewód zwisający ze słupa i przechodzący przez dziurkę nad gankiem, nadgryzł go, zamknął chałupę i

powlókł się do starych. Długo stał przed workiem z żywnością, trzeba było wziąć z sobą jak najwięcej, dopiero co usłyszał, jak rejon pytał inwalidę, siedzącego w radzie gromadzkiej w Bałujkinie,

czy nie przybyli do nich dwaj sybiracy o nazwisku Ogorodnikowowie; starzy już łazili, ale tak niepewnie, że nie schodzili po schodkach ganku; trzeba by ich zawieźć do szpitala na leczenie, ale sami się wykurują, mają co jeść - uznał Iwan, zawiązał w szmatkę dwustugramowy kawałek słoniny i ruszył na gościniec w ulewnym, długotrwałym deszczu, który ustał dopiero w Semipajatyńsku, dokąd Iwan dojechał po dwóch dniach; Taszkent powitał go upalną duchotą, do której trzeba się było przyzwyczajać. Ostrzyżony na zero, patrząc na siebie w liliowym lusterku bazarowego fryzjera, doszedł do wniosku, że jego dziadek, penzeński kupczyk, musiał kiedyś przebywać w tych stronach, możliwe, że stąd pochodził. W prastarym wschodnim mieście odnalazła się kobieta, pełniąca niegdyś obowiązki dróżniczki, ta, co przygarnęła Iwana, gdy wyszedł z lasu we wrześniu czterdziestego piątego roku, ona nauczyła go, jak moczyć w occie baraninę i piec szaszłyki, stał przy mangale w chałacie, na czubku sówiańskiej głowy wyszmelcowana tiubitiejka. Gdy dni stały się krótsze, zaciągnął się do ekipy poszukiwawczej geologów i z nimi powędrował na pustynię; dopiero po roku odważył się zabrać schowane pod Moskwą książeczki oszczędnościowe, ale nigdzie, nawet w zupełnie bezpiecznym miejscu, nie mógł już usiedzieć, miotał się po pustkowiu, zamieszkałym przez dwieście milionów jego rodaków, żarły go muszki nad Irtyszem, w Domu Kołchożnika pod Czitą pokochała go błękitnooka buchalterka, ale uciekł od niej, bo musiałby ją nazywać: Helena. A ta prawdziwa spacerowała z Klimem pod rękę po rajskich ogrodach pod osłoną płododajnej warstwy planety, nie wiedząc, że raz w roku widzą ją suche, bez jednej łzy, oczy Iwana. Szosy i drogi kolejowe splatały się i przecinały. Iwan ukrywał się w wiel

kich, wielojęzycznych miastach, jak litewski niedźwiedź z czasów Jagielly, zapadając w sen, ale rokrocznie we wrześniu spacerował po prospekcje Karola Marksa. Studentka zrobiła dyplom i rano, zamiast Wasiljewską na uniwersytet, jeździła do Ermitażu, umierała i odradzała się w kobietach zawsze pięknych na zagruntowanych płótnach; chodziła do kina, artylerzyści i lotnicy fundowali jej napoje owocowe i lody, kokietowała ich i odtrącała, szykując drogę temu, który będzie podobny do czerwonego chirurga L.G. Barinowa. Iwana nie pociągały już przysypane śniegiem stogi siana, nikt nie domagał się, by został jego bratem; na piasku odeskiej plaży rozłożył zmoczoną gazetę i przeczytał o Watsonie i Cricku, którzy odtworzyli wreszcie model podwójnej spirali molekuly DNA, pomyślał o brytyjskiej nudzie, o tym, że sądzone mu długie życie, a Klim - tam, w wieczności, sporo czasu jeszcze poczeka na tych, którzy odkryją to, co on już zrobił.

Nad Kazaniem szalała zamieć, przypominając o rozpalonych piaskach Kyzylkumu, wściekle wiatry szarpały namioty geofizyków, unosząc ku gwiazdom brezent z wyrwanymi kołkami, w twardą tkankę sosen wgryzała się ostro piła mechaniczna, światła załadowanej kruszywem wywrotki rozpraszały ciemność nocy: „Szefie, dawaj rozliczenie!” Zdążył, zobaczył tego, kogo niegdyś przygarnął życzliwie Rewwojensowiet, kogo następnie dopuszczono do nauki w Wojskowej Akademii Medycznej; ten żądny wiedzy okularnik nie mógł nie zauważyć pracownicy naukowej

Ermitażu, matka zaakceptowała wybór córki, eskulap wielbił teściową, żywił respekt dla mieszkania na prospekcie, które wzbudzało w nim zagadkowe drżenie. Iwan za

ginał palce: kiedy to było? Przez Kijów dojechał do Mińska, szedł labiryntem między mogiłami do świętego dlań kamienia; rodzice czekali na niego piętnaście lat, błagający, to zagniewani, szczęśliwi, że on jeszcze żyje i nieprędka do nich dołączy, a jeśli już kogoś spotkają w najbliższych latach - to starego przyjaciela Nikitina, który omotał córkę pochowanego obok obywatela i miał teraz wszelkie prawa do życia pozagrobowego w dowolnym miejscu, już zawczasu postawił sobie obelisk, jeszcze bez daty śmierci naturalnie, ale przezornie wyrył w marmurze tylko pierwsze litery swego nazwiska „Ni”, czyniąc aluzję do niezachwianych zasad, jakie wyznawał za życia. A pracownica naukowa wzięła urlop macierzyński i nastał dzień, który przejął Iwana radość cią, szczęściem, nie był już sam na świecie - oczywiście urodził się chłopiec. Rok wypadł wietrzny i deszczowy, późną jesienią atlantyckie sztormy zaczopowały ujścia wielkich rzek, ich wody się podniosły, wrażliwe na niepogodę maluchy marudziły, głośno popłakiwały.

- Coś go przestraszyło - powiedział, pochylając się nad synem lekarz ze szpitala, leżącego nad brzegiem wezbranej rzeki. - Weź go na ręce, Beato...

Zona usnęła, tuląc do siebie syna, śniło jej się coś przerażającego: do mieszkania dostał się złodziej i połasczył się na łóżeczko dziecka.

Rosyjska Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza. \*\* Moskiewski Rejonowy Zarząd Energetyczny.